MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 04 (185) Kwiecień 2020

Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa z Medalem „Za mądrość obywatelską"

Witold Bereś o tym, jak zaraza niszczy kulturę

Paweł Smoleński o zakłamywaniu pamięci

9 771733 045002 04

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

ZAPRASZAMY DO **KLUBU PRZYJACIÓŁ**

szczegóły:

www.miesiecznik.krakow.pl
zakładka: /prenumerata Klubu Przyjaciół
lub: telefon 12 61 89 120 oraz email: redakcja@Biblioteka.Krakow.pl

Nic co krakowskie, nie jest nam obce :)
Wybierz „Kraków”

Wilhelm Sasnal, *Bez tytułu*, 2010, olej/płótno, 150 x 150 cm, Kolekcja MOCAK

Politycy zawsze próbowali grać historią, a w zasadzie emocjami z nią związanymi. Ich narzędziami były a to sprytne półprawdy, a to bezczelne kłamstwa. Manipulacje były zaś tym skuteczniejsze, im drażliwszych spraw dotyczyły. **O tym, jak wygląda to w dzisiejszej Polsce, pisze na str. 2 i 3 Paweł Smoleński.**

Historia i półprawdy

Tekst: Paweł Smoleński **Ilustracja:** Wilhelm Sasnal/MOCAK

Półprawdy – mawiali najmądrzejsi rabini – to całe kłamstwo. Jak trudno jedno od drugiego odróżnić, dowodzi fakt, że nawet niegłupi rabini kłamią, czym dotrzymują standardów pielęgnowanych przez Kościół katolicki lub sporą armię muzułmańskich, szyickich i sunnickich muftich.

Lecz skoro jesteśmy na własnym podwórku, nie zajmujmy się rabinami i islamem, ale wykwitami myśli polskiego narodu, a zwłaszcza jego przedstawicieli. W maestrii kłamstwa wielu księży, nie wyłączając arcybiskupów, trzyma się znakomicie, choć niekiedy idzie im polec w starciu z politykami, osobliwie prawicowo-narodowej proweniencji, oraz z najętymi przez nich historykami IPN.

Niestety, polska urzędowa pamięć i polityka historyczna są dziś niczym innym jak oficjalnym kłamstwem.

A szefem IPN jest Jarosław Szarek wspierany przez żonę, autorkę książek opisujących dzieje minione, gdzie Polak to heros, że bój się Boga, a nie-Polak to łach, morderca, faszysta lub komuch. Kiedy bowiem dostaje się na warsztat tak zwaną pamięć historyczną, rabinacka prawda o półprawdzie nabiera szczególnego sensu.

1.

Pogadajmy o „Ogniu", czyli Józefie Kurasiu z podhalańskiego Waksmundu, dla wielu ikonicznej postaci polskiego patrioty i żołnierza wyklętego z polskiego parnasu. Uprzedzam, że chowałem się w podtatrzańskiej wsi, gdzie pamięć „Ognia" była święta, bo akurat tam był prawdziwym obrońcą, wspomożycielem i kompanem do okowity. Co tam ja! Na Kurasia złapał się nawet ks. Józef Tischner, nieledwie sąsiad zza miedzy, któremu szkolne życie i seminarium upłynęło na kontaktach z „ogniowcami"; byli starsi, lecz kolegowali się, gdyż byli to po prostu fajni chłopcy. Tak fajni, że zbyt często nie zastanawiali się nad tym, co robią.

Krakowski IPN ukochał „Ognia", a wielu prominentnych pracowników Instytutu uczestniczyło w marszach rekonstrukcyjnych szlakiem Kurasiowego wojska, skwapliwie omijając budynek dawnego UB w Nowym Targu, gdzie „Ogień" był za komendanta. Było to dziwne, bowiem siedząc pod stołem na podtatrzańskich posiadach, słyszałem, że „Ogień" był w UB, ale to nic, bo to, siamto, owamto. W podhalańskich opowieściach nie było ściemy, lecz próba wyjaśnienia również „Ogniowego" antysemityzmu, bo wszak miał Żydów na stanie oddziału. Lecz IPN wolał wykreować legendę lukrowaną i słodką, bo pewnie mu się zwidziało, że prawda się ku temu posłusznie nagnie.

Dlatego ubawiło mnie pismo od Słowaków ze słowackiego odpowiednika IPN, harnasiów zajadłych w ściganiu komuchów. Pisali więc potomkowie Juraja Janosika, że proszą, by wydać im akta Ognia", bezecnego mordercy orawskich i spiskich wsi, no i czerwonego kata, bo służba w nowotarskim UB to jednak coś, co hańbi i do czegoś prowadzi.

I tak czytałem sobie tę korespondencję. W duchu pojednania, że „prawda nas wyzwoli", bo przecież „stronnictwo pamięci", niezależnie od stron międzypaństwowej granicy, tylko na prawdzie i zgodzie stoi. Potem zacząłem dostrzegać złość wśród polskiej, radykalnie rzetelnej i patriotycznej braci, gdyż nie wiadomo, czego ci ze Słowacji chcieli. Ale zaraz zdjął mnie pusty śmiech, bardziej szyderczy niż ironiczny: oto delegowani do prawdy i pamięci złapali się wzajemnie za gardła, bo ich, czyli nasza polska, urzędowa prawda jest inna od tamtej, słowackiej, choć obie wyrosły w bliźniaczo podobnej glebie.

Wystawiono „Ogniowi" pomnik w Zakopanem, na rondzie, gdzie kiedyś był przesławny bar Pod Smrekami, opodal dworca autobusów i PKP. Patronował uroczystości prezydent Lech Kaczyński w kompletnym zapomnieniu, że Kuraś to białe i czarne, jak szampon i odżywka w jednym. Wnet otoczono pomnik kamerami miejskiego monitoringu. Tak na wszelki wypadek, by jedni górale w konflikcie z innymi góralami nic nie zrobili spiżowemu „Ogniowi". Oto koniec poprawiania pamięci: zasieki, podglądactwo i awantura, bo mimo urzędowych napomnień każdy pamięta przeszłość, jak chce.

2.

Albo popatrzmy na historię „Burego", partyzanta-bandziora z drugiego krańca Polski, bo z Podlasia. Na przekór faktom, czyli zamordowaniu przez „Burego" kilkudziesięciu prawosławnych, nie bacząc na ich wiek (dzieci!) i płeć, dziś polscy faszyści chodzą po Hajnówce, czcząc pamięć zdemoralizowanego kata. Znów można się najeżać i kląć, lecz co zrobić – ponoć „Bury" to bohater.

Choć dla wielu nie jest.

Polska urzędowa pamięć i polityka historyczna, które nie są niczym innym, jak oficjalnym kłamstwem dla doraźnych celów, umiały pouczać świat podczas wizyty premiera w Monachium w lutym 2018 roku, że byli żydowscy sprawcy Holocaustu, a zaraz potem uczciły Brygadę Świętokrzyską, czyli hitlerowskich kolaborantów. Albo upamiętniły Narodowe Siły Zbrojne, formację paskudną i dwuznaczną, której należy się prawda, również gorzka. Bowiem historia Polski choć bywała heroiczna, to jednak bywała też plugawa.

3.

Przykładów takich jest mnóstwo. Uwierającym przykładem jest postawa garści mieszkańców Podhala (tych, do których akurat strzelał „Ogień") w czasie okupacji. To oni wpisali się do projektu „Goralenvolk" i złożyli wiernopoddańczy hołd hitlerowcom. I była to najpodlejsza, acz pospolita zdrada, której dopuszczono się głównie za „dutki", za pieniądze. Ale cóż – przez dziesięciolecia wypierano ją ze zbiorowej pamięci, zaprzeczano, próbowano usprawiedliwiać.

Mordy na Żydach (niestety, nie tylko Jedwabne), szmalcownictwo, poszukiwanie złota w ziemi okalającej obozy śmierci też długo były zapomnianą zbrodnią.

I dziś w polskiej polityce ciągle obecni są tak zwani judeosceptycy, spadkobiercy bandy żyletkarzy, których przed wojną nazywano faszystami, a i oni nie krzywili się przed takim określeniem.

Kolejne rocznice odzyskania niepodległości i wybuchu powstania warszawskiego tłumnie świętują regularni neonaziści, a władza i propaganda państwowa ochoczo im kibicują, niektórzy zaś przedstawiciele prawa uznają swastykę za „starohinduski symbol szczęścia".

Tak, Albert Einstein powiedział, że nie ma takiej bzdury, której człowiek by nie wymyślił i święcie w nią nie uwierzył. W tej materii Polska jest czołówce.

4.

A przecież są w naszych dziejach prawdziwi bohaterowie, którzy słowem i czynem dowiedli, że można i ze wszech miar warto być Polakiem szlachetnym. To również nie jest gatunek na wymarciu, skamieniałe dinozaury. Ich wyliczenie zajęłoby nam długie godziny.

Weźmy pierwszego z brzegu – Jacka Kuronia, lżonego przez komunistów jako pachołka CIA, a przez tak zwanych prawdziwych Polaków wyzywanego od komuchów i bezbożników. Tym drugim w ogóle nie przeszkadzała oczywista prawda, że wprawdzie Kuroń nie wierzył w Boga osobowego, za to Bóg wierzył w Jacka.

Możemy wspomnieć o Marku Edelmanie; jego zasługi na polu polskiego i żydowskiego patriotyzmu oraz medycyny winno wyliczyć z pamięci każde dziecko w wieku szkolnym.

Dlaczego wolimy pamiętać o raczej niesławnej pamięci antysemicie Romanie Dmowskim, a nie stawiamy w panteonie bohaterów ks. Jana Zieji? Ten zwykły kapłan, z wyglądu przypominający proroka, już dekady temu przeciwstawiał się bezduszności i pazerności Kościoła, gdyż po prostu był chrześcijaninem. W powstaniu warszawskim spowiadał i rozgrzeszał chłopców i dziewczęta z AK idących na barykady, by ginąć, ale i zadawać śmierć. Lecz nigdy nie zapomniał o napomnieniu, że zabijanie jest sprzeczne z boskimi przykazaniami; nie wolno zabijać nikogo, nigdy i w żadnych okolicznościach.

Później, z szacunku do prawdy i Ewangelii, upominał się o aresztowanego przez komunistów prymasa Stefana Wyszyńskiego, podczas gdy Episkopat Polski schylał głowy przed władzą. Z tego samego powodu wstąpił do Komitetu Obrony Robotników. W karnawale „Solidarności" ścierał się zaś z kardynałem Wyszyńskim (a nadal bezsprzecznie go szanował), gdy ten, ustami ówczesnego rzecznika episkopatu, rugał KOR, bo hierarchowie uznali, że ci ludzie wielkiej odwagi i przyzwoitości narażają Polskę na wyssane z palca nieszczęścia.

Albert Einstein powiadał, że nie ma takiej bzdury, której człowiek by nie wymyślił i święcie w nią nie uwierzył. W tej materii Polska jest czołówce.

*

Niestety, narodowa pamięć na pstrym koniu jeździ. Ta płytka, bezgrzeszna, łatwa i wulgarna sakralizuje Polaków i Polskę; jesteśmy przedmurzem, Chrystusem narodów, opoką, a widelcem potrafiliśmy się posługiwać wcześniej niż Francuzi.

Głębsza zaś nakazuje zatrzymać się, zastanowić, a jeśli trzeba – posprzątać i zadośćuczynić. Nie ucierpi na tym polski mesjanizm, o widelcach nie wspominając, zaś szlachetne karty dziejów nabiorą większego blasku. Dlaczego? Bo prawda jaśniej świeci, gdy nie pada na nią cień łajdactwa.

Paweł Smoleński (ur. 1959 w Warszawie), reporter i pisarz związany od 1989 roku z „Gazetą Wyborczą"; wcześniej współpracował z pismami drugiego obiegu i pisywał do paryskiej „Kultury". Autor tekstu *Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika*, opisujący tzw. aferę Rywina, później jeden ze świadków wzywanych przed komisję śledczą. Laureat kilku nagród, autor kilkunastu książek, m.in. *Pochówek dla rezuna* (2001), *Irak. Piekło w raju* (2004), *Królowie Mogadiszu* (2018), a ostatnio *Wnuki Jozuego* (2019).

TEMAT MIESIĄCA: ZARAZA I KULTURA

Witold Bereś: s. 6

Wśród działów gospodarki i życia publicznego ulegających paraliżowi w związku z koronawirusem w ścisłej czołówce jest kultura i sztuka.

KRAKÓW MÓWI

Kraków – moje olśnienie
– z Krystyną Zachwatowicz-Wajdową/Witold Bereś, Krzysztof Burnetko s. 18

ESEJ

Historia i półprawdy Paweł Smoleński s. 2
Cienie nad miastem Monika Libicka s. 26

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa z Medalem „Za mądrość obywatelską”!
Andrzej Romanowski s. 10
Kręci mnie plakat... Ewa Kozakiewiczowa s. 29
Z bluesem w Krakowie Jerzy Armata s. 34
Czułość ukryta za gębą
Magda Huzarska-Szumiec s. 41
Z fototeki Danuty Węgiel/Lata płyną i... (Agnieszka Kosińska) Jakub Wydrzyński s. 56
W sieci kultury s. 65
Kronika kulturalna s. 87
Krakowski łącznik s. 90
Kraków Główny s. 91
Linia A–B s. 92

24 GODZINY Z ŻYCIA LEKARZA

Osiemnaście zmartwień na dobę (prof. Stanisław Kwiatkowski)
Magdalena Oberc s. 12

REKOMENDACJE

Przepis na życie Ginczanki
Magda Huzarska-Szumiec s. 40
W jazzie pod Tatrami
Magda Huzarska-Szumiec s. 46
Filharmonia Woźniakowskiej s. 58

ZAPRASZAMY NA SPACER

... do MANGGHI s. 55

OBYWATELE KRAKOWA

Muzyk, który kocha ciszę (Grzegorz Dowgiałło)
Magdalena Oberc s. 8

PORTRETY

„Portrety 2020” (marzec) s. 25
Biografie – wyzwanie pasjonujące
Monika Sznajderman, Agnieszka Dauksza, Maciej Pieprzyca, Rafał Syska s. 51

HISTORIA

Kalendarium krakowskie: kwiecień 1920
Krzysztof Jakubowski s. 59
Doktor od masaży Ewa Danowska s. 62

TEATR

Wizyta czarnej sopranistki Paweł Głowacki s. 66

FILM

Bajka o skarbie w Krakowie
Maria Malatyńska s. 74
Dolina Bogów Łukasz Maciejewski s. 78

LITERATURA

Pokazywać język za plecami
– z Krzysztofem A. Zajasem/Janusz M. Paluch s. 70
Asmodeusz Krzysztof A. Zajas s. 72

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka s. 84

GALERIA „KRAKOWA”

Agata Kus Magda Huzarska-Szumiec s. 48

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 5
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 7
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 81
POZA KRAKOWEM Magdalena Miśka-Jackowska s. 82
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz s. 83
NIE TYLKO O CRACOVII Jerzy Pilch s. 96

OKŁADKA

Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa
Fot. Piotr Uss Wąsowicz

Ach, te kompleksy...

Tekst: Ewa Lipska

Rządząca partia ma teraz problem z kciukiem marszałka Senatu. U naczelnych tak jest. Jak nie palec, to kciuk i kolejna odsłona opery mydlanej. Ręka rękę myje i polityka zaczyna przeciekać nam przez palce. Obyśmy w końcu wszyscy nie wywinęli orła.

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

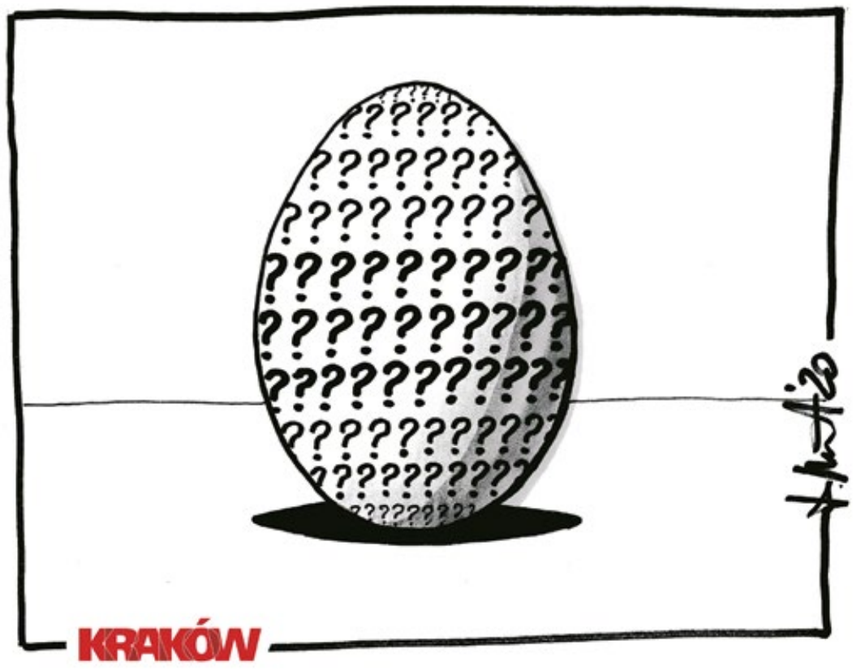

Rys. Piotr Błachut

Zaraza i kultura

Tekst: Witold Bereś

„Zarazy są w istocie sprawą zwyczajną, ale z trudem się w nie wierzy, kiedy się na nas walą. Na świecie było tyle dżum, co wojen. Mimo to dżumy i wojny zastają ludzi zawsze tak samo zaskoczonych" – komentuje narrator w *Dżumie* Camusa.

Dumni z potęgi cywilizacji XXI wieku naprawdę – gdy piszę te słowa w połowie marca – niewiele wiemy o najnowszej pandemii. Nie tylko o koronawirusie, ale i o jego społeczno-polityczno-gospodarczych konsekwencjach. A jeszcze mniej – o nas samych.

Bo tajemnica choroby prędzej czy później zostanie wyjaśniona. (Co nie znaczy, że za chwilę cywilizacja nie zafunduje sobie nowej pandemii lub nie stworzy jakieś wirusa komputerowego, który nas oślepi technologicznie).

Wśród działów gospodarki i życia publicznego ulegających paraliżowi w związku z koronawirusem w ścisłej czołówce jest kultura i sztuka.

Większy problem to odpowiedź na pytanie: dlaczego tkwi w nas ten lęk irracjonalny? Dlaczego w ostatnich latach tak łatwo zyskują przewagę polityczni populiści typu Trump, naukowi szarlatani (przeciwnicy szczepionek) czy zwolennicy teorii spiskowych (sekta wyznawców zamachu smoleńskiego)? Gdzie miejsce na argumenty i autorytety?

Ba, dlaczego sami sobie produkujemy ersatze zagrożeń? Wszak epidemie fake newsów też są dowodem naszej kruchości mentalnej i intelektualnej...

Byłżeby temu winien internet i natłok informacji? Ale jeśli tak, to by znaczyło, że paradygmat cywilizacji zachodniej, czyli udział w życiu publicznym, wolność opinii i dostęp do informacji, legł właśnie w gruzach.

W konsekwencji nastąpi rozczłonkowanie świata – bo kwestią chwili jest pozamykanie granic z lęku przed wirusem. Czy ktoś myśli, że świat, nawet gdy wirusa zwalczy, granice znowu otworzy na oścież? Nie, sami będziemy chcieli odciąć się od zagrożenia przed niewidzialnym.

A potem społeczeństwa zgodzą się na ograniczenia wolności i demokracji w imię – znowu rzekomego – zwiększenia swego bezpieczeństwa.

I wreszcie pojawią się stare podziały globalne i nieodmienne konflikty o strefy wpływów. A jak to się kończy – wiemy doskonale...

*

A gdzie tu czas dla kultury?

Ano nawet ten prosty w gruncie rzeczy kryzys wirusowy pokazuje jej faktyczne miejsce: liczy się tylko w społeczeństwach nażartych. Jakże symptomatyczne jest, że wśród działów gospodarki i życia publicznego ulegających paraliżowi w związku z koronawirusem w ścisłej czołówce jest kultura i sztuka. Jasne, świat to naczynia powiązane, nie brak przełożeń między, na przykład, turystyką a koncertami. Ale pierwszy raz od wielu, wielu lat skala naszego lęku, mroczność zagrożenia i smutek codzienności powodują, że nawet ta kultura najbliższa, drobna, topnieje w oczach.

Oto Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa została decyzją jury laureatką nagrody jakże ważnej dla miesięcznika – Medalu „Za mądrość obywatelską". Medal, zgodnie z tradycją uroczyście jest wręczany wiosną przez prezydenta miasta Krakowa. Ale jakże tu się cieszyć wraz z laureatką, gdy ludzie cierpią z racji choroby, której nikt nie zna?

Kilka imprez, które rekomendujemy w tym numerze, będzie, niewykluczone, odwołanych, bo zgromadzeń lepiej unikać. (Rekomendacje jednak zostawiamy, bo wierzymy, że inicjatywy te prędzej czy później znowu zostaną publiczności udostępnione).

Tak, czas kulturze nie sprzyja. Co zatem robić, skoro kultura jest tym, co nas nakręca?

Jeśli gdzieś szukałbym dziś światełka w czasie mrocznym, to w tym, że można odwrócić tę zależność. Bo owszem, teraz kultura cierpi, ale wszak literatura, sztuka, film zawsze mądrze się żywiły wątkiem zarazy, która pustoszy świat.

I nie chodzi o masową sztukę strachu, jak thrillery medyczne Roberta Cooka czy filmy z Hollywood. Jest i literatura wielka: od *Dekamerona* Boccaccia poprzez *Dżumę* Camusa aż po naszego Szczypiorskiego z *Mszą za miasto Arras*.

Jak to pisał w finale Boccaccio?

„... król, spojrzawszy na niebo i zobaczywszy, że słońce już się ku zachodowi chyli, nie powstając z miejsca, rzekł w te słowa:

– Piękne damy, jak wiecie, trud rozumu śmiertelników nie tylko na tym się zasadza, aby w pamięci przeszłość zachowywać i znać teraźniejszość, ale dzięki jednej i drugiej przewidywać przyszłość. Najroztropniejsi ludzie za szczyt mądrości to poczytują".

Czy i my znajdziemy w sobie tę mądrość?

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Rzeczpospolita skazana

Tekst: Krzysztof Burnetko

Trzecia Rzeczpospolita była najlepszym państwem w polskich dziejach. Ale była nie do utrzymania, podkopywana przez solidarnościowy antykomunizm i polityczny katolicyzm – już ten wniosek godny jest miejsca na najwyższej półce rodzimej publicystyki politycznej.

Teza zbioru esejów *Antykomunizm, czyli upadek Polski* (Universitas, 2020) wydaje się szokująca. Pisze oto Andrzej Romanowski (autor również „Krakowa"): „Upadek Polski następował od początku Trzeciej Rzeczypospolitej. Niezależnie od jej wyjątkowych, wręcz niewyobrażalnych sukcesów. Przyczyną był ideowy fundament tego państwa: solidarnościowy antykomunizm (faktycznie: łże-antykomunizm) sprzężony z politycznym katolicyzmem (faktycznie: łże-katolicyzmem)".

Mocne, prawda? Autor jednak w swoich tekstach precyzyjnie swego poglądu dowodzi. Pisze o antykomunistach ostatniej godziny i lansowaniu przez nich (choć nie tylko przez nich) kłamliwej, bo czarno-białej wersji rzeczywistości powojennej Polski – nader chwytliwej, jak się okazuje. O roli lustracji i tak zwanej polityki historycznej (zwłaszcza w wydaniu IPN) – niszczącej autorytety, zaufanie społeczne i możliwość uprawiania skutecznej, a właściwie rozumianej i długofalowej polityki. O upolitycznieniu rodzimego Kościoła i jego parciu na władzę oraz o skutkach bezkrytycznego kultu Jana Pawła II. Wreszcie o zaniechaniach, czy mówiąc wprost: kunktatorstwie mediów i wielu grup opiniotwórczych w reagowaniu na oczywiste przecież przejawy patologii życia publicznego – by pozostać tylko przy przykładzie niebywałych wpływów i pozycji, jaką osiągnął w państwie Kościół katolicki. Nie oszczędza przy tym nawet własnych kręgów ideowych i osobistych mistrzów (Unii Wolności, „Tygodnika Powszechnego", Jerzego Turowicza czy Tadeusza Mazowieckiego). Skądinąd znaczące, bo świadczące o przenikliwości autora jest i to, że spośród 42 zebranych, a pochodzących z okresu 1998–2019, tekstów ledwie w jednym przypadku należało zamieścić komentarz aktualizujący.

Robi to na dodatek Romanowski w sposób erudycyjny – posiłkując się wiedzą zarówno historyczną, jak literacką. Z tej pierwszej wynikają między innymi trafne analogie. Z drugiej – błyskotliwe skojarzenia, parafrazy czy puenty. A czasem także gorzka świadomość, że przecież to wszystko już przerabialiśmy i jedynie zapominamy korzystać z refleksji i ostrzeżeń przodków.

Owa rozległość horyzontów połączona z dogłębnością analizy i odwagą wniosków – oraz, *last but not least*, poziom polszczyzny – stawiają Romanowskiego na jednej półce z mistrzami rodzimej powojennej publicystyki politycznej: Juliuszem Mieroszewskim, Jerzym Stempowskim, Stanisławem Cat-Mackiewiczem czy Leopoldem Ungerem.

Skądinąd właśnie konsekwencja w głoszeniu poglądów skutkowała w przypadku Romanowskiego bolesnymi rozstaniami z bliskimi środowiskami – przede wszystkim z „Tygodnikiem Powszechnym" – co jest zresztą kolejnym świadectwem poziomu wolności debaty publicznej w Polsce. Ale przecież niełatwy los mieli i owi mistrzowie, więc w tej mierze niewiele się zmienia.

Prócz tych ostrych, jak się teraz mawia wyrazistych analiz potrafi Romanowski – jak wspomniani mistrzowie – pisać też teksty przejmujące. Takie chociażby, jak piękny esej poświęcony Józefie Hennelowej, pokazujący intelektualną i etyczną klasę wieloletniej publicystki dawnego „Tygodnika" i posłanki na sejm RP, ale też wykazujący znaczenie wileńskiego, kresowego wychowania i dziedzictwa w jej postawie i wyborach.

Erudycja historyczno-literacka w połączeniu z przenikliwością analizy, odwagą myślenia i poziomem polszczyzny stawia Andrzeja Romanowskiego w szeregu rodzimych mistrzów publicystyki politycznej: Mieroszewskiego, Stempowskiego, Ungera, Cata-Mackiewicza.

„Z grupki alarmistów byłem w minionym dwudziestoleciu może najbardziej radykalny. Lub może najbardziej histeryczny" – przyznaje Romanowski. Okazuje się jednak, że to właśnie jemu udało się przewidzieć, do czego może w Polsce dojść. Dlatego – by sięgnąć do Antoniego Słonimskiego – warto pamiętać, że Andrzej Romanowski był przeciw.

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Muzyk, który kocha ciszę

Tekst: Magdalena Oberc **Zdjęcie:** Jan Zych

Grzegorz Dowgiałło śpiewa, gra na akordeonie, fortepianie i perkusji, komponuje, pisze teksty piosenek, występuje w teatrze. Zaśpiewał z Kasią Nosowską na Festiwalu „Zaczarowanej Piosenki", wystąpił w koncercie finałowym Grechuta Festival, gościnnie koncertuje z Agą Zaryan, a od siedmiu lat jest frontmanem zespołu Recycling Band, którego muzycy grają na instrumentach wykonanych z odpadów.

Jako mały chłopiec zachorował na raka i stracił wzrok. Jednak, jak sam mówi, nie jest to dla niego ograniczeniem. – Nie chcę, by to, że nie widzę, określało mnie jako muzyka. Chcę, by ludzie mnie słuchali i oceniali moją twórczość, a nie to, jak sobie radzę.

Pochodzi z Chojnowa, ale kiedy miał 11 lat, zdecydował się przenieść do Krakowa, by rozpocząć edukację w szkole muzycznej I stopnia. – Moi rodzice bardzo się o mnie bali, martwili się, jak sobie poradzę sam w dużym mieście – wspomina. Marzył o graniu na perkusji, ale nauczyciele doradzili akordeon. Od razu dostrzegli w nim niebywały talent; orzekli, że ma słuch absolutny. Wygrywał konkursy, w 2003 roku otrzymał Stypendium Edukacyjne Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. – Okazało się, że moim największym ograniczeniem nie jest brak zmysłu wzroku, ale uległość. Nie chciałem zamykać się w jednym gatunku muzycznym, ale nie byłem dość asertywny – ocenia po latach. Ukończył klasę fortepianu w Krakowskiej Szkole Jazzu i Muzyki Rozrywkowej, a następnie kontynuował naukę na Wydziale Instrumentalnym Akademii Muzycznej. – Wrosłem w ten Kraków i miałem niebywałe szczęście poznać takich ludzi jak Piotr Wyleżoł, Anna Dymna, Łukasz Baruch z fundacji Wygrajmy Razem czy reżyserkę Ewelinę Marciniak. To ona wciągnęła go w teatr. – Usłyszała mnie kiedyś podczas próby zespołu Recycling Band i zaproponowała rolę we wrocławskim Teatrze Współczesnym w spektaklu *Gałgan*, do którego skomponowałem również muzykę – wspomina. W 2018 roku w Teatrze Polskim w Poznaniu wystąpił w *Odysie*, a nieco później wcielił się tytułową postać w musicalu *Stańczyk* w chorzowskim Teatrze Rozrywki. Za tę rolę został uhonorowany nagrodą Złotej Maski. Już wcześniej wiedział, że ma talent imitatorski, śpiewał piosenki Czesława Niemena, Boba Dylana czy Luisa Armstronga, ale dopiero w teatrze mógł w pełni rozwinąć umiejętności wcielania się w postać. Teatr obudził w nim potrzebę pisania i komponowania. Zacięcie satyryczne odkrył w sobie dzięki współpracy z komikiem Ściborem Szpakiem, z którym występuje w krakowskim Teatrze Szczęście.

Chociaż wiele podróżuje, z radością wraca do Krakowa, do swojego mieszkania, w którym króluje cisza. Potrzebuje jej, by zebrać myśli i odpocząć. Talent, pokora i pracowitość zjednują mu przyjaciół i stale otwierają przed nim nowe propozycje zawodowe. – Nie chcę się zamknąć w jednej aktywności artystycznej – odpowiada, gdy pytam go o plany na przyszłość. – Kiedyś może wydam płytę ze swoimi piosenkami, ale jestem przekonany, że przy tym projekcie nie pójdę na żaden kompromis.

Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa z Medalem „Za mądrość obywatelską”!

Tekst: prof. Andrzej Romanowski – w imieniu jury Medalu **Zdjęcia:** Piotr Uss Wąsowicz (laureatka) i Jan Zych (medal)

Medalem „Za mądrość obywatelską” w roku 2020 uhonorowana została Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa. Wśród poprzednich laureatów są między innymi prof. Andrzej Zoll, prof. Ewa Łętowska, prof. Leszek Balcerowicz, red. Jerzy Baczyński, Wiesław Myśliwski, Krystyna Janda.

W *Wyzwoleniu* Wyspiańskiego jego główny bohater, Konrad, wyznaje: „Sztuka mi nie wystarcza”. Sztuka nie wystarczała też Krystynie Zachwatowicz-Wajdowej, chociaż w historii kultury polskiej zyskała ona trwałe miejsce ze względu na swą działalność – zwłaszcza scenograficzną, ale także aktorską, teatralną i filmową. Zarówno przez tę działalność, jak i przez niezliczone inicjatywy społeczne służyła całe życie Polsce.

Miała wzory rodzinne: ojca, prof. Jana Zachwatowicza, i męża, Andrzeja Wajdę. Zaczynała jako romantyczny „mały powstaniec”: w wieku 14 lat uczestniczyła w powstaniu warszawskim. Po wojnie jednak, wobec nowego zniewolenia, wybrała drogę pozytywistyczną: pracę na rzecz kultury polskiej, na której z czasem odcisnęła tak wyraźne piętno. Ale jej zaangażowanie obywatelskie dało o sobie znać także w sposób bezpośredni, zwłaszcza u boku Andrzeja Wajdy. Krystyna Zachwatowicz była jego dobrym duchem: oboje wzajemnie się wspierali w kolejnych inicjatywach, ulokowanych przede wszystkim w Krakowie: od Centrum Kultury Japońskiej Manggha po pawilon Stanisława Wyspiańskiego i pawilon Józefa Czapskiego. Te obywatelskie inicjatywy, realizujące tak bardzo polski etos służby narodowi, nie mają w powojennej historii precedensu, zaś w przeszłości mogą konkurować tylko z działalnością społeczną Ignacego Paderewskiego.

Natomiast dziś głos Krystyny Zachwatowicz-Wajdowej brzmi szczególnie donośnie: nieustannie broni ona zasad przyzwoitości, sprawiedliwości, porozumienia. Pani Krystyna dostrzega problemy ludzi potrzebujących, upomina się o ekologię i prawa zwierząt, przestrzega przed zalewającą nas falą nienawiści. Jej Polska – to kraj szanujący prawa mniejszości, głęboko zakorzeniony w Europie i europejskiej kulturze: przyjazny obywatelom kraj demokracji.

Głos Krystyny Zachwatowicz-Wajdowej brzmi dziś szczególnie donośnie: nieustannie broni ona zasad przyzwoitości, sprawiedliwości, porozumienia.

Przedwojenne Przyrzeczenie Harcerskie zawiera zobowiązanie do służby całym życiem. Trudno znaleźć lepszą realizację tego zobowiązania niż droga Krystyny Zachwatowicz-Wajdowej – od dziewczęcego zaangażowania w walkę zbrojną po dzisiejszą walkę o prawa człowieka i obywatela.

24 GODZINY Z ŻYCIA LEKARZA

Osiemnaście zmartwień na dobę

Tekst: Magdalena Oberc **Zdjęcie:** Jan Zych

Jeśli ktoś spodziewa się usłyszeć w szpitalu dziecięcym płacz, krzyki albo śmiech dzieci – oznacza to, że nigdy nie był w takim miejscu. Tu nie jest gwarno jak w przedszkolu. Tutaj dzieci są spokojne i ciche, a czas odmierzają miarowe dźwięki pulsoksymetrów i kroki personelu medycznego.

Niedzielny poranek w Oddziale Neurochirurgii Dziecięcej zapowiada się spokojnie. Od rana dyżur pełni prof. Stanisław Kwiatkowski, ordynator oddziału. Uniwersytecki Szpital Dziecięcy w Krakowie niedawno przeszedł gruntowną modernizację, więc oddział jest nowoczesny i jasny. Sale są dwu- lub trzyosobowe. Obok łóżka pacjenta stoi rozkładany fotel dla rodzica, bo zwykle jedno z nich przebywa z dzieckiem w szpitalu cały czas. W samym sercu oddziału znajduje się recepcja: baza personelu pielęgniarskiego, który stąd ma widok na wszystkie przeszklone sale. Nieco w głębi znajduje się pokój socjalny dla rodziców i dyżurki lekarskie.

1.

W jednej z dyżurek profesor przegląda dokumentację medyczną dwuletniego Kajetana. Przyjechał ledwie wczoraj ze szpitala rejonowego, gdzie w rezonansie magnetycznym stwierdzono guz mózgu. – Dziś nawet szpitale powiatowe mają doskonałe zaplecze diagnostyczne i jeśli rzeczywiście zachodzi uzasadniona potrzeba, badania specjalistyczne są wykonywane bardzo szybko, tak jak w przypadku Kajetana– zauważa prof. Kwiatkowski.

Rodzice chłopca są oszołomieni diagnozą. – Jeszcze we wrześniu byliśmy na rodzinnych wakacjach we Włoszech i wszystko było w porządku – opowiada pan Konrad, tata Kajetana. – Potem syn poszedł do żłobka i zaczęły się infekcje. Stawał się coraz bardziej apatyczny, ale myśleliśmy, że jest zmęczony po zajęciach albo z powodu przeziębienia. Jednak te zmiany w zachowaniu Kajetana nie dawały nam spokoju. Pod koniec listopada syn dostał skierowanie do szpitala w Oświęcimiu z podejrzeniem zapalenia płuc, nalegaliśmy też na konsultację neurologiczną, bo pojawiło się też niepokojące skrzywienie kręgosłupa. To nie do opisania: jednego dnia masz zdrowe dziecko, a drugiego słyszysz: guz mózgu... Widzimy, że choroba postępuje błyskawicznie.

*

U dzieci guzy mózgu to najczęściej występujące nowotwory. U dorosłych guzy mózgu stanowią 2 procent wszystkich nowotworów, u dzieci – 22 procent.

– Dzisiaj mamy doskonałe możliwości technologiczne, nowoczesne narzędzia operacyjne, coraz lepszą chemioterapię i radioterapię, co powoduje, że wyniki leczenia są naprawdę dobre – opowiada prof. Kwiatkowski. – W naszym oddziale przeprowadzamy rocznie około 60 operacji guzów mózgu. W całej Polsce u dzieci wykonuje się ich około 220.

Operacja odbywa się przy użyciu ogromnego specjalistycznego mikroskopu, który pozwala lekarzowi na dokładniejsze obserwowanie pola operacyjnego. Za pomocą noża ultradźwiękowego chirurg najpierw ultradźwiękami rozbija nowotwór, następnie nasącza go specjalnym płynem, a w ostatnim etapie odsysa guz, oszczędzając zdrowe tkanki mózgu. – Dzisiejsze możliwości technologiczne, zaplecze sali hybrydowej pozwalają nam na przeprowadzanie operacji, których dwadzieścia lat temu nie moglibyśmy wykonać, bo niebezpieczeństwo poważnego uszkodzenia mózgu było tak duże, że nikt nie podjąłby takiego ryzyka – wyjaśnia profesor. – Wówczas wiele dzieci skazanych było na śmierć z powodu nieoperacyjnych guzów czy tętniaków.

2.

Rozmowę przerywa dźwięk telefonu. To dyżurny z SOR-u informuje, że przyjęto małe dziecko, które spadło ze schodów, oraz nastolatka, który rozbił głowę, ćwicząc akrobacje na rowerze. Oboje są już wstępnie zdiagnozowani i przewiezieni na oddział. Profesor

24 GODZINY Z ŻYCIA LEKARZA

zmierza do sali, by zbadać nowych pacjentów. U nastolatka, który spadł z roweru, stwierdzono złamanie podstawy czaszki. Chłopak dostaje leki przeciwobrzękowe i antybiotyki i będzie przez kilka dni obserwowany. Jeśli wyciek płynu pourazowego nie zaniknie samoistnie – czeka go operacja. Profesor odwiedza też kolejnych pacjentów: dziecko z wodogłowiem, niemowlę z rozszczepem kręgosłupa, dziewczynę po ciężkim urazie czaszkowo-mózgowym, chłopca z guzem kręgosłupa, a także pacjenta, który kilka dni temu przeszedł operację usunięcia naczyniaka umiejscowionego w żuchwie. – To była skomplikowana operacja, którą przeprowadzaliśmy w sali hybrydowej wspólnie z zespołem chirurgów szczękowych i radiologów inwazyjnych – tłumaczy prof. Kwiatkowski. – Przy pomocy specjalnego cewnika przez tętnicę udową dochodzimy do krwiaka i embolizujemy go, to znaczy podajemy substancję, która powoduje zakrzepnięcie krwi w obrębie tego naczyniaka. W drugim etapie chirurg szczękowy od strony ust dostaje się do żuchwy. Ponieważ wcześniej zamykamy tętnicę, są to operacje zupełnie bezkrwawe i wszystko goi się błyskawicznie. Właśnie przygotowuję wypis ze szpitala dla tego pacjenta.

Prof. Stanisław Kwiatkowski: – Kiedy jest ciepło, dzieci wychodzą na hulajnogi, deskorolki i rowery. I wtedy trzeba pamiętać jedną zasadę: kto ma mózg, ten ma kask; kto ma kask, ten ma mózg.

Oddział neurochirurgii dziecięcej liczy 18 łóżek, ale zwykle dwa zostają wolne na wypadek, gdyby któryś z pacjentów wymagał izolacji z powodu zapalenia płuc czy choroby zakaźnej. Kiedyś leczenie na oddziale trwało wiele miesięcy. Dziś średni czas pobytu to sześć dni.

Tymczasem na oddziale słychać już krzątaninę obiadową: pani salowa rozdaje pacjentom posiłki zgodnie z zaleceniami dietetyka. Rodzice udają się do pokoju socjalnego, by odgrzać sobie przywiezione z domu pierogi albo gołąbki, a personel medyczny czeka na dostawcę, który przywiezie im zamówiony na mieście obiad.

Po obiedzie profesor znów zagląda do pacjentów na oddziale, a potem idzie na oddział anestezjologii i intensywnej terapii, gdzie leży trzech pacjentów po operacjach neurochirurgicznych. Sprawdza ich reakcje neurologiczne, czy nie dochodzi do nadciśnienia śródczaszkowego, w jednym przypadku zleca ponowną tomografię. W nagłych sytuacjach personel intensywnej terapii pilnie wzywa dyżurnego, by podjął natychmiastową interwencję. Architektura szpitala sprzyja szybkim działaniom, bo wszystkie oddziały zabiegowe ulokowane są w pobliżu bloku operacyjnego i oddziału intensywnej terapii.

*

Dziś dyżur przebiega spokojnie. – Jest brzydka pogoda, więc dzieci siedzą w smartfonach, a to mało urazowy sport – żartuje profesor. – Kiedy jest ciepło, dzieci wychodzą na hulajnogi, deskorolki i rowery. Brak kasku przy tego typu aktywnościach ma często tragiczne, nieodwracalne skutki.

Pielęgniarka informuje, że pacjent z dwójki wymiotuje. Profesor zleca kroplówkę. Po południu jeszcze kilka razy zadzwoni telefon z SOR-u z prośbą o konsultację. Dyżur trwa 24 godziny, a zatem profesor zostaje w szpitalu do rana. A potem... zaczyna nowy dzień pracy. – Nie mogę sobie pozwolić na wyjście po dyżurze, bo sytuacja kadrowa na to nie pozwala: dramatycznie brakuje lekarzy – tłumaczy profesor Kwiatkowski, który pełni również funkcję pełnomocnika prorektora Collegium Medicum UJ ds. klinicznych, więc doskonale orientuje się w kwestiach organizacyjnych systemu opieki zdrowotnej. – W szpitalach powiatowych przeprowadza się diagnostykę i podstawowe leczenie, ale wszystkie powikłania i ciężkie przypadki odsyła się do szpitali klinicznych, a klinika za te procedury medyczne dostaje tyle samo pieniędzy, chociaż pacjent wymaga często wielodyscyplinarnego i specjalistycznego leczenia. Z roku na rok sytuacja jest coraz gorsza: przybywa nam pacjentów, tworzą się kolejki, rosną długi szpitali, a co będzie, kiedy trzeba będzie podnieść płacę minimalną? Przecież szpital to nie tylko lekarze i pielęgniarki, ale także personel techniczny, pracownicy laboratoriów, dietetycy, sekretarki. To ogromne przedsiębiorstwo i zamykanie kolejnych oddziałów w szpitalach powiatowych nie uzdrowi sytuacji finansowej systemu. To droga donikąd.

3.

Kiedy w poniedziałek rano przychodzę na oddział, profesor już jest na odprawie, podczas której ustala się kolejność operacji na cały tydzień. Senna atmosfera wczorajszego dnia zupełnie zniknęła. W korytarzu gromadzą się nowi rodzice z dziećmi oczekującymi na przyjęcie na oddział, panie salowe w pośpiechu zmieniają pościel i materace przeciwodleżynowe, grupa studentów poszukuje starszego asystenta, z którym zaraz rozpoczną zajęcia praktyczne. Po godzinie w gronie lekarzy i rehabilitantek profesor zaczyna obchód. Ze względu na tajemnicę lekarską, RODO i inne wrażliwe dane nie towarzyszę w tym rytuale. Przez szybę obserwuję, jak lekarze dyskutują nad wynikami badań i ustalają kolejne działania. Rodzice zadają pytania, a profesor wyjaśnia przebieg planowanych operacji. Co kilkadziesiąt sekund obok mnie przechodzi pielęgniarka, tuląc w ramionach kilkutygodniowe niemowlę. Mówi i uśmiecha się do niego, a chłopiec uważnie śledzi każdy jej ruch, każde słowo, jakby uczył się na pamięć tej twarzy. Jednak już za chwilę przejmie go inna pielęgniarka, a on znów będzie patrzył jej w oczy, znów będzie się uczył jej twarzy. Tak samo jak twarzy wszystkich tych osób, które będą się wokół niego krzątać, dopóki nie trafi do rodziny adopcyjnej. Kto wie, być może otoczony troskliwą opieką nowych rodziców z czasem nauczy się siadać, a może nawet chodzić? Tylko kiedy znajdzie się rodzina na tyle odważna, by adoptować dziecko z rozszczepem kręgosłupa? – Takie dzieci zwykle są nad wyraz inteligentne – mówi profesor. – Ale fizycznie są niepełnosprawne: mogą mieć porażenie nerwów kończyn dolnych, deformacje kręgosłupa i stawów. Nigdy do końca nie wiemy, w jakim stopniu sprawne będzie dziecko w przyszłości. Wiele zależy od rehabilitacji i właściwej opieki medycznej.

Aleksander jeszcze nie wie, że został porzucony przez matkę zaraz po urodzeniu. Jeśli szybko znajdzie się dla niego rodzina, może nie będzie pamiętał tych pierwszych miesięcy spędzonych w szpitalu i tych wszystkich cioć i wujków, którzy się nim dziś opiekują. Na razie Aleksander zapada w sen, a pielęgniarka w pośpiechu wraca do innych zajęć. Trzeba przygotować dokumentację medyczną Ani, bo została właśnie wypisana z oddziału. Drobna pięciolatka ubrana w kurtkę i zimowe buty siedzi grzecznie w wózku inwalidzkim. Ratownik medyczny z karetki dopytuje o skierowanie, rodzice zabierają ostatnie pakunki, a pielęgniarki dodają otuchy: „Nie bój się, Aniu, w Radziszowie jest bardzo fajnie!". Ania nie wydaje się przekonana, ale spokojnie czeka, aż wszyscy będą gotowi. Jest taka mała i zagubiona pośród tylu dorosłych. Trafiła do Prokocimia w bardzo ciężkim stanie z innego ośrodka, gdzie uratowano jej życie po pęknięciu naczyniaka w mózgu. W wyniku krwotoku doszło do wielu komplikacji i Ania zapadła w śpiączkę. Tutaj wszczepiono jej zastawkę i po 3 tygodniach leczenia dziewczynka odzyskała siły. W ośrodku rehabilitacyjnym na nowo będzie się uczyć chodzić i ma wielkie szanse, by w pełni wrócić do zdrowia.

Do wyjścia przygotowuje się także Sebastian. Jego mama w pośpiechu wynosi do samochodu siatki z medykamentami i rzeczami osobistymi. Sebastian to dorosły chłopak, ale kiedy trafił do Prokocimia, miał niespełna 18 lat i za specjalnym pozwoleniem NFZ od dwóch lat wraca tutaj na leczenie. Patrzy nieruchomo w jakiś punkt za oknem, na szyi widać ślad po rurce tracheotomijnej. – Już teraz sam przełyka ślinę, nawet czasem próbuję karmić go łyżeczką, chociaż na stałe jest karmiony dojelitowo – opowiada pani Katarzyna, matka Sebastiana. – Ale nie rozmawiajmy przy nim, bo on się denerwuje. Wychodzimy do pokoju socjalnego, a pani Katarzyna opowiada mi o zawiedzionej miłości syna, o tym, jak poszedł się powiesić, jak znalazła go w lesie, odcięła sznur i udzieliła pierwszej pomocy. – Skąd pani wiedziała, gdzie go szukać? – pytam. – Nie wiem, chyba anioł mnie do niego prowadził – odpowiada z powagą. Pewne jest, że to dzięki niej chłopak żyje. Od dwóch lat całkowicie zdany jest na pomoc matki, która go karmi, zmienia pampersy, rehabilituje, sprawdza działanie pompy baklofenowej, wozi na eksperymentalną terapię do profesora Talara do Iławy i na konsultacje do Prokocimia. – Na początku nie dawano mu żadnych szans, uszkodzenia mózgu są potężne, ale ja nie traciłam nadziei: każde jego mrugnięcie, uścisk dłoni to był dla mnie znak, że on mnie słyszy i chce żyć – wspomina.

Pani Katarzyna na blogu *Wierzcie we mnie – dam radę* opisuje swoje codzienne zmagania i za pośrednictwem fundacji zbiera pieniądze na leczenie syna. Kupiła urządzenie do stymulacji mózgu za pomocą pola magnetycznego, zmieniła dom w szpital rehabilitacyjny, chce jeszcze kupić wannę z hydromasażem i przebudować balkon, żeby Sebastian mógł przebywać na świeżym powietrzu. – Wielu rzeczy musiałam się nauczyć, ale nie spocznę, dopóki nie osiągnę celu: Sebastian musi do nas wrócić – mówi z przekonaniem. – Wierzę, że będzie dobrze. Dostaliśmy się do „Szlachetnej paczki" – może ktoś kupi nam nową lodówkę, dzieci dostaną prezenty, czekają nas piękne święta.

Tymczasem profesor zakończył obchód i udaje się do poradni, gdzie na konsultację czeka prawie 20 pacjentów. W hallu głównym szpitala stoi już ogromna choinka. W korytarzu przy poradni wolontariusze fundacji „Mam marzenie" rozdają dzieciom świąteczne prezenty: klocki, lalki i pluszaki. Dzieci są zaskoczone: Mikołaj w takim miejscu?

Około godziny 15 profesor kończy pracę. Może jechać do domu i odpocząć – jutro dzień operacyjny.

*

Kilka dni później spotykam profesora Kwiatkowskiego przed blokiem operacyjnym. Jest zmęczony, ale uśmiecha się, kiedy pytam o Kajetana. Operacja przebiegła doskonale. Chłopiec wyszedł już z oddziału intensywnej terapii i czeka na konsultację onkologiczną, by ustalić, czy potrzebna będzie chemioterapia. – Wszystko będzie dobrze, przed nim długie życie – rzuca przez ramię profesor i biegnie do kolejnych obowiązków.

**) Historie leczenia i informacje medyczne dotyczące pacjentów przedstawione zostały za zgodą rodziców. Imiona niektórych dzieci zostały zmienione.*

Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

Kraków – moje olśnienie

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko **Zdjęcia:** Piotr Uss Wąsowicz

Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa: W maju kończę 90 lat. Moje pokolenie, które przeżyło wojnę, odchodzi i nie ma na to rady. Zostaje pokolenie, które wojny nie dotknęło. I dobrze. Ale najgorsze, że jest kształtowane poprzez pseudo-hurra-patriotyzm. To jest całe współczesne wychowanie. Militaryzm. Nacjonalizm. Ksenofobia. Agresja. Marsze 11 listopada są prostą szkołą pójścia na front.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Jak to było z Panią? Zawsze Pani lubiła Kraków?
Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa: Wielu myśli, że jestem krakowianką, a ja urodziłam się na rogu Marszałkowskiej i Żurawiej w Warszawie. To, bywa, szok dla krakowian [uśmiech].
Przed wojną nie zdążyła Pani przyjechać tu choćby na wycieczkę?
Przed wojną miałam dziewięć lat. W wakacje zawsze jeździliśmy nad morze. Albo do Białki Tatrzańskiej. Ale i wtedy nigdy się nie zatrzymywaliśmy w Krakowie. A kiedy wojna się skończyła, zrobiłam maturę w liceum sztuk plastycznych i wiadomo było, że idę na filozofię na uniwersytet. Lecz ja zdecydowałam się na historię sztuki. I wtedy, na pierwszym roku, pojechaliśmy na wycieczkę do Krakowa, żeby zobaczyć to wszystko, o czym się uczymy... Doskonale pamiętam tamtą chwilę. To było na Rynku, gdzieś w okolicach „Noworola", kawiarni Noworolskiego. Nagle, jak piorun z jasnego nieba, pojawiła się myśl – ja tu muszę mieszkać. Nie, że się zakochałam w jakimś wykładowcy czy studencie. Nie. Ja się zakochałam w mieście. I już jesienią byłam w Krakowie na drugim roku historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim.
Gdzie Pani zamieszkała?
Na Świętego Jana. Oczywiście to nie było żadne mieszkanie, tylko wynajmowana leżanka w kuchni. I tak chyba dwa lata mieszkałam. To było męczące, ale jak się ma 19 lat i cały czas się spędza na uczelni albo w bibliotece, to mieszkanie nie jest czymś ważnym. Lecz po tym trzecim roku uciekłam na Akademię Sztuk Pięknych. A dla mamy już to, że poszłam do liceum sztuk plastycznych, to był wielki problem: że idę do liceum, które nie jest liceum klasycznym i nie będę się uczyć łaciny. A ja byłam leniuch i nie znosiłam szkoły.
Jak Pani znajdowała krakusów?
Od początku miałam szczęście. Na Uniwersytecie Jagiellońskim od razu na drugim roku historii sztuki byli świetni profesorowie. Uczył nas wtedy jeszcze profesor Vojeslav Molè. Gdy to mówię, historycy sztuki się łapią za głowę, że studiowałam chyba w XIX wieku! [śmiech] Był profesor Lech Kalinowski, był profesor Adam Bochnak – dziś już historyczne nazwiska wybitnych historyków sztuki. Wśród moich Mistrzów był też Karol Frycz, scenograf, malarz, reżyser, uczeń Stanisława Wyspiańskiego, Józefa Mehoffera i Leona Wyczółkowskiego. Był jednym z największych plastyków teatralnych pierwszej połowy XX wieku w Polsce, współtwórcą nowoczesnej scenografii polskiej, o którym Leon Schiller napisał, że „uruchomił światło, rozbił je na płaszczyzny, podniósł jego siłę i zróżnicował koloryt". I był profesorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych...
Miałam wielu fajnych kolegów. Wtedy się zaprzyjaźniłam z Piotrem Skrzyneckim, bo też studiował na historii sztuki.
A jaki był dostęp do ówczesnej współczesnej sztuki?
Na historii sztuki nie bardzo, ale nie pamiętam dokładnie. Pewnie dochodziło się tylko do początku XX wieku... Na szczęście już od roku 1956 zbliżyłam się do twórców teatru Cricot 2 i niezależnie od studiów na Akademii Sztuk Pięknych od razu stykałam się ze Sternem, Jeremianką, właśnie z najnowocześniejszą sztuką.
Wtedy zaprzyjaźniła się Pani z Tadeuszem Kantorem...
Nie mogę sobie przypomnieć, jak to się zaczęło. Była taka kawiarnia, Warszawianka. Tam chodził Tadeusz Kantor. Chodzili tam również Jurek Nowosielski, Marysia Jeremianka, Staś Balewicz – pamiętam, że przychodził z wiel-

To było na Rynku, gdzieś w okolicach „Noworola", kawiarni Noworolskiego. Nagle, jak piorun z jasnego nieba, pojawiła się myśl – ja tu muszę mieszkać. Nie, że się zakochałam w jakimś wykładowcy czy studencie. Nie. Ja się zakochałam w mieście. I już jesienią byłam w Krakowie na drugim roku historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Muzeum Manggha

Najpierw japońską kulturę docenił Feliks Jasieński „Manggha" – podróżnik przełomu XIX i XX wieku. Swoją kolekcję sztuki japońskiej Jasieński przekazał w 1920 roku Krakowowi, ale po jego śmierci zbiory zostały zapomniane. O kolekcji przypomniał sobie okupant i z racji hitlerowsko-japońskiej przyjaźni zorganizował jej prezentację w Sukiennicach. 18-letni wówczas Andrzej Wajda ukrywał się przed gestapo i starał się nie kusić losu chodzeniem po mieście. Ale na wystawę do Sukiennic poszedł wiedziony ciekawością. Po latach powie: „Tyle jasności, światła, ładu i poczucia harmonii nie widziałem nigdy". Kiedy Wajda był już cenionym artystą, w 1987 roku otrzymał nagrodę Kyoto Prize nazywaną „japońskim Noblem" – wyróżnienie wiązało się nie tylko z zaszczytem, ale i blisko pół milionem dolarów. Gdy Wajda odbierał nagrodę, opowiedział o olśnieniu sztuką japońską ze zbiorów Jasieńskiego i ogłosił, że nagrodę przeznaczy na budowę w Krakowie miejsca na tę kolekcję. Sławny architekt Arata Izosaki obiecał dać w prezencie projekt. Osobiście wybrał miejsce pod budowę muzeum: przy ruchliwej ulicy Konopnickiej na Dębnikach, wówczas dzielnicy mało atrakcyjnej, pozbawionej jakiegokolwiek kulturalnego centrum. Ale Isozaki zauważył, że takiej możliwości budowania nad rzeką w centrum miasta nie ma już żadna metropolia na świecie. Na uroczystość otwarcia muzeum dzień wybrała Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa – był to 30 listopada, czyli Andrzejki, 1994 roku... Manggha było pierwszym w powojennej Polsce muzeum, którego budowa została w pełni sfinansowana z prywatnych pieniędzy. Dziś jest największym skarbem kultury japońskiej w Europie Środkowej. Gromadzi ponad 10 tysięcy eksponatów sztuki i rzemiosła japońskiego. Oprócz wystaw stałych corocznie organizowane są ekspozycje, które przybliżają gościom niezwykłość dorobku Kraju Kwitnącej Wiśni. To także miejsce, gdzie można nauczyć się japońskiego, wziąć udział w warsztatach parzenia herbaty, a nawet pokazać dziecku świat sztuki origami. Jest i szkoła języka japońskiego, a także Galeria Europa – Daleki Wschód, poszerzająca naszą wiedzę o Oriencie. A najciekawsze jest to, że od Mangghi zaczęła się zmiana wizerunku krakowskich nadbrzeży wiślanych – dziś to uroczy i prestiżowy ciąg architektoniczny...

Piwnica Pod Baranami? W mieszczańskim Krakowie mieliśmy opinię, że zgnilizna, że orgie, że pijaństwo. Co było kompletną nieprawdą. A czy Piwnica była antykomunistyczna? Była. Starała się być normalnym światem. Niezależnym.

kim plikiem papierów do Tadeusza, bo był dyrektorem administracyjnym teatru Cricot, a te wszystkie papiery zawsze mu wylatywały...

Kantor stworzył Cricot 2 w roku 1955 i tu wyreżyserował wtedy *Mątwę* Witkacego, a kostiumy (świetne!) zrobiła Marysia Jaremianka. Obok *Mątwy* Kaziu Mikulski wyreżyserował pantomimę *Studnia* i w tej pantomimie zagrałam maleńką rólkę. Ale wszyscy chodzili do Warszawianki. To było nasze miejsce spotkań. Kantor zrobił na mnie od razu fantastyczne wrażenie, a że Marysia wtedy przygotowywała pierwsze przedstawienie teatru Cricot (Witkacego i obok pantominę), więc w tej właśnie pantominie wzięłam udział. Byliśmy razem wszyscy, były wspólne próby...

Wracając do lat 50., jak wyglądało życie towarzyskie? Nie było jeszcze Piwnicy. Gdzie się wtedy w Krakowie piło wódkę, tańczyło?

Tego nie pamiętam. Po pierwsze – nigdy nie piłam i nie tańczyłam. Co bym więc robiła w towarzystwie, które się upija? Ale ważne było życie, spotkania, rozmowy... Oczywiście, że się czuło presję polityki i ideologii. Bo choć stalinowski czas się skończył w 1956 roku, to została cenzura, ten nacisk. To nie było już tak represyjne, ale jednak.

Czasami patrzymy w przeszłość pewnymi błyskami, mgnieniami... Które mgnienia krakowskie są dla Pani najważniejsze?

Na pewno ta pierwsza iluminacja w Krakowie. To może zbyt poetyckie, ale rzeczywiście coś takiego było. Więc Rynek... Ale pamiętam też Wawel. Piotr Skrzynecki zaprowadził mnie od razu do czakramu, mówiąc, że to ważne miejsce. Kolejny ważny moment to furtka na ulicy Poselskiej. Była zabita blachą, a w niej tylko jedna mała dziurka, przez nią zaś widok na ogrody i na Wawel. Piotr powiedział mi, że to najlepszy widok na Wawel. I rzeczywiście – to była taka jakby wycięta pocztówka. Teraz tę blachę zdjęto i to nie robi już żadnego wrażenia... I wiele różnych sytuacji. Taka choćby: gdy mieszkaliśmy na Świętego Jana, to razu pewnego szliśmy z Andrzejem przez Rynek do magistratu, gdzie mieliśmy odebrać medal Cracovia Merenti. Pamiętacie pana Jasia, który sprzedawał kwiaty? Zaprzyjaźniony z nami wszystkimi. Zatrzymał nas i dał nam kwiaty z tej okazji. To cały Kraków, który wie wszystko, nim zostanie to ogłoszone.

Zawsze jak przechodzę przez Rynek, to jest mi smutno, że nie ma tamtych ludzi.

A Piwnica? Piwnica pod Baranami była jasnym punktem w PRL. Tak dzisiaj to czytamy.

Piwnica była malutka, ale to duże środowisko. Do Piwnicy przychodziło sto, sto kilkanaście osób – to już był straszny tłok. W mieszczańskim Krakowie mieliśmy opinię, że zgnilizna, że orgie, że pijaństwo. Co było kompletną nieprawdą. A czy Piwnica była antykomunistyczna? Była. Starała się być normalnym światem. Niezależnym.

Tu przychodziła krakowska elita. Lekarze, profesura...

Przychodzili. Na przykład Marysia Orwidówna, psychiatrzy. Cała ta grupa psychiatrów, dla których robiono specjalne wieczory. Były też wieczory dla prawników. Potem zaczął przychodzić Jerzy Turowicz i pojawił się „Tygodnik Powszechny". Jerzy był niezwykłym, inteligentnym człowiekiem. To, co Piotr robił, ten typ humoru, typ porozumienia z widownią – bardzo mu odpowiadało.

To była też walka z cenzurą...

Tak. Pamiętam tych panów, którzy przychodzili i myśmy robili dla nich specjalne próby generalne. Na ogół jednak nie rozumieli, o co chodzi, i nie wiedzieli, z czego się ci ludzie śmieją. Dla nich to był szok. Wchodzili do innej rzeczywistości. Oczywiście, musieliśmy dawać do cenzury teksty. Ale Piotr zawsze improwizował, mówił, co chciał, więc nigdy nie było ocenzurowane to, co mówił. Zawsze to było żywe.

Co Panią najbardziej męczyło w PRL?

Oczywiście cały czas była świadomość tego, co się dzieje w całym kraju. Na przykład bardzo przeżyłam rok 1968. Wtedy bardziej się obudziło we mnie to uczucie prawdziwej wściekłości. Wściekłości i rozpaczy równocześnie, bo było wiadomo, że nie mamy żadnej szansy, żeby z tego wyjść. Okropnie było widzieć w Krakowie ten straszny antysemityzm. A było widać. Niestety. Głównie w reakcjach ludzi. Na to, że ten musiał wyjechać, tamten musiał wyjechać. Choćby baba, która mi wynajmowała pokój, powiedziała mi zdanie, które pamiętam do dziś: jedno, co Hitler dobrze zrobił, to że wymordował Żydów. Wyszłam roztrzęsiona, trzasnąwszy drzwiami, ale nie mogłam niczego innego zrobić, choć powinnam była wziąć walizkę i się wynieść. Ale po prostu nie miałam co ze sobą zrobić.

Bardzo przeżyłam rok 1968. Wtedy się obudziło we mnie uczucie prawdziwej wściekłości. Wściekłości i rozpaczy równocześnie, bo było wiadomo, że nie mamy żadnej szansy, żeby z tego wyjść. Okropnie było widzieć w Krakowie ten straszny antysemityzm.

Pani w 1968 roku... Kto przyjechał z Warszawy ze strajku?

Janek Gross.

I zaprowadziła go Pani od razu do Piwnicy?

Przyszedł do piwnicy i potem poszedł z nami do Piotra. No i wyjechał. Po paru dniach wzywają na UB Piotra, mnie i Krzysia Litwina. Wobec tego idziemy do Karola Buczyńskiego, adwokata. Radzimy się, co mówić. On: – Wypierajcie się wszystkiego, nigdy go nie widzieliście na oczy, w ogóle go nie znacie. Więc

Pawilon Czapskiego

Zaczęło się w 1996 roku od wystawy *Wnętrze. Józef Czapski w stulecie urodzin* w Muzeum Narodowym. Polegała między innymi na odwzorowaniu w skali 1:1– i z wykorzystaniem niektórych oryginalnych mebli, sztalug oraz innych przedmiotów – pokoju wybitnego malarza i eseisty z siedziby paryskiej „Kultury" w Maisons-Laffitte. Cieszyła się sporym zainteresowaniem, więc Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa – jako pomysłodawczyni przedsięwzięcia – zasugerowała, by gabinet Czapskiego zrekonstruować już na stałe w remontowanym właśnie pałacu Hutten-Czapskich przy ul. Piłsudskiego. Okazało się jednak, że nie ma tam stosownego wnętrza. Wtedy Zofia Gołubiew, ówczesna dyrektor Muzeum Narodowego, zaproponowała, by na parceli na tyłach pałacyku wybudować parterowy pawilonik, który mógłby być poświęcony autorowi *Wspomnień starobielskich* i *Na nieludzkiej ziemi*. Potem okazało się, że da się tam postawić nawet obiekt nieco większy, bo dwukondygnacyjny.

Do grupy inicjatywnej budowy Pawilonu Józefa Czapskiego weszli między innymi Stanisław Rodziński, Adam Zagajewski, Andrzej Wajda i Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa.

Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa jest też autorką stałej ekspozycji otwartego w 2016 roku Pawilonu przedstawiającej zawiłe i dramatyczne koleje życia Czapskiego: dzieciństwo i pierwsze próby malarskie oraz związki z grupą kapistów, wojna i udział w kampanii wrześniowej, internowanie przez Sowietów, a potem zlecona przez gen. Andersa akcja poszukiwania oficerów zaginionych w ZSRR. A wreszcie: pobyt na emigracji – w tym współpraca z Jerzym Giedroyciem i „Kulturą" oraz twórczość zarówno malarska, jak literacka, publicystyczna i eseistyczna. Oczywiście znajduje się tam także legendarny pokoik artysty – tym razem już z w pełni autentycznym wyposażeniem: meblami, pamiątkami, księgozbiorem, a nawet drzwiami i oknami. Na pierwszym piętrze odbywają się wystawy czasowe, na parterze zaś zaprasza francuskie bistro i czytelnia z książkami Instytutu Literackiego.

Muzeum PRL

Jak z perspektywy lat opowiadać młodym pokoleniom o czasach potwornie – wskutek geopolityki i historii – skomplikowanych, bywało że tragicznych, bywało że śmiesznych, zwykle biednych i generalnie szarych, ale przecież również z mnóstwem chwil radosnych i zacnych?

Pomysł na to był – dowodem rozmaite wersje scenariusza takiej ekspozycji przygotowane z inicjatywy Fundacji SocLand założonej niedługo po przełomie 1989 roku między innymi przez związanych jeszcze niedawno z „solidarnościową" opozycją satyryka Jacka Fedorowicza (i jego żonę Annę), publicystkę Teresę Bogucką, architekta (oraz podziemnego wydawcę) Czesława Bieleckiego oraz Andrzeja Wajdę i Krystynę Zachwatowicz. Istniał plan ulokowania takiego muzeum w symbolu polskiego komunizmu, czyli stołecznym Pałacu Kultury i Nauki. Ale rozważane było także umieszczenie ekspozycji w Nowej Hucie – wzorcowym w założeniu mieście socjalizmu, zbudowanym w opozycji do będącego ostoją tradycyjnych wartości i kultury Krakowa, a z czasem jednak także ośrodka antykomunistycznego oporu. Okazało się jednak, że scenariusze zakładające nie tylko przypomnienie faktów z dziejów Polskie Ludowej, ale też pokazanie rozmaitych jej meandrów i niuansów – prócz skrajnie represyjnego stalinizmu także rozmaitych „odwilży", a obok partyjnych aparatczyków i zdeklarowanych opozycjonistów także większości społeczeństwa, które szukało sposobów na życie w PRL-owskiej rzeczywistości – nie znalazły uznania decydentów. Koncept padł.

---

na ósmą czy dziewiątą rano następnego dnia karnie się stawiliśmy na UB – Piotr i ja. Wielki budynek...

Dziś plac Inwalidów. Wtedy – plac Wolności.

I wypieramy się, żeśmy go nigdy w życiu nie widzieli. Potem się okazało – bezsensownie. Bo po paru latach spotykam Janka w Ameryce, mieszkał w New Haven, a myśmy tam robili z Andrzejem *Biesy*. Okazało się, że to on podał nas na UB w Warszawie jako świadków tego, że on w Krakowie był niewinnie, tylko w kabarecie, żadnych ulotek. [śmiech] A ja pamiętam jak dziś te nasze zapieranie się, że nigdy nie widzieliśmy Janka, w ogóle go nie znamy.

Jak doszło do powstania *Taka głupia to ja już nie jestem*, piosenki, która przeżyje nas wszystkich i będzie grana do końca świata? [śmiech]

Andrzej Krasiński, wielki nasz przyjaciel, któregoś wieczoru po prostu mi to podyktował jako przedwojenną piosenkę, a Piotrowi się to bardzo spodobało, więc poprosił Zygmunta Koniecznego żeby napisał muzykę. Zygmunt nie chciał, bo to taki głupi tekst. Ale w końcu zrobił. I do dziś tego nie znosi – kiedyś po latach napisał, że tego nie pamięta, że to może napisał Radwan [śmiech].

Ale przecież śpiewała Pani super!

Co wy mówicie, śpiewałam okropnie! Ani słuchu, ani głosu. Miałam tego świadomość. Do dziś myślę, żeby rzeczywiście zaśpiewać taką głupią, nie trzeba być taką głupią. [śmiech] Stąd to wynika. Że to się tak spodobało.

Jakieś przestrogi, rady, uwagi?

W maju kończę 90 lat. Moje pokolenie, które przeżyło wojnę, odchodzi i nie ma na to żadnej rady. Uświadomiłam sobie, że moja mama przez całe życie przeżyła dwie wojny światowe – pierwszą i drugą. Ja tę drugą. I wolałabym już kolejnej nie doczekać. Zostaje pokolenie, którgo wojna nie dotknęła. I dobrze. Ale najgorsze, że jest kształtowane poprzez pseudo-hurra-patriotyzm. To jest całe współczesne wychowanie. Militaryzm. Nacjonalizm. Ksenofobia. Agresja. Marsze 11 listopada są prostą szkołą pójścia na front. Jestem zrozpaczona, że biorą w tym udział nauczyciele i rodzice. Ale najbardziej boli to, co się robi z głowami tych nieszczęsnych dzieci. Że przegrywamy młodzież.

Może źle opowiadamy o zagrożeniach?

Nie, nie sądzę. Tragedia polega na tym, że to jest nieprzekazywalne doświadczenie. Żaden film, żadna relacja – nic na to nie pomaga. Wojenka się zrobiła jakąś przygodą. Ba, człowiek dorosły, po wyższych studiach, potrafi napisać, że wojna uszlachetnia! To w ogóle nie do wiary.

Może jest coś w naturze człowieka? Jakiś gen samozagłady?

Może trzeba jakieś Koloseum znowu zrobić, żeby były krwawe walki?

Tak, może to jest potrzebne.

Dziękujemy za wszystko.

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

„PORTRETY 2020" (kwiecień)

Opracowanie: Witold Bereś

Biografia człowieka, społeczności, miejsca zarówno w książce, filmie, jak i na wystawie... Dlatego wybierając w konkursie „Portrety 2019" najlepsze polskie dzieło biograficzne ubiegłego roku (w finale zwyciężył *Pusty las* Moniki Sznajderman), w kolejnych miesiącach na bieżąco przedstawiamy najciekawsze portrety obecnego roku 2020.

„Dwa, trzy dni przedłużenia? Może się uda. Ale o rozciągnięciu wyprawy do końca lutego można zapomnieć. Zawada wyraził obawę, że jeśli wejdą po 15 lutego, to »świat nie uzna polskiego rekordu«. Tymczasem zapadła noc z 12 na 13 lutego, która miała zmienić przebieg gry o Everest".

Udało się. Po raz pierwszy w zimie zdobyto ośmiotysięcznik, co otworzyło nowy rozdział w himalaizmie – wyprawy zimowe w najwyższe góry świata. Na szczyt dotarli Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy, a w ekipie były jeszcze takie tuzy jak Andrzej Heinrich i Andrzej Zawada. Wyprawa skończyła się sukcesem, choć wspominana dziś przez Cichego historia musi budzić wątpliwości dotyczące skali ryzyka czy wręcz przerostu ambicji himalaistów. Już opis samych przygotowań do wyprawy podnosi ciśnienie: Wielicki wspinał się w... okularach do spawania, a pozostali mieli zwykłe narciarskie gogle. To świetny zbiorowy portret niewielkiej, lekko szalonej grupy, w którym Leszek Cichy i słuchający jego wspomnień Piotr Trybalski nie tylko odtworzyli całą drogę na szczyt Everestu, ale też uchwycili niezwykły moment złotej epoki polskiego himalaizmu.

Piotr Trybalski, Leszek Cichy, *Gdyby to nie był Everest...*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020

(opr. wb)

*

Znana i ceniona w świecie jest polska szkoła plakatu, lecz wydawnictwo Karakter sięga dalej niż sława plakatu sięga i od paru lat przypomina o polskiej szkole typografii oraz projektowania książek. W tym roku zainicjowało bibliotekę *Sztuka książki* poświęconą mistrzom tej dziedziny. *Ballada o dziewczynie* to dzieło unikatowe: jednocześnie świetnie zredagowany i wydrukowany album, wspomnieniowy wywiad rzeka oraz biografia zawodowa Ewy Fryszak, jednej z topowych ilustratorek powojennego PIW-u, Czytelnika, WL-u. Wydanie przygotował Janusz Górski – grafik, projektant książek, wykładowca ASP w Gdańsku. Dzięki niemu dostajemy do rąk mięsistą i oko cieszącą rozmowę fachmana z fachmanką. A czego tu nie ma: historie z życia literacko-towarzyskiego Warszawy, rywalizacja artystów, wyjazdy do porewolucyjnych Chin, kłótnie z drukarzami, a wszystko to okraszone szewskim i ostrym jak brzytwa językiem Fryszak. Błądzi ten, dla kogo projektowanie okładek kiedyś ograniczało się do machania pędzelkiem i ustalania palety barw. Wystarczy przypomnieć, że w głębokim PRL-u graficy potrafili własnoręcznie malować autorskie kroje liter, ba – znać się na kaligrafii, imitować japońskie sztychy i akwarele bez pomocy komputera. Niektórzy nawet, jak Ewa Fryszak, pracę nad projektem okładki zaczynali od przeczytania *(sic!)* książki, którą będą ilustrować. A były to w przypadku naszej bohaterki między innymi najważniejsze prace z dziedziny ówczesnej humanistyki czy prawie cała (ostatnio z sukcesem wznowiona) seria skandynawska Wydawnictwa Poznańskiego. Dziś, gdy obwoluty książek przypominają coraz częściej opakowania produktów spożywczych, a grafikiem można zostać po dwutygodniowym kursie on-line *Ballada o dziewczynie* to historia wyjątkowa nie tylko dla studentów czy fanów designu (dawniej: wzornictwa), ale też dla każdego bibliofila, który choć raz szperał w stoiskach bukinistów lub wdychał kurz antykwariatów, by natrafić na kolekcjonerskie wydania Philipa Rotha, Pearl S. Buck, Martina Walsera. Nowy cykl Karakteru szczerze polecamy każdemu miłośnikowi prasy i farby drukarskiej!

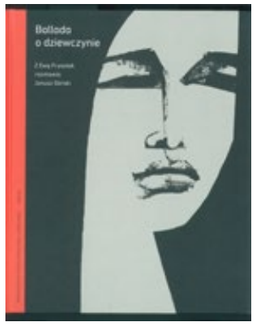

Ewa Fryszak, Janusz Górski, *Ballada o dziewczynie*, Karakter, Kraków 2020

(Jakub Wydrzyński)

Cienie nad miastem

Tekst: Monika Libicka **Collage:** Janusz Stefaniak *Kapłanki łez*

Od wielu lat mieszkam przy placu Inwalidów na Żoliborzu. Gdy wyruszam stamtąd w stronę centrum Warszawy, przecinam Muranów, który powstał po wojnie na terenie dawnej Dzielnicy Północnej. Przejeżdżam wtedy wiaduktem nad torami i mijam ulicę Stawki. Po prawej stronie, pięćset metrów dalej, Stawki krzyżują się z Dziką.

1.

Tuż obok przed wojną wytyczono dziedziniec dla budowanego tam zespołu trzech szkół powszechnych. Szkoły miały rozpocząć działalność we wrześniu 1939 roku – w nowym, zreformowanym przez Janusza Jędrzejewicza, systemie oświaty. Wybuch wojny zmienił przeznaczenie tego miejsca. Obok Niemcy utworzyli zamkniętą dzielnicę żydowską, a dziedziniec szkół i mieszczących się obok magazynów zaopatrzenia nazwali placem przeładunkowym. Miał on z ich perspektywy tę logistyczną zaletę, że dochodziła do niego bocznica dawnej Kolei Obwodowej, zbudowanej jeszcze w czasach zaboru rosyjskiego pod koniec XIX wieku. Po otoczonym ponurą sławą Umschlagplatzu pozostał tylko memoriał w postaci kamiennej bramy ulokowanej przy Stawki; dokładnie w miejscu, gdzie spędzano mieszkańców getta przed ich ostatnią podróżą.

Dziś w tej okolicy stoją wzniesione w latach 70. ubiegłego wieku budynki należące do Spółdzielni Stawki. Na stronie internetowej spółdzielni możemy przeczytać, iż zajmuje ona „ponad sześciohektarowy obszar, na którym zlokalizowanych jest 6 budynków, w tym 5 mieszkalnych i 1 pawilon handlowo-usługowy". Spółdzielcy piszą też z pewną dumą, że w blokach z wielkiej płyty zastosowano technologię „ramy H w układzie podłużnym wraz z dużymi balkonami, co w ówczesnych czasach należało do rzadkości." O wojennej historii działki nic nie piszą. Ani o tym, że nad tą okolicą niebo chmurzy się i przejaśnia trochę inaczej.

Dalej wjeżdżam w okolicę dawnych Nalewek. Gdyby narysować linię śladem jej przedwojennego biegu, trzeba by ją pociągnąć przez dachy budynków wzniesionych wzdłuż wytyczonej tu po wojnie ulicy Andersa. Stare Nalewki krzyżują się z nią gdzieś na wysokości ulicy Świętojerskiej i przechodzą wzdłuż parku Krasińskiego, by zakończyć swój bieg na ulicy Długiej. Kiedyś, w czasach, gdy Nalewki tętniły życiem, stanowiąc centrum przedwojennej dzielnicy żydowskiej, ich bieg kończył się na placu Tłomackiem, nad którym, od południowej strony, górowała bizantyjsko-mauretańska bryła Wielkiej Synagogi.

Po wojnie tę przestrzeń przemeblowano, dostosowując ją do potrzeb odbudowywanego miasta i dziś wygląda trochę jak wynajęte mieszkanie, które nowi lokatorzy spróbowali oswoić. Na ścianach jednak wciąż rysują się przydymione od kurzu kontury poprzestawianych mebli i obrazów, zupełnie jakby te stare sprzęty chciały zostawić jakiś ślad, choćby cień swojej obecności. Te cienie towarzyszą mi zawsze, gdy jadę z Żoliborza do placu Bankowego. Cienie, a może powidoki...

2.

Myślę wtedy, że znam miasta, którym lepiej się wiodło w przeszłości. Mają historię, która nie wywołuje dreszczy ani duchów za każdym razem, gdy człowiek wyjdzie na ulicę. Na przykład Rzym. Można tam sobie spokojnie pójść z psem na spacer i chodzić z nim od placu do placu, cały dzień, bez jednej ponurej myśli. Można zacząć od Schodów Hiszpańskich, przeciąć Centro Storico w okolicy Via Cavour i dojść do Tybru. Przekroczyć go mostem Ponte Sisto, wplątać się w uliczki Trastevere, by na koniec, mijając mały targ na Piazza di San Cosimato, usiąść w kafejce po jego zachodniej stronie i poczytać książkę w chłodnym cieniu kamienic. I przez cały ten czas nie zastanawiać się nad masowymi grobami niewinnych ani nad pochodami prowadzonych na rzeź. I nie wsłuchiwać się w jęk tych, których zabijano na ulicach i w domach seriami z karabinów albo pojedynczymi strzałami w głowę, w sposób planowy lub zupełnie przypadkowy. Nie ma tego bagażu, z którym zwykle chodzi się po centrum Warszawy.

Oczywiście, wiadomo że miasto tak stare jak Rzym ma na swoim sumieniu sporo morderstw, gwałtów i podłości. I gdyby pogrzebać w przeszłości, to niejedno straszne wspomnienie mogłoby wrócić. Na przykład, wchodząc na Piazza Campo dei Fiori, plac, który leży na naszej trasie, można by nie myśleć o kwiatach w jego nazwie, o „koszach oliwek i cytryn, bruku opryskiwanym winem" – jak pisał poeta. Można by minąć barwne, pach-

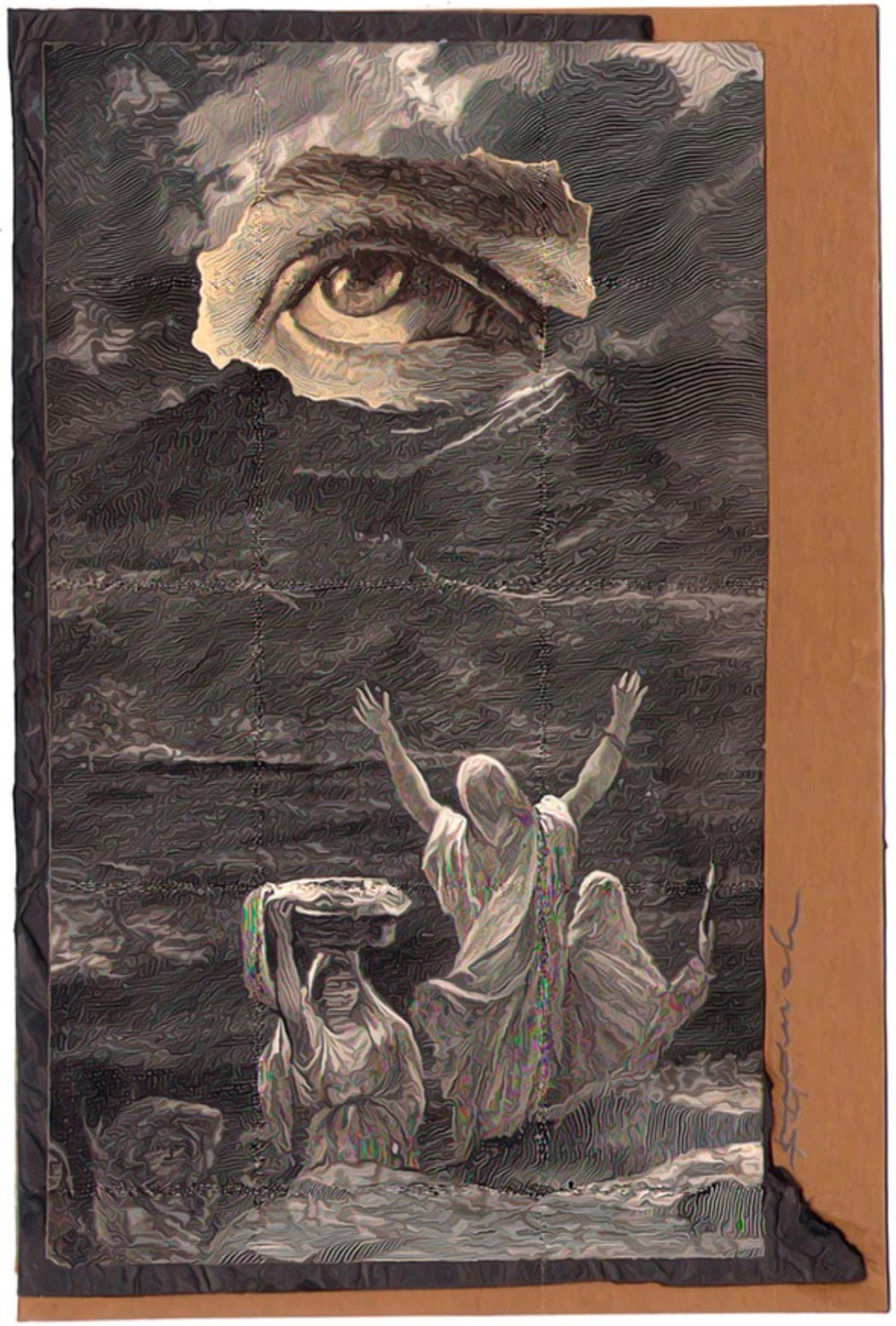

nące stragany, rozstawiane tam co rano, i nie zwrócić uwagi na „różowe owoce morza, (...) naręcza ciemnych winogron". Myśli mogłyby za to popłynąć ku sylwetce nagiego człowieka, przywiązanego na tym placu do wysokiego słupa. Do zanurzonego w żółto-czerwonym żarze ciała, do płomieni liżących jego skórę, coraz wyżej i wyżej. I do jego bólu.

Już dawno zatarł się w naszej pamięci wyraźny obraz męki Giordana Bruna, któremu kościelna inkwizycja, głosem kardynała Bellarmina, zaproponowała zakończenie żywota na stosie. Giordano zaznał oczyszczającego płomienia prawdy, ponieważ pozostał wierny swoim przekonaniom i nie wycofał się z głoszonych tez. Poza swoim najbardziej znanym

Jeśli życie i śmierć są jedynie stanami przejściowymi, to co dzieje się po śmierci? A co jeśli naraz ginie 400 tysięcy ludzi? Sześć milionów? Co z ich duszami? Jedna odpowiedź jest pewna – każda śmierć jest samotna.

poglądem, krytycznym wobec tezy zawartej w *Księdze Eklezjastów* (1,4), czyli „*Terra autem in aeternum stat; Sol oritur et occidit*" („Ziemia stoi, Słońce się porusza").

Giordano nie chciał również wyrzec się swojej intuicji dotyczącej ludzkiej duszy. Uważał bowiem, że „dusza człowieka stanowi jedynie przejściowy wyraz duszy Wszechświata, tak jak ciało jest duszą dla materii Wszechświata. Dusza ludzka miałaby być nieśmiertelna w tym sensie, że powróci do swojego źródła. To samo dotyczy ciała, ponieważ materia jest wieczna". Z tej tezy wnioskował dalej, że „życie i śmierć są jedynie stanami przejściowymi. Materia, która jest niezmienna, może przybrać dowolną formę". Za te prawdy Giordano musiał umrzeć w samotności i opuszczeniu, co trzysta lat później wspomniał Czesław Miłosz taką strofą: „Kat płomień stosu zażegnął/W kolei ciekawej gawiedzi./A ledwo płomień przygasnął,/Znów pełne były tawerny,/kosze oliwek i cytryn/Nieśli przekupnie na głowach" (*Campo di Fiori*). Pozostały pytania: czy dusza ludzka po śmierci wraca do źródła? Jeśli życie i śmierć są jedynie stanami przejściowymi, to co dzieje się po śmierci? A co jeśli naraz ginie 400 tysięcy ludzi? Sześć milionów? Co z ich duszami?

Jedna odpowiedź jest pewna – każda śmierć jest samotna.

Na Piazza Campo dei Fiori refleksje nad sensem śmierci nasuwają się tym, którym nie przeszkadza tłum turystów kotłujących się pod kamienną figurą zakapturzonego Giordana Bruna. Jednak refleksje te, jeśli w ogóle się pojawiają, są zwykle dość akademickie i abstrakcyjne, przez co pozbawione ładunku ciężkich emocji. Upływający czas wystarczająco skutecznie zatarł to, co mury Rzymu widziały przed wieloma wiekami. Z dużą wprawą i profesjonalizmem, wynikającym z bogactwa doświadczeń, czas przeniósł te nieprzyjemne wspomnienia na karty historycznych podręczników lub do cichych korytarzy muzeów. Dlatego dziś można spacerować po Rzymie w dobrym nastroju. Można iść w majowym słońcu i ani razu nie myśleć o śmierci i zabijaniu. Można.

3.

A w Warszawie tak się nie da iść i zapomnieć. Tragiczna historia jest zbyt nieodległa, by dało się ją łatwo zapakować między okładki książek i zbyt wyraźna, by wcisnąć ją w beznamiętne, obiektywne kadry filmowych dokumentów. Ilekroć chodzę po ulicach Muranowa, myślę o cmentarzu, na którym został wybudowany, i o cieniach tych, którzy tu byli wcześniej.

Początkowo sądziłam, że tylko mnie te cienie dopadają. Rozmowy z przyjaciółmi zmieniły ten pogląd. Potem przeczytałam tekst Barbary Engelking i Jacka Leociaka, którzy zauważają: „Miejsce-po-getcie jest puste (chociaż zabudowane), jest ogołocone i martwe (chociaż wre tam życie). Miejsce ocalało, ale zostało niejako wydrążone, pozbawione »treści«, »wnętrza«. Getto, które tutaj było, uległo zagładzie, ale owo »tutaj« pozostało, zasłonięte jednak obecnością dzisiejszego Muranowa. Zostały ramy, które mieszczą w sobie już inną rzeczywistość, pozostał punkt topograficzny, kartograficzna abstrakcja". Chodząc dziś po obszarze byłego getta, doświadczamy szczególnego paradoksu uobecnienia pustki. Doświadczeniu temu towarzyszy swoiste poszerzenie widzenia, podwojenie perspektywy. Oto zaczynamy widzieć to, czego nie widzimy (wyobrażoną rekonstrukcję getta); natomiast w jakimś sensie nie widzimy już tego, co widzimy (rzeczywistości postrzeganej tu i teraz). Topografia współczesnego Muranowa staje się niejako przezroczystą zasłoną, która okrywa to, co naprawdę chcemy widzieć.

Monika Libicka – wrocławianka mieszkająca od lat w Warszawie i w Brazylii, a wcześniej w Nowym Jorku. Dziennikarka i felietonistka. Wielbicielka reportażu Kapuścińskiego, toskańskich pejzaży i oceanicznych medytacji. Brała udział w obronie Puszczy Białowieskiej. Właścicielka „charta żoliborskiego" Molly i autorka bloga www.monikalibicka.blox.pl.

Kręci mnie plakat...

Tekst: Ewa Kozakiewiczowa **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

Krzysztof Dydo zbiera plakaty nie po to, aby je tylko mieć i mieć. Chce się nimi chwalić i pokazywać je. W swym życiu kolekcjonerskim zorganizował aż 700 wystaw, najwięcej za granicą. Najmniej w Krakowie, gdzie w czasach, kiedy nikomu się o tym nawet nie śniło, założył Galerię Plakatu.

Kolekcja plakatów Krzysztofa Dydo liczy około 20 tysięcy tytułów i jako jedyna w kraju zawiera dzieła wszystkich artystów polskiej szkoły plakatu. Znanej i podziwianej na całym świecie. – Skupiam się na polskim plakacie, bo chcę kontynuować to, co tata robił przez całe życie i co udało mu się zgromadzić – mówi Natalia Dydo, córka kolekcjonera. Od dwóch lat prowadzi drugą w Krakowie Galerię Plakatu i jest tego samego zdania co ojciec. – Plakat musi iść do ludzi!

Kolekcja jedna, dwie galerie

Dydo Poster Collection to całość udostępniana w obydwu galeriach w Krakowie. Przy czym do trzydziestometrowej klitki wciśniętej między restauracje w dawnych Kramach Dominikańskich docierają głównie turyści zagraniczni. Amerykanie, Anglicy, Australijczycy, Japończycy czy przybysze z Nowej Zelandii, kolekcjonerzy i zwykli podróżnicy z całej Europy mają w swych przewodnikach ulicę Stolarską oznaczoną jako punkt obowiązkowy do odwiedzenia w Krakowie. To z myślą o nich Krzysztof Dydo zorganizował specjalnie konkurs na plakat o Krakowie pod hasłem „Dzień dobry w Krakowie". Powstały różne wizje naszego miasta, wygrał Mieczysław Górowski, jego plakat został wydrukowany, podobnie jak nagrodzone i wyróżnione projekty Piotra Kunce, Marleny Nizio i Władysława Pluty.

Dydo Poster Gallery przy al. Focha, nieopodal Błoni, w dawnym hotelu Cracovia, jest drugą Galerią Plakatu w Krakowie, cieszącą się powodzeniem nie tylko u gości zagranicznych. Wielkie hotelowe okna na parterze zachęcają spacerowiczów do zaglądania do środka. – Te plakaty muszą gdzieś iść w świat – mawia Natalia Dydo i sprzedaje duplikaty z kolekcji. – Nie po to jednak założyłam Galerię, plakat to nie jest prosty biznes! Musi się coś dziać wokół niego, dlatego robię spotkania z artystami, wystawy i warsztaty...

W 2020 roku Krzysztof Dydo – jak to w Krakowie – będzie obchodził aż trzy jubileusze: 60-lecie istnienia kolekcji i 35-lecie istnienia Galerii Plakatu, sam kolekcjoner kończy 75 lat!

Kolekcjonerskie wtajemniczenie

– W mojej rodzinie wszyscy coś zbierali: dziadek i ojciec znaczki oraz pudełka i etykiety zapałczane. Próbowałem tego i ja, ale czułem, że trzeba zbierać coś zupełnie innego, coś, co tylko ja będę miał – wspomina Krzysztof Dydo pierwsze kroki kolekcjonerskiego wtajemniczenia.

Był właśnie jak co roku na wakacjach z rodzicami w Osielcu koło Jordanowa, kiedy przyjechało kino objazdowe z filmem *Bulwar zachodzącego słońca*. Urzekł go plakat Waldemara Świerzego. Nie pamięta, czy znalazł go na drodze oderwany przez wiatr czy dyskretnie wyciął żyletką ze ściany remizy... Wie, że pchała go przemożna chęć posiadania czegoś, co spodobało mu się naprawdę. Nie podejrzewał, że schowane tego lata w tapczanie plakaty filmowe i duży plakat piosenkarza Marino Mariniego staną się zalążkiem poważnej kolekcji!

Od tych wakacji myślał już tylko o jednym – skąd wytrzasnąć kolejny plakat do... skrytki w tapczanie. Chodził po krakowskich kinach – bileterzy i kasjerzy nie tylko odkładali mu plakaty, ale nawet za darmo wpuszczali na seanse filmowe. Kiedyś, wspomina, pieniądze, które dostał od rodziców na zakup butów, poszły na flaszkę dla ulicznych rozlepiaczy, od których potem dostawał kolejne egzemplarze plakatów za darmo. Był już „swój".

– Z czasem wszystko się unormowało. Dowiedziałem się, gdzie się plakaty drukuje, poznawałem ludzi, którzy je projektują. Wreszcie trafiłem do Poznania, gdzie zawsze 1 maja w Arsenale spotykali się entuzjaści plakatów i można było się wymieniać swoimi zdobyczami. Jeździłem do Warszawy, gdzie na Ścianie Wschodniej można było kupić plakat jazzowy, a w Teatrze Narodowym plakat teatralny – opowiada Krzysztof Dydo o początkach swojego kolekcjonowania. Pasja z dzieciństwa nie opuściła go ani na moment w czasach szkolnych i studenckich mimo zawiłych meandrów losu. Nawet kiedy został nauczycielem fizyki i podstaw elektrotechniki w Technikum Kolejowym w Krakowie! Pracował też w branży turystycznej – we wszystkich miejscach pracy upychał swoje plakaty, bo w domu nie mieściły się już nigdzie...

Pierwszym artystą, którego Dydo poznał osobiście, był Waldemar Świerzy, idol z dzieciństwa. – Wymyśliłem i zorganizowałem w teatrze w Opolu jego wystawę, potem poznałem Franciszka Starowieyskiego, któremu prezentację prac zrobiłem w BWA w Kra-

劇団 解体社
テアトル シネマ
Kraków
Wayne Kramer
OVER

Richard II
Jan Młodożeniec

kowie. I tak po kolei Krzysztof Dydo poznał wszystkich wybitnych polskich twórców plakatu.

– Kiedyś byłem w Berlinie, w stołówce studenckiej rozkładałem na podłodze plakaty, sprzedawałem je. Nagle nade mną ktoś się odezwał: „To przecież mój plakat!". To był Jan Lenica, który wówczas mieszkał na stałe w Paryżu, ale wykładał w Berlinie. Tak go poznałem – wspomina Dydo.

Galeria Plakatu

Fama o sukcesach wystawienniczych i stale powiększającej się kolekcji Dydo poszła w świat. Stał się znanym kolekcjonerem, związanym z polskim plakatem artystycznym. W Warszawie w latach 80. ubiegłego wieku istniała już Galeria Grafiki i Plakatu. Dlaczego w Krakowie nie mamy takiej? – Kiedyś szedłem ulicą i podszedł do mnie dyrektor Desy. Zapytał, czy nie chciałbym założyć w Krakowie Galerii Plakatu? W Desie płacili kiepsko, ale perspektywa stworzenia galerii była nęcąca. To było to, co chciałem robić – wspomina Dydo. Galeria znalazła miejsce w dawnej pracowni rzeźbiarskiej Mariana Kruczka, artysty zmarłego w 1983. Po niewielkim remoncie pierwsza i jedyna specjalistyczna Galeria Plakatu pod szyldem Desy została otwarta w 1985 roku wystawą plakatu antywojennego.

Kiedyś pieniądze, które Dydo dostał od rodziców na zakup butów, poszły na flaszkę dla ulicznych rozlepiaczy, od których potem dostawał kolejne egzemplarze plakatów za darmo.

Z tą wystawą i wyróżniającym się plakatem Władysława Pluty szef Galerii pojechał do Paryża, potem do Sztokholmu, Wiednia i Londynu. I tak to się potoczyło. – W 1989 zmienił się w Polsce ustrój i od razu z moją wspólniczką panią Ewą Pabis przeszliśmy na ajencję. Nie mieliśmy żadnego wyposażenia, szuflad na plakaty ani mebli. Sprzedaż wyglądała tak: klęczałem na podłodze i przekładałem stosy plakatów, a Szwed stał i wybierał... Wyglądało nieźle, bo po wejściu do małej dziupli w Kramach Dominikańskich widz nagle znajdował się w innym świecie. Ze ścian spoglądały na niego osobliwe twarze, niesamowite stwory... Klimat galerii był zasługą właścicieli, którzy prezentowali plakat malarski, ekskluzywny, reklamujący wydarzenia kulturalne. – Nasza galeria była jedyną galerią czysto plakatową ukierunkowaną na polską szkołę plakatu. Przykładowe nazwiska artystów: Henryk Tomaszewski, Józef Mroszczak, Jan Lenica, Jan Młodożeniec, Rafał Olbiński, Wiktor Sadowski, Roman Cieślewicz, Statys Eidrigevičius, Wiktor Górka, Waldemar Świerzy, Roman Kalarus – mówi Krzysztof Dydo.

Dydo Poster Collection w Krakowie pokazuje elitę polskiego plakatu i jego niepowtarzalność. Od samego początku Dydo miał ambicję, aby dokumentować polski plakat poprzez wydawanie katalogów, książek, kartek i plakatów do organizowanych wystaw. Wydał w Polsce kilkanaście albumów o plakacie, między innymi *100 lat polskiej sztuki plakatu*, *100 lat kina w Polsce*, *Polski plakat teatralny 1899–1999*. Dzięki przyjaciołom kolekcjoner stał się autorem wydawnictw o polskim plakacie za granicą: w Rosji, Bułgarii, we Włoszech i w Meksyku.

Nowa jakość

Natalia Dydo ogłosiła konkurs międzynarodowy na plakat rowerowy *Kręci mnie plakat*. Plakat zapowiadający konkurs stworzyła Kaja Renkas i udostępniła go Iwonie Pomianowskiej, która zajęła się jego animacją. Kółeczka się ruszają, kobieta jadąca na bicyklu zmienia się: kręci głową, raz ma okulary, raz ich nie ma.... Innowacją w konkursie była adaptacja plakatów animowanych do aplikacji AR Dydo w rozszerzonej rzeczywistości. Aplikację można zainstalować w telefonie lub tablecie z systemem Android. Po nakierowaniu ekranu na rowerzystkę na okładce katalogu można zobaczyć jak działa rozszerzona rzeczywistość... Natalia Dydo, która jest admiratorką starych, dobrych plakatów, a jej ulubionym jest *Tragiczne polowanie* Franciszka Starowieyskiego, premiuje plakaty animowane, które jeszcze u nas nie są tak znane jak za granicą. Od samego początku, kiedy zaczęła wyjeżdżać z ojcem na wystawy, wie, co w trawie piszczy... Kiedy była w Londynie na praktyce studenckiej, zorganizowała w małym kościołku wystawę polskiego plakatu, w ramach ministerialnej promocji kultury polskiej za granicą stworzyła projekty dotyczące polskiego plakatu w Turcji i na Islandii. – Aby prowadzić galerię z programem, muszę mieć dodatkowe fundusze, dlatego szukam dofinansowania i dotacji od różnych instytucji...

Jej pasja jest prawdziwa, bo kto by ją zmusił do wstawania o świcie, by być jak najwcześniej w biurze korporacji, gdzie pracuje. Po to, aby już o godzinie 14.30 otworzyć swoją galerię. Galerię Plakatu.

Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim", „Gazetą Krakowską" i „Przekrojem", współpracowała między innymi z „Warsaw Voice", „Newsweekiem", „Czasem Krakowskim", kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.

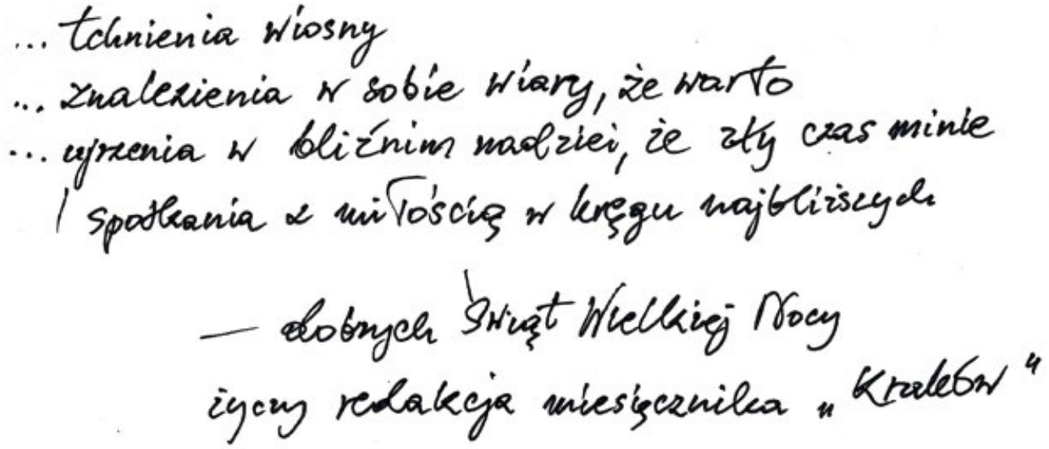

... tchnienia wiosny
... znalezienia w sobie wiary, że warto
... wyrzenia w bliźnim nadziei, że zły czas minie
i spotkania z miłością w kręgu najbliższych

— dobrych Świąt Wielkiej Nocy
życzy redakcja miesięcznika „Kraków"

Z bluesem w Krakowie

Tekst: Jerzy Armata **Zdjęcia:** Michał Sułkowski i Marek Nosek/za zgodą organizatorów

Krakowski blues rodził się na początku lat 80. ubiegłego wieku w Dworku Białoprądnickim, gdzie odbywały się wówczas tak zwane zjazdy błędnych, czyli comiesięczne maratony koncertowe Meeting on the Białucha River. W ostatnich latach symbolem związków miasta z dwunastotaktowcem stały się choćby kolejne edycje koncertów *Kraków czuje bluesa*.

Ale pierwszy raz tego typu granie usłyszałem w Krakowie w połowie lat 70. niespodziewanie w... Piwnicy pod Baranami. Kiedy artyści piwniczni schodzili ze sceny po kabarecie, Piotr Skrzynecki, żegnając publiczność, zaanonsował nadprogramowego artystę: „Kto chce, niech zostanie i posłucha. Będzie śpiewał i grał Piotr Ostafil. I będzie to czynił wyłącznie na własną odpowiedzialność". Część publiczności została, a nieco stremowany muzyk z gitarą akustyczną oraz przymocowaną do specjalnego uchwytu harmonijką ustną zaczynał grać miłe memu uchu dźwięki. I popłynęły bluesy klasyków z Delty – Roberta Johnsona, Bukki White'a, Sona House'a, Freda McDowella, a Ostafil wykonywał je tak, że ciarki pojawiały się na plecach. Od tego czasu zacząłem bywać w Piwnicy także z bluesowych powodów.

Narobimy huku w mieście

Jednym z filarów krakowskiego kabaretu był Wiesław Dymny, artysta renesansowo uzdolniony – plastyk, aktor, scenarzysta, poeta, prozaik, także kierownik artystyczny i tekściarz bigbitowego zespołu Szwagry, w repertuarze którego często dało się słyszeć rhythmandbluesową nutę. *Off the Hook* (*Zrobimy huk*) Micka Jaggera i Keitha Richardsa z The Rolling Stones czy *She's Woman* (*Wesele*) Johna Lennona i Paula McCartneya z The Beatles, z jego polskimi tekstami, były tego najlepszymi przykładami. Dymny uchodził za najlepszego tłumacza zachodnich hitów, choć prawdę mówiąc, nie znał za bardzo angielskiego.

Narobimy huku w mieście,
stuku na całe przedmieście,
w całej naszej okolicy,
zbledną wszyscy urzędnicy

– śpiewał Włodzimierz Gurgul, wokalista Szwagrów, w *Huk, puk*, jednym z największych przebojów krakowskiego zespołu, notabene polskiej wersji słynnego *I'm Crying* Erica Burdona i Alana Price'a z The Animals, oczywiście w przekładzie Dymnego.

„Trzysta tysięcy gitar nam gra, żyć – nie umierać!" – wyśpiewywała wówczas, w połowie lat 60., Karin Stanek, wokalistka Czerwono-Czarnych. Duża ich część grała w naszym mieście, ponoć istniało wtedy w Krakowie około siedmiuset młodzieżowych zespołów! Wiele z nich, między innymi Dżamble, Kormorany, Bezimienni, The Lessers, miało w swym repertuarze bluesowe czy rhythmandbluesowe covery, co uchodziło wtedy za szczyt progresywnego grania.

Gruby i Ibanez – pojedynczy ludzie

Te zespoły to jednak prehistoria krakowskiego bluesa oraz rhythm and bluesa. Tak naprawdę prawdziwy boom tej muzyki zaczął się w naszym mieście dzięki Dworkowi Białoprądnickiemu, czyli nad „Białucha River". To tam rozpoczynali kariery Tadeusz Pocieszyński, Kazimierz Dobrowolski, ich formacje The Cooks, Monkey Business, tam pierwsze koncerty grała Krakowska Grupa Bluesowa, stamtąd ruszył w świat rockowy Maanam, tam narodził się najpierw bluesowy, potem gospelowy The Willows.

Oto jak białoprądnickie zjazdy błędnych wspomina – na łamach książki Marka Jakubowskiego i Mariusza Szalbierza *Blues w Polsce* – Tadeusz „Gruby" Pocieszyński, późniejszy lider Monkey Bussines i Bluesmobille: „Ściągały one z całego Krakowa, i nie tylko, nawiedzonych i zakręconych ludzi, pragnących słuchać muzyki i ją grać. Były to tłumy i ciężko się było dostać do środka. Na tych imprezach poznałem ludzi »chorych na bluesa«, którzy pomogli mi zdobyć pierwsze nagrania z tą muzyką"

Takim „chorym na bluesa" był bez wątpienia Kazimierz „Ibanez" Dobrowolski, absolwent Akademii Muzycznej w klasie perkusji symfonicznej, który w czasie swych „poważnych" muzycznych studiów grywał już bluesa z Pawłem Ostafilem oraz The Willows, wówczas akustycznym kwartetem wykonującym kawałki Hookera, który potem przekształcił się w formację wokalno-instrumentalną, specjalizującą się w gospel i negro spirituels (a poświęcając się bluesowi, na życie zarabiał, grając na kotłach w operetce).

W 1983 roku obaj krakowscy „brothers in blues" postanowili połączyć siły i tak powstał ansambl The Cooks.

„Dużym atutem zespołu jest jego naturalność. Niemała to zasługa gitarzysty Tadeusza Pocieszyńskiego, który jest prawdziwą »pociechą« polskiego bluesa. Sympatyczny, obdarzony dużym poczuciem humoru grubasek daje show, jaki nieczęsto spotyka się na naszych scenach" – pisał Rafał Szczęsny Wagnerowski na łamach magazynu muzycznego „Śpiewamy i Tańczymy". Wtórował mu Jan Chojnacki w miesięczniku „Non Stop": „Dla mnie objawienie – krakowski zespół The Cooks, a w zasadzie jego frontman – Kazimierz Dobrowolski. »Wygląda jak cieć, ale show daje taki, że pęka żyła« – uprzedził mnie szef programowy »Rawy« [zespół wystąpił w 1984 roku na festiwalu Rawa Blues – dop. aut.]. I choć szczęśliwym zbiegiem okoliczności żyła mi nie pękła, kolega Dobrowolski mi zaimponował. Blues Brothers przy Dobrowolskim to jak Połomski przy zespole Kiss".

Za najlepszego w Krakowie tłumacza zachodnich hitów bluesowych uchodził Wiesław Dymny, choć, prawdę mówiąc, nie znał za bardzo angielskiego.

Jak to najczęściej w takich okolicznościach bywa, bliska współpraca dwóch wybuchowych artystów nie mogła trwać długo. – Jestem dość apodyktyczny, nie zawsze potrafię się dogadać z innymi muzykami, wyłożyć klarownie swe pomysły. To powodowało wiele rotacji w zespole – wyznał mi Dobrowolski. On pozostał w zespole, Pocieszyński przeszedł do Monkey Business, szybko stając się jego liderem, a na początku nowego wieku powołał do życia własny zespół – The Bluesmobile.

Kazimierz Dobrowolski (gitara) i Jacek Chruściński (gitara basowa), Benefis Kazimierza Dobrowolskiego w Teatrze Groteska, 12.04.2013, fot. Marek Nosek

Zespół już nie istnieje, ale pozostawił po sobie wspaniała płytę, którą lider nagrał z innymi wytrawnymi muzykami: Jackiem Chruścińskim (gitara basowa), Adamem Niedzielinem (instrumenty klawiszowe), Arturem Malikiem (perkusja) i Robertem Lenertem (harmonijka). *Pojedynczy człowiek*

jest zapisem koncertu z 8 lutego 2002 roku w Studiu S-5 Radia Kraków. O wartości płyty decyduje nie tylko dobra – i zagrana z odpowiednim wykopem – muzyka, ale także przejmujące teksty, momentami chropawe i brutalne, chwilami łagodne i pełne troski, celnie dokumentujące nasze życie codzienne.

Sam się kładzie spać i sam się budzi,
kawę rano także sam wypija,
nikt mu nie przeszkadza, gdy czyta gazetę,
w butach na pościeli leży, bo tak lubi,
a życie w społeczeństwie wcale go nie bawi,
po ulicach krąży godzinami
i wszyscy go znają, lecz naprawdę nikt
tego nie wie, kim jest, skąd pochodzi

– śpiewa Pocieszyński w *Pojedynczym człowieku*.

Również efektowną płytę *A Shot of Rhythm and Blues* pozostawił po sobie zespół The Cooks, na której liderującemu Dobrowolskiemu towarzyszy trójka świetnych instrumentalistów: Maciej Kłeczek, gitarzysta obdarzony ogromną wyobraźnią i solidnym warsztatem, oraz mistrzowska sekcja rytmiczna – Bogusław Mietniowski (gitara basowa) i Benedykt Radecki (perkusja), bębniarz legendarnej formacji Dżamble. Kiedy słucham tej płyty, zawierającej tuzin standardów czarnego i białego bluesa, wydaje mi się, jakbym słyszał „czarnego" wokalistę z „białym" zespołem. Muzycy grają bardziej z „angielska", lider zaś śpiewa bardziej z „murzyńska". Ale to wcale nie kłóci się ze sobą, a znakomicie dopełnia. Bo wyznacznikiem podstawowym tej płyty, decydującym o jej wysokiej klasie, jest wzajemne porozumienie muzyków i wykonawcza – oraz realizacyjna – perfekcja.

Z The Cooks wyłoniła się wiosną 2010 roku kolejna znakomita kapela o przewrotnej nazwie Krecia Robota, z liderującym jej fantastycznym gitarzystą Maciejem Kłeczkiem, obracająca się – zarówno w granych standardach, jak i propozycjach autorskich – w poetyce bluesa, folku i rock and rolla.

KGB wiecznie żywe

– Wszystko zaczęło się w maju 1983 roku. Zadzwonił do mnie Artur Bazior – przygotowywałem się wtedy do matury – z pytaniem, czy nie chciałbym pograć w kapeli bluesowej, która właśnie powstaje. Wiedziałem, że interesował się bluesem, ja zresztą też, ale grać za bardzo jeszcze nie umiałem. Oczywiście, chętnie się zgodziłem – opowiada mi Paweł Małysiak. I tak powstało KGB (Krakowska Grupa Bluesowa).

– Nazwa zespołu zainspirowana była grupą Chicago Blues Band, niemniej wiele osób w tamtych czasach dopatrywało się podtekstów politycznych. Nie bez powodu, wszak w jednym z tekstów śpiewaliśmy *Fuck out all the red busters!* – wyznaje Małysiak.

35-lecie KGB w Arce, 20.10.2018, fot. Michał Sułkowski

Spiritus movens całego przedsięwzięcia był Jarosław Sokół, meloman (zwłaszcza bluesowy), kinoman (kiedyś prowadził wypożyczalnię kaset) oraz miłośnik książek (ostatnio zajmuje się krakowskimi bibliotekami). – W jego to mieszkaniu na Salwatorze, przy ulicy Senatorskiej, odbywały się pierwsze wielogodzinne próby przeplatane słuchaniem muzyki i rozmowami o niej.

– Snuliśmy ambitne plany... – wspomina Małysiak.

„Dobre wzajemne rozumienie się muzyków, ciekawe aranżacje, dające możliwość popisu wszystkim członkom zespołu (wspaniałe solówki nie tylko gitar, ale także saksofonu czy gitary basowej), świetna praca sekcji dętej i – przede wszystkim – ogromna radość grania to główne cechy Krakowskiej Grupy Bluesowej" – tak pisałem o KGB na łamach „Gazety Wyborczej" przy okazji ćwierćwiecza istnienia zespołu, co uhonorowali płytą *Pomyśl dobrze*. Minęło kolejnych kilkanaście lat i właściwie mógłbym powtó-

Starzy bluesmeni, choć nieco zmęczeni, grają dalej. Ale i młodzi nacierają coraz mocnej.

rzyć tamte słowa. Z czego to wynika? Najlepszą odpowiedzią będą słowa w zamykającym płytę utworze *Jak Albert Collins*:

Zagrać bluesa, tylko to potrafić chcę,
czuć muzykę, tak bym chciał to w sobie mieć,
właśnie to mnie kręci, na wyżyny wznosi mnie.
Jestem starym zmęczonym bluesmanem

„Bluesman starzeje się jak wino” – twierdzi Gregg Allman, współzałożyciel legendarnego The Allman Brothers Band. Wiarygodność tych słów potwierdzają nie tylko wymienieni wyżej krakowscy bluesmani, ale – nade wszystko – Antoni Krupa, instrumentalista, poeta i dziennikarz, który z niejednego muzycznego pieca...

Grywał różnorodne odmiany jazzu – od tradycyjnego po free, rocka, nawet zapuszczał się do krainy łagodności (między innymi na gitarze z Markiem Grechutą, Little Egoists, Jarkiem Śmietaną i Ryszardem Styłą, ale także na banjo z Jazz Band Ball Orchestra), a zaczynał w rhythmandbluesowych The Lessers, ostatnio do tych klimatów powracając w The New Lessers. Ale we wszystkich jego poczynaniach można było dostrzec mocny bluesowy fundament, bo Krupa w pełni podziela słynną konstatację Williego Dixona, że „blues to korzenie, a reszta muzyki to jedynie owoce”.

Jestem starym zmęczonym bluesmanem,
a przecież kiedyś mknąłem jak wiatr,
jestem starym zmęczonym bluesmanem,
już coraz wolniej wiruje mi świat,
jestem starym zdartym bluesmanem,
bardzo zmęczonym już dziś,
czy Bóg dobry jeszcze przez moment
pozwoli tą szaloną drogą mi iść

– śpiewa w *Ostatnim bluesie*.

Starzy, choć nieco zmęczeni, grają dalej, czego dobrym przykładem nie tylko Krupa, ale i liderzy wymienionych w tym wspominkowym tekście bandów. „KGB wiecznie żywe” (taki okrzyk jednego z fanów usłyszałem kiedyś na ich występie) koncertuje do dziś, Jacek Chruścicki, znakomity basista, który z nimi wszystkimi grywał (ma na koncie ponad osiemdziesiąt płyt) ostatnio jeździ po Europie z Keithem Thompsonem, gwiazdą brytyjskiego bluesa.

Tę opowieść o początkach krakowskiego bluesa niespodziewanie zacząłem od Piwnicy pod Baranami, tam też ją zakończę. Reaktywowany przez Antka Krupę The Lessers, czyli The New Lessers, stworzył bluesowy weteran z artystką piwniczną Agatą Ślazyk, songwrighterką, wokalistką i gitarzystką. Jej piwniczny kolega Rafał Jędrzejczyk, aktor Starego Teatru, wydał zaskakującą płytę *Blusiki*, na której nagrał utrzymane w poetyce bluesowo-swingowej wiersze między innymi Tadeusza Kubiaka, Borysa Pasternaka, Andrzeja Bursy, Grzegorza Tomczaka do muzyki Zygmunta Koniecznego, Andrzeja Zaryckiego, Zbigniewa Raja, Michała Jurkiewicza, Pawła Pierzchały oraz – tak dla żartu, jak twierdzi – swojej. Także, często wpadający do Piwnicy Jacek Zieliński nagrał ostatnio płytę zatytułowaną *Taki blues*, na której śpiewa:

Jakie życie, taki blues,
znów mnie rzucił Anioł Stróż,
miał być Paryż i New York
i ktoś, kto rozświetla mrok,
a tu polnej drogi kurz,
jakie życie, taki blues,
jak tu teraz bez celu żyć,
gdy miałem wszystko i nie mam nic,
słońce nie wschodzi od tamtych wzgórz,
a w mym pokoju rozsiadł się blues...

Starzy grają, ale młodzi nacierają coraz mocnej, czego przykładem między innymi Hard Times z Łukaszem Wiśniewskim, znakomitym harmonijkarzem, oraz Piotrem Grząślewiczem, fantastycznym gitarzystą, charyzmatyczny, grający różne odcienie muzyczne z bluesem na czele Limboski, bazujący na klasyce z Delty efektowny tercet Gruff!, nie mniej interesujące Cheap Tobacco z niezwykle uzdolnioną wokalistką Natalią Kwiatkowską czy skupiający większość gwiazd młodego krakowskiego bluesa, ogromnie energetyczny Krakow Street Band. Świetnym forszpanem ich muzyki jest nagrana przed kilku laty składankowa płyta *Krakowskie klimaty bluesowe*. Ale to już jednak temat na inne opowiadanie, nie tylko o teraźniejszości, ale i przyszłości krakowskiego bluesa. Ciąg dalszy zatem nastąpi...

Jerzy Armata – krytyk filmowy i muzyczny. Wiceprzewodniczący Koła Piśmiennictwa Stowarzyszenia Filmowców Polskich, polskiej sekcji FIPRESCI (Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych). Selekcjoner i juror wielu festiwali filmowych. Dyrektor artystyczny Tarnowskiej Nagrody Filmowej. Wykładowca SWPS w Warszawie. Autor kilkunastu książek o tematyce filmowej. Laureat nagród Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, odznaczony medalem Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*.

Agata Kus, *Matka*, olej na płótnie, 65 x 40 cm, 2012

W ZWIĄZKU Z PANDEMIĄ KORONAWIRUSA – IMPREZA ZAWIESZONA

Przepis na życie Ginczanki

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Dawid Ścigalski

Zuzanna Ginczanka była tak fascynującą osobowością, że spektakl o jej życiu nie może nie być ciekawy. Warto go zobaczyć w Teatrze Łaźnia Nowa.

Łapać muchy i ziewać szeroko; nie odnawiać skończonych rozdziałów – i nie zbierać kolekcji ze spleenów, autografów i zgasłych zapałów; łykać ranki hałaśną radością i na dłoniach podawać im serce, a wieczorem zasypiać w prostocie jak w dziecinnej mięciutkiej kołderce” – pisała Zuzanna Ginczanka w wierszu zatytułowanym *Przepis na prostotę życia*. Taki tytuł nosi też opowiadające o poetce przedstawienie w reżyserii Anny Gryszkówny.

To monodram z Agnieszką Przepiórską w roli Ginczanki, przedstawiający trzy rozdziały z życia poetki. Najpierw spotykamy ją w Równem na Wołyniu, gdzie jej babcia prowadziła skład apteczny. To tu zaczęły powstawać pierwsze teksty, publikowane w gimnazjalnej gazetce. W pewnym momencie dziewczyna ośmieliła się napisać do Juliana Tuwima, który namówił ją do wzięcia udziału w konkursie poetyckim ogłoszonym przez „Wiadomości Literackie”. Zdobyła w nim wyróżnienie, trafiając w ten sposób do kręgu Skamandrytów. To druga część spektaklu, w której poznajemy cieszącą się życiem, utalentowaną młodą kobietę. Ostatni jego rozdział ma już znacznie smutniejszą aurę. Opowiada o czasach wojny, podczas której Ginczanka ze względu na swoje pochodzenie musiała się ukrywać, a w końcu została zamordowana w krakowskim więzieniu na Montelupich.

– W *Przepisie na prostotę życia* daję Ginczance moje ciało, mój temperament, moją radość życia. Nie usiłuję jej naśladować, bo tak naprawdę do końca nie wiemy, jaka ona była. Każdy ją postrzegał inaczej, choć mężczyźni najczęściej patrzyli na nią przez pryzmat jej wyjątkowej urody. Musiała przebijać się przez ten wizerunek, udowadniać, że jest też świetną pisarką – mówi Agnieszka Przepiórska, dodając, iż spektakl o poetce nie mógł obejść się bez jej wierszy.

Twórcom przedstawienia zależało jednak na tym, by monodram nie zmienił się w wieczór poetycki. Dlatego reżyserka zdecydowała, że bardzo ważny dla Ginczanki utwór *Non omnis moriar* aktorka wypowiada wśród publiczności z zamkniętymi oczami. Scenografia przedstawia studio fotograficzne w Równem, z ekranem, na którym wyświetlane są zachowane zdjęcia poetki. Ważnym elementem spektaklu jest również muzyka. Początkowo bohaterce towarzyszą klezmerskie dźwięki, od których ucieka do Warszawy, gdzie króluje jazz. Wojenną tragedię ilustrują pojedyncze dźwięki bębna, będące powidokami świata, który odchodzi.

Ginczanka. Przepis na prostotę życia w reżyserii Anny Gryszkówny, wykonanie Agnieszka Przepiórska. Spektakl powstał w koprodukcji Teatru Łaźnia Nowa z Teatrem na Plaży w Sopocie. Autorem tekstu jest Piotr Rowicki, scenografię zaprojektowała Anna-Maria Karczmarska, a muzykę skomponował Michał Lamża.

W ZWIĄZKU Z PANDEMIĄ KORONAWIRUSA – EKSPOZYCJA ZAWIESZONA

Czułość ukryta za gębą

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Ilustracje:** za wiedzą i zgodą NCK

Można go kochać albo nienawidzić. Obrazy Jerzego Dudy-Gracza zawsze wywoływały emocje. Pewnie dlatego, że nie miał oporów walić nas na odlew, pokazując na swoich obrazach najciemniejsze zakamarki polskiej duszy. Ale na obrazach artysty ujawniała się też subtelniejsza strona jego natury. Możemy się o tym przekonać, idąc do Nowohuckiego Centrum Kultury, gdzie powstała poświęcona mu galeria.

Obraz jurajski, olej, 50,5 x 68,5, 1984

To nie jest radosne zdjęcie. Spuszczona, siwa głowa, wzrok wpatrzony w ziemię, na twarzy rysująca się pokora wobec świata. Starzejący się, schorowany człowiek, pokonany przez życie, a może po prostu z nim pogodzony. Ten portret Jerzego Dudy-Gracza mógłby kończyć wystawę jego dzieł, ilustrować kres odchodzącego artysty. Jednak w Nowohuckim Centrum Kultury to właśnie od tej fotografii zaczynamy zwiedzanie ekspozycji. Jakby nam od razu sygnalizowano, że powinniśmy spojrzeć na dzieła malarza jego oczami, spróbować zrozumieć drogę, jaką przeszedł, otrzeć się o jej ostre zakręty, które sprawiały, iż jedni go uwielbiali, a inni odsądzali od czci i wiary.

Na tej wystawie, tak jak na obrazach artysty, nic nie jest do końca oczywiste. Gdy się na nią wybierałam, moje myśli krążyły wokół ponurych barw, z jakimi kojarzą mi się płótna Dudy-Gracza, z wgapiającymi się we mnie zapijaczonymi facetami w kufajkach, którym ze spodni wylewają się tłuste brzuchy, czy równie odstręczającymi babami o czerwonych pyskach, wymalowanych tanim różem. To tkwiące z tyłu głowy wyobrażenie o twórczości artysty spowodowało, że stanęłam zaskoczona na widok pastelowych kolorów, w jakich Joanna Gościej-Lewińska, kuratorka wystawy, zaaranżowała przestrzeń wystawienniczą.

– Uważny widz szybko zrozumie, że te pastele są wyjęte z prac Dudy-Gracza. Tą subtelnością barw rozmiękczał krajobrazy, które malował choćby w cyklu chopinowskim.

Oczywiście, nie dotyczy to wczesnych dzieł, przedstawiających polską prowincję czy obrazów historycznych, w których był bezlitosny i którym nadawał mocne barwy, mające podkreślić ostrość jego poglądów – tłumaczy Joanna Gościej-Lewińska. Razem wchodzimy w stworzony przez nią labirynt pomieszczeń, gdzie na niebieskich, różowych, zielonych ścianach wiszą dzieła malarza. Będziemy krążyć po tym labiryncie, będącym odbiciem osobowości twórcy, zaglądając w jego zakamarki, nieoczywiste zaułki i starając się choć trochę zrozumieć, co sprawiało, że patrzył na Polskę i Polaków przez szkła ironii, wydobywając na światło dzienne nasze najohydniejsze grzechy i przywary.

Motyw polski z kiełbasą – 1, olej na płycie pilśniowej, 45,5 x 50,5, 1981

Świat legł

... w gruzach po raz pierwszy w Częstochowie.

Joanna Gościej-Lewińska upatruje przyczyn takiego spojrzenia na Polskę w dzieciństwie artysty, które tylko do pewnego czasu było sielankowe. Urodził się w czasie wojny, w 1941 roku. Pierwsze lata życia upłynęły mu jednak w atmosferze, w której dziecko mogło czuć się jak w raju. Jego ojciec, choć z wykształcenia był technikiem budowlanym, miał w sobie duszę artysty. Pewnie też dlatego dom, który zbudował, był ciepły, dostatni, otoczony bajkowym ogrodem. Jego rodzina jako jedna z pierwszych na swojej ulicy w Częstochowie miała kanalizację z prawdziwego zdarzenia, w przeciwieństwie do sąsiadów, którzy wciąż wylewali pomyje do rynsztoka.

Świat wrażliwego chłopca zawalił się w dniu, kiedy aresztowano ojca. Zazdrośni mieszkańcy okolicznych domów nie mogli pogodzić się z tym, że zaradny człowiek żyje lepiej od nich. Donosy sprawiły, że trafił na trzy lata do więzienia. Ale komunistycznym władzom było jeszcze mało, więc posadzili też jego starszego syna. Dziewięcioletni wówczas Jerzy został sam z mamą, poranioną, bezradną istotą, którą teraz on musiał się opiekować. Gnietli się w jednym pokoju, gdyż ich dom został zamieniony w kołchoz. Dokwaterowano do nich robotników, którzy nie potrafili korzystać z dobrodziejstw cywilizacji, doprowadzając przytulne, wypieszczone gniazdko do opłakanego stanu. Chłopiec nie mógł się nadziwić, że ci sami ludzie w niedzielę wyciągali z szaf najlepsze ubrania, przybierali święte miny i niczym potulne owieczki maszerowali na Jasną Górę, gdzie odziani w złota hierarchowie odprawiali dla nich mszę. A gdy kończyła się celebra i robili ostatni znak krzyża, wracali do swoich nawyków, obgadywania sąsiadów, picia na umór, a potem zataczania się pod płotem.

– Widok tego fałszu i obłudy bardzo mocno wpłynął na Jerzego Dudę-Gracza. On tę swoją Częstochowę kochał i nienawidził. Dlatego w obrazach przedstawiających polską prowincję wyciągał na pierwszy plan gnuśność tych małych, ogłupianych ludzi – mówi kuratorka wystawy. – Nie chodziło mu tylko o ich fizyczną brzydotę. Ona mu się nawet na swój sposób podobała. Uważał, że jest archetypiczna, że oni są jak kamienie cząstką natury. Nie mógł tylko znieść, gdy docierała do nich tandetna współczesność, komunistyczne slogany, pod których wpływem zmieniali kostiumy, zajmowali nie swoje miejsca, awansując po grzbietach inteligencji.

Wystarczy spojrzeć na prezentowany w NCK obraz zatytułowany *Józefowi Chełmońskiemu*, a inspirowany jego *Babim latem*. U Dudy-Gracza, tak jak u jego poprzednika, też mamy leżącą na ziemi dziewczynę. Ale nie jest ona delikatną istotą, łapiącą zawieszone w powietrzu nici. To gruba dziewucha w modnym podkoszulku z napisem „LOVE", rozłożona obok tranzystora, z którego dziś pewnie poleciałby jakiś przebój disco polo godny niebiańskiego głosu Zenka Martyniuka.

W podobnym duchu utrzymana jest *Częstochowianeczka*, która przedstawia „modną" babę z pretensjami i złotym zębem, idealnie pasującym do ciucha pewnie kupionego w Pewexie. Ma na twarzy wypisaną chciwość, cechę, której artysta szczególnie nienawidził. Jej mężem mógłby być już nie przebrany, ale pokazany w całej swej prawdziwej ohydzie facet z obrazu *Motyw Polski z kiełbasą*. Leży on w brudnych kalesonach w barłogu, w jednej ręce trzymając „Trybunę Ludu", a w drugiej kiełbasę.

Apoteza Pokoju – Wasilijowi Wereszczaginowi, olej na płycie pilśniowej, 26 x 31, 1977

Ale za tą fasadą pomarszczonych gęb i grubych pośladków kryje się tak naprawdę nostalgia i tęsknota za normalnym krajem. „Maluję wyłącznie Polskę, bo jestem człowiekiem chorym na Polskę. Mogę żyć i pracować tylko tutaj. Gdzieś w świecie najpewniej zgłupiałbym do reszty, zmarniał i wreszcie umarł z tęsknoty" – mawiał artysta, który pokazywał na swoich obrazach nie tylko zwykłych ludzi, ale i komunistycznych aparatczyków, partyjnych urzędników ze słomą wychodzącą z butów. – To zadziwiające, ale oni nie dostrzegali jego ironii, nie brali jej do siebie. A on obserwował ich w takich sytuacjach, które aż prosiły się, by ich ośmieszyć, na przykład podczas obchodzonych hucznie na Śląsku Barbórek – dodaje Joanna Gościej-Lewińska.

Walec historii

... sprawia, że świat wali się po raz drugi.

Śląsk był miejscem, gdzie Duda-Gracz spędził życie, mimo że nie przepadał za jego industrialnym krajobrazem. Wyjechał z Częstochowy do Katowic za sugestią swojego nauczyciela z liceum plastycznego Edwarda Mesjasza, który miał ogromny wpływ na przyszłego malarza. To on uświadomił mu, że artysta zanim zacznie snuć swoje wizje, musi najpierw opanować warsztat i zdobyć wiedzę. Malarz zrobił to na śląskiej uczelni, gdzie panował kult rzetelnej pracy.

Czas studiów to czas wielkiej fascynacji obcą mu do tej pory kulturą. Jako nauczyciel rysunku prowadził warsztaty w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w Katowicach. Bardzo zaprzyjaźnił się tam ze swoimi uczniami, bywał u nich w domu, poznawał ich rytuały, święta. – Może ciągnęło go do nich, bo byli po prostu inni. Tak jak on w dzieciństwie, kiedy się wyśmiewano, że jego ojciec siedzi w więzieniu – przypomina kuratorka wystawy, na której prezentowanych jest parę interesujących judaików malarza. Powstały one po 1968 roku, kiedy świat zawalił mu się po raz drugi. Nagle tak ważni dla niego ludzie zniknęli z jego życia, przejechał po nich walec historii.

W tym okresie dużo malował. Jego twórczość była doceniana, wystawiana, zyskał opinię znanego twórcy. Mieszkał z żoną Wilmą w wieżowcu w Katowicach, niebawem na świat przyszła ich córka. Mawiał o niej, że jest największym dziełem jego życia. Co roku powstawały portrety dziewczynki, pokazujące w sposób charakterystyczny dla twórcy, jak się zmieniała. – Na wystawie możemy zobaczyć dwa z nich, w tym obraz przedstawiający roczną Agatę. Zwróćmy uwagę na jej oczy. To nie jest spojrzenie dziecka, lecz wzrok dorosłego człowieka, który świadomie przygląda się światu. On widział w niej siebie – uważa Joanna Gościej-Lewińska.

Córka, która została reżyserką teatralną, też cała jest z ojca, co widać w realizowanych przez nią spektaklach. Jeden z nich, zatytułowany *Kaligula*, stworzyli zresztą razem na deskach Teatru im. J. Słowackiego. Jerzy Duda-Gracz był współautorem scenografii do przedstawienia, czym spełnił swoje marzenie o pracy w teatrze. Już po jego śmierci córka na tej samej scenie zrealizowała spektakl *Ojciec*. Do inspiracji jego twórczością przyznawała się wielokrotnie, choćby podczas przygotowywania spektaklu *Po burzy Szekspira*, gdzie wyspa stała się przestrzenią blokowego M3, a Prospero przypominał jej ojca z jednego z ostatnich obrazów: siedzącego na kanapie w wyciągniętym podkoszulku i spodniach od piżamy.

Józefowi Chełmońskiemu, olej na płycie pilśniowej, 18 x 18, 1979

Z jego własnej winy

... świat legł w gruzach po raz trzeci.

Malarz nieraz portretował samego siebie, choć uważał się za człowieka brzydkiego. Eksponował swój kartoflowaty nos czy niezgrabną sylwetkę. Tak jak na rysunku *Wien*, gdzie rozebrał siebie na czynniki pierwsze, opisując w ironicznym stylu każdą część ciała. Jeden z jego słynniejszych autoportretów znalazł się na afiszu zachęcającym do odwiedzenia ekspozycji w Nowej Hucie w 2015 roku. Nosi on tytuł *Ora et colabora*. Obraz powstał podczas stanu wojennego i przedstawia artystę w papierowej czapce zrobionej z reżimowej „Trybuny Robotniczej", z medalami na wyciągniętym podkoszulku i demonstracyjnie zwisającym na szyi krzyżem.

Dzieło miało być odpowiedzią na zarzuty kolaboracji, jakie pojawiły się w związku z odmówieniem przez Jerzego Dudę-Gracza udziału w bojkocie artystów. Malarz nie miał wówczas oporu, by prezentować swoje prace na wystawach, a nawet, co znacznie gorsze, stanął na czele organizacji, która powstała w zastępstwie Związku Polskich Artystów Plastyków. Tę skomplikowaną kwestię stara się wytłumaczyć w wywiadzie zamieszczonym w katalogu ekspozycji Tadeusz Nyczek: „Pamiętam pewną z Jurkiem rozmowę. Powiedział, że niejeden z tych, którzy ogłaszają bojkot, w czasach stalinowskich uprawiał w sztuce propagandę. »Popatrz, wielcy moraliści. Wtedy chwalili Stalina, a teraz mówią, jak mam się zachować...« Cóż, trochę ułatwiał sobie odmowę uzasadnienia bojkotu. Mówił też, że o wiele ważniejsi są dla niego ludzie, którzy przychodzą na jego wystawy, i dla nich chce nadal pokazywać obrazy, a nie dla gestu wobec władzy".

W osobach krytyków sztuki

... świat wymierza cios po raz czwarty.

Ale to wcale nie z powodu opowiedzenia się po niewłaściwej stronie Jerzego Dudę-Gracza w latach 90. dotknął ostracyzm, zepchnięto go na margines, zniknął z warszawskich salonów, lądując w nieliczących się galeriach na prowincji. Bardziej niż o wybory polityczne chodziło o styl, jakiemu hołdował artysta, figuratywność jego obrazów i niepoddanie się obowiązującej modzie na awangardę. Krytycy zgromadzenię wokół pisma „Rastra" zakwalifikowali jego sztukę do gatunku arte polo – odpowiednika disco polo. Nazwisko Dudy-Gracza nie znalazło się też w ważnej po 2000 roku dla środowiska książce *Sztuka w Polsce 1945–2005* Andy Rottenberg. To go musiało zaboleć.

Artysta wycofał się wówczas do swojego świata, świata prowincji, kalekiego, połamanego, ale tak bardzo mu bliskiego. Jego obrazy choć nadal realistyczne, zaczęły dryfować w stronę poezji, zapominając o wcześniejszej publicystycznej doraźności. Wówczas to powstały cykle łagowskie, jurajskie i chopinowskie, tak ważne w ostatnim okresie twórczości artysty. – Chopin był ciągle obecny w jego życiu. Uwielbiał słuchać jego utworów, szczególnie w wykonaniu Olejniczaka. Uczucia, jakich wtedy doznawał, przelewał na swoje obrazy – mówi kuratorka.

Wówczas też uciekał z Katowic na plenery do Łagowa, gdzie kompletnie odrywał się od świata. – Portretował zwykłych ludzi, ale nie tak jak kiedyś. Teraz malował ich z wielką czułością. Na przykład uwiecznił kioskarkę w podzięce za to, że zostawiała mu papierosy. Namalował też Krychę, która rządziła całą wsią. Albo dzieci idące do komunii, na których twarzach widać już, że niebawem upodobnią się do swoich rodziców – mówi Joanna Gościej-Lewińska, która na zrealizowanej przez siebie wystawie właśnie tę czułość wyeksponowała za pomocą rozmiękczonych, pastelowych kolorów ścian. Zawieszone na nich, wybrane przez córkę artysty obrazy pozwalają nam łagodnie płynąć przez jego twórczość, docenić jej nastrojowość, ale też – kiedy trzeba – zastanowić się nad jej niezbyt przyjemną wciąż dla nas symboliką.

„Maluję wyłącznie Polskę, bo jestem człowiekiem chorym na Polskę. Mogę żyć i pracować tylko tutaj. Gdzieś w świecie najpewniej zgłupiałbym do reszty, zmarniał i wreszcie umarł z tęsknoty" – mawiał Jerzy Duda-Gracz.

*

Jerzy Duda-Gracz zmarł na serce w 2004 roku podczas pleneru w Łagowie. Agata Duda-Gracz razem ze swoją mamą Wilmą zdecydowały się udostępnić Nowohuckiemu Centrum Kultury niemal 300 prac artysty. Umowa z prezydentem Krakowa Jackiem Majchrowskim została podpisana na 20 lat. Obecnie na wystawie pokazywanych jest 91 obrazów. Co dwa lata ich zestaw będzie się zmieniał. Co ciekawe, jasna przestrzeń, w której eksponowane są dzieła Jerzego Dudy-Gracza, znajduje się tuż obok mrocznej Galerii Zdzisława Beksińskiego. Zderzenie tych światów, przejście z jednego do drugiego to dodatkowy bonus dla odwiedzających NCK miłośników sztuki.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

W ZWIĄZKU Z PANDEMIĄ KORONAWIRUSA – IMPREZA ZAWIESZONA

Staroniewicz NORTH PARK Feat. Erik Johannessen / Fot. z archiwum Zakopiańskiego Centrum Kultury

W jazzie pod Tatrami

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Jazz to nie tylko muzyka. To sposób na życie, sposób bycia i kierunek myślenia – powiedziała kiedyś Nina Simone. Ktoś, kto słucha jazzu, doskonale wie, co wybitna amerykańska wokalistka miała na myśli. I na pewno nie zmieni zdania, gdy wybierze się na przełomie kwietnia i maja na 17. Wiosnę Jazzową w Zakopanem.

To wyjątkowy czas pod Tatrami, kiedy kwitną już krokusy, a szczyty gór zaczynają ogrzewać się w promieniach słońca. Słuchanie improwizowanych dźwięków w takich okolicznościach przyrody staje się prawdziwą przyjemnością. Szczególnie że w trakcie imprezy, 30 kwietnia przypada ustalony przez UNESCO Międzynarodowy Dzień Jazzu.

– Zakopane jako jedno z niewielu polskich miast jest wpisane na prestiżową listę miejsc organizujących Międzynarodowy Dzień Jazzu – mówi Teofil Lisiecki, dyrektor artystyczny Wiosny Jazzowej w Zakopanem, dodając, że tego wieczoru w kinie Sokół odbędzie się wyjątkowy koncert, którego gośćmi specjalnymi będą Grażyna Auguścik, Andrzej Jagodziński Trio oraz polsko-izraelski projekt Krzysztof Kobyliński Pearls.

Ale wszystko rozpocznie się dzień wcześniej, 29 kwietnia w hotelu Aries. O festiwalową rozgrzewkę zadba tam Jazz Band Ball Orchestra w towarzystwie Marcina Dyjaka. Usłyszymy tam również muzyczny projekt Orchestra Dedicated – Groborz & Cronies pod wodzą czołowego polskiego pianisty i kompozytora Wojciecha Groborza. W kolejnych dniach festiwalu hotel Aries stanie się sceną dla RB Dixie Five i Kiçik Bazar (30 kwietnia) oraz słowackiej grupy Traditional Club Revival (1 maja).

Drugą lokalizacją Wiosny Jazzowej w Zakopanem będzie kino Sokół. W najstarszym zakopiańskim kinie już 1 maja usłyszymy Grzegorza Nagórskiego i Electric Euphonium Quartet. Następnego dnia (2 maja) możemy wybrać się w to samo miejsce na koncert saksofonisty, kompozytora, producenta, wydawcy i promotora jazzu w jednej osobie, czyli Grzecha Piotrowskiego oraz zespołu Boogie Boys. – Jak widać, jazzu w mieście nie trzeba będzie szukać, sam do państwa przyjdzie! Serdecznie zapraszam do Zakopanego na niepowtarzalne, wypełnione jazzem dni – podkreśla Teofil Lisiecki.

Festiwal odbędzie się od 29 kwietnia do 2 maja. Organizowany jest przez Miasto Zakopane i Zakopiańskie Centrum Kultury.

Agata Kus, *Mater Borelioza*, olej na płótnie, 40 x 30 cm, 2018

Życie towarzyskie i uczuciowe milenialsów

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Agata Kus portretuje pokolenie dzisiejszych 30-latków, zestawiając ze sobą zdjęcia i tworząc z nich malarskie kolaże. By dostrzec ich głębsze dno, zaskakujący kontekst, intrygujący symbol, trzeba im się dłużej przyjrzeć i przeczytać widniejące pod nimi tytuły.

Klub Betel przy placu Szczepańskim. Olek Rajewski, specjalista od rozkręcania tematycznych imprez, proponuje, że ten wieczór poświęcony będzie odczytaniu podręcznika seksualnego, napisanego przez niego w latach 90. Wyciąga zniszczony zeszyt i prosi uprzedzone wcześniej dziewczyny o przeczytanie porad, które jako nastolatek przepisywał ze świerszczyków. Kiedy to robi, atmosfera gęstnieje. Zaczynają się szalone tańce, ludzie stają się śmielsi niż zazwyczaj. Agata Kus jest zachwycona tym, co się dzieje. Biega z komórką i robi zdjęcia. – Ludzie wydawali się niesamowicie naelektryzowani i połączeni sentymentalnym wspomnieniem absurdów z czasu dorastania. To wpłynęło na charakter imprezy, ich zachowanie i taniec. Tematy na obrazy mnożyły się same – opowiada artystka, która na podstawie zrobionych wówczas fotografii namalowała obraz zatytułowany *Idol*. Jeszcze mokry zawisł w Bunkrze Sztuki na niedawno prezentowanej tam wystawie *Agata Kus Horror Picture Show*.

Malarka nie kryje, że portretuje swoje pokolenie, dzisiejszych 30-latków, określanych mianem milenialsów. Są wśród nich muzycy, plastycy, pisarze spotykający się w zaprzyjaźnionych knajpach, które stały się ich środowiskiem naturalnym i gdzie czują się jak w domu. Jej obrazy nie są jednak wyłącznie dokumentalnym przeniesieniem na płótno określonych osób czy sytuacji. Powstają z zestawienia różnych zdjęć, także znalezionych na Facebooku. Artystka tworzy z nich kolaże, które później na obrazie zyskują nową narrację znaczeniową, zmieniając się w metaforę. Dlatego tak ważne jest odczytywanie ich tytułów.

Takich jak *Mater Borelioza* przedstawiającego nasze współczesne lęki przed chorobami, a także macierzyńską troskę. Układ postaci nawiązuje do figury *Mater Dolorosa*, czyli matki bolejącej, cierpiącej, opłakującej syna. Gdyby nie tytuł, trudno byłoby się zorientować, w jakiej sytuacji znajduje się młody mężczyzna, przy którym klęczy kobieta. – *Mater Borelioza* to portret Anny Dymnej i jej syna, a mojego chłopaka Michała, który nocą, na wakacyjnym wyjeździe odkrył przytwierdzonego do brzucha kleszcza. Matka troskliwie go usunęła, pomimo polowych warunków i braku światła. Musieliśmy oświetlać zabieg ekranami telefonów. To była bardzo piękna i w moim odczuciu podniosła scena, niczym z obrazów Caravaggia lub de La Toura.

Wiele zresztą obrazów Agaty inspirowanych jest dziełami kinowymi. – Uwielbiam filmy Bergmana i Saury. Szczególnie działają na mnie historie odnoszące się do wewnętrznych przemian bohaterów. Takich jak Ana Torrent z *Nakarmić kruki*, która z niewinnego dziecka przekształca się w morderczynię – mówi Agata. Jej zamiłowanie do mrocznych tematów przejawia się też w inny sposób, w świadomie dokonywanej destrukcji obrazów. Niektóre z nich są okaleczone, zeszpecone śladami po papierosie.

Ich wartość doceniają zarówno zwykli odbiorcy, jak i ludzie z branży, o czym świadczy liczba wystaw, na które malarka jest zapraszana. Jej prace znajdują się w kolekcjach Muzeum Narodowego w Gdańsku i Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie. To właśnie w MOCAK-u najpierw został zaprezentowany bardzo charakterystyczny obraz Agaty *Matka*, który później trafił na afisze zapowiadające jej wystawę w Bunkrze Sztuki. Przedstawia on kobietę siedzącą w pozie przypominającej Madonnę. Jednak zamiast niemowlęcia trzyma ona przy piersi kota. Zwierzę podrapało ją do krwi. To metafora macierzyństwa, które nie zawsze jest przyjemne. Kot próbuje się uwolnić, tak jak robi to dorastające dziecko, raniąc bliską mu osobę.

Zresztą ten, jak i inne obrazy Agaty Kus można intepretować na wiele sposobów. Jedno jest jednak pewne: każde z jej płócien ma w sobie głębsze dno, zaskakujący kontekst, intrygujący symbol. Ta nieoczywista narracja sprawia, że dowiadujemy się z nich czegoś więcej, niż nam się wydaje po pobieżnym spojrzeniu. Świetnie widać to we wspomnianym już *Idolu*, który nie jest wyłącznie portretem pokolenia milenialsów rejestrującym ich życie towarzyskie i uczuciowe. Gdy się mu dokładnie przyjrzymy, dostrzeżemy, że uczestnicy zabawy zwracają się w stronę stojącej za barem drucianej figurki. Zostaje ona wyniesiona na ołtarze, stając się częścią groteskowego rytuału, za którym tęsknią pogrążeni w hipnotycznym tańcu młodzi ludzie.

Agata Kus ukończyła studia na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowni Leszka Misiaka. W 2018 roku obroniła doktorat na tej uczelni. Jest zwyciężczynią Międzynarodowego Biennale Sztuki Mediów WRO 2015 oraz finalistką Nagrody Fundacji Vordemberge-Gildewart.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

KWESTIO-
NARIUSZ
PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Odpowiada Agata Kus:

Kiedy patrzysz w lustro, kogo widzisz?
Raczej liche dziewczę z podkrążonymi oczami. Niby wiem, jak wyglądam, ale to za każdym razem trochę zaskakuje.

Co najbardziej cię wyróżnia?
Prawdopodobnie chęci do mierzenia się z kreatywnymi zadaniami i zdolności plastyczne.

Czego u siebie najbardziej nie lubisz?
Napadowego gadania.

Jakie cechy charakteru muszą mieć twoi przyjaciele?
Inteligentne poczucie humoru.

Jaką porę dnia najbardziej lubisz?
Wieczór.

Która z nocnych godzin jest według ciebie najbardziej magiczna?
Ta, w której wreszcie uda mi się dopchać do baru i odebrać zamówienie.

Przesąd, któremu się poddajesz choćby żartem?
Gdy kawałek pożywienia leży na ziemi krócej niż trzy sekundy, uważam, że nadal nadaje się do zjedzenia.

Jakie jest twoje ulubione przekleństwo?
Kruca fuks (mój dziadek tak mawiał).

Jakie jest twoje ulubione słowo?
Obiad.

Kraków ma sens, bo...?
Kocham ludzi, którzy tu mieszkają.

Czy wyobrażasz sobie inne miejsce do życia?
No pewnie, że tak! Barcelona, NYC, Los Angeles i Lubiatowo.

Co cię w Krakowie najbardziej denerwuje?
Brak dostępu do morza.

Gdybyś mogła zmienić jedną rzecz w swoim życiu, co by to było?
Chciałabym mieć warunki do trzymania sporej liczby kotów w domu.

Jaki dźwięk kochasz?
Chór świerszczy.

Jakiego dźwięku nienawidzisz?
Pisku klocków hamulcowych.

Muzyka, bez której nie wyobrażasz sobie życia?
4'33 Johna Cage'a.

Co byś chciała jeszcze osiągnąć zawodowo?
Chciałabym zatrudniać asystenta do mycia pędzli.

A co prywatnie?
Chciałabym mieć nadmorską pustelnię i od czasu do czasu stawać się leśnym dziadem.

Biografie – wyzwanie pasjonujące

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

To był wyjątkowy wieczór. Spotkaliśmy się w Metaforma Cafe, by razem z laureatami naszego konkursu na dzieło biograficzne „Portrety" świętować ich zwycięstwo, ale też wspólnie zastanowić się nad blaskami i cieniami ich pracy.

Założeniem naszego konkursu było potraktowanie biografii w sposób najszerszy i wśród nagrodzonych znalazły się osoby, które stworzyły biografię miejsca (Monika Sznajderman – pierwsza nagroda za książkę *Pusty las*), biografię klasyczną (Agnieszka Dauksza – nagroda publiczności za książkę *Jaremianka*), biografię filmową (Maciej Pieprzyca – nagroda za *Ikara. Legendę Mietka Kosza*) i wystawę biograficzną (Rafał Syska za *Wajdę* w Muzeum Narodowym w Krakowie).

Wymiana ich doświadczeń wydaje się bardzo ciekawa. Drukujemy zapis fragmentu dyskusji prowadzonej przez Magdę Huzarską-Szumiec.

Magda Huzarska-Szumiec: Biografowie, rozpoczynając pracę, mają przeważnie świadomość, że będą musieli poświęcić kilka lat swojego życia, by poznać bohatera, o którym chcą opowiedzieć. Jak to się stało, że ten, a nie inny człowiek, to, a nie inne miejsce przyszło do państwa i zażądało waszej uwagi?
Agnieszka Dauksza: Jaremianka przyszła do mnie przez swojego syna Macieja Filipowicza, który zechciał mi o niej opowiedzieć, ale także przez niesamowitą fotografię Tadeusza Rolke. To, jak Maria Jarema z niej spogląda, przykuło od razu moją uwagę. A potem, im lepiej ją poznawałam, tym robiło się coraz ciekawiej, a pisanie jej biografii przerodziło się w prawdziwą pasję.
Monika Sznajderman: Bohaterem mojej książki jest Beskid Niski, do którego zaczęłam jeździć w końcu lat 70. ubiegłego wieku. Tym, co uderzało mnie tam, poza pięknem przyrody, była pustka, którą bardzo mocno poczułam, szczególnie w Wołowcu, wsi, która stała się moim miejscem na ziemi. Na początku nie miałam narzędzi do tego, żeby ją zrozumieć i „przeczytać". Nie wiedziałam, jak pewne rzeczy interpretować, na przykład czekające tam na mnie znaki, takie jak kamienne krzyże, cembrowane studnie, sady owocowe, cerkwiska, cmentarze. Miałam jednak poczucie, że należy tę pustkę drążyć, nadać sens tej przestrzeni. Z czasem, kiedy udało mi się przełamać lęki rozmówców, kiedy przeczytałam wiele książek na temat akcji Wisła i wysiedleń do Związku Radzieckiego, ta pustka stała się bardziej zrozumiała, nabrała sensu.
Maciej Pieprzyca: Z reżyserami często jest tak, że to nie oni znajdują temat na film, ale to temat do nich przychodzi. I tak było w wypadku Mietka Kosza. Wcześniej tylko obiło mi się o uszy jego nazwisko, gdyż był muzykiem zapomnianym, raczej nieistniejącym w powszechnej świadomości. Bliżej poznałem go dzięki Piotrowi Adamczykowi, kiedy pracowaliśmy nad filmem *Jestem mordercą*. Podsunął mi wtedy pomysł, że można zrobić o nim film. Nie powiedział mi tylko jednego, iż namawia do tego reżyserów od dziesięciu lat. Gdy był młodszy, robił to, bo sam chciał zagrać Mietka Kosza. Na początku nie bardzo miałem ochotę brać się do tego tematu, ponieważ Mietek był niewidomy, a ja całkiem niedawno zrobiłem film *Chce się żyć*, który dotyczył niepełnosprawności. Myślałem, że już wszystko w tej kwestii powiedziałem. Jednak stało się coś dziwnego. Kiedy kładłem się spać, to myślałem o Mietku, wstawałem rano i wciąż o nim myślałem. Następnego wieczoru znowu się to powtarzało. Przypomniałem sobie wtedy, że jeden z profesorów szkoły filmowej powiedział, iż dobry temat na film rodzi się między tobą a poduszką. Uznałem, że to chyba ten przypadek i tak wybrałem się w filmową podróż z Mietkiem Koszem, która zajęła dwa i pół roku mojego życia.

> Z reżyserami często jest tak, że to nie oni znajdują temat na film, ale to temat do nich przychodzi.
>
> (Maciej Pieprzyca)

Rafał Syska: W moim przypadku Andrzej Wajda nie pojawił się znikąd. Był od zawsze. Największym wyzwaniem dla mnie było to,

Od lewej: Rafał Syska, Maciej Pieprzyca, Agnieszka Dauksza, Monika Sznajderman, Magda Huzarska-Szumiec

w jaki sposób o nim opowiedzieć, żeby nie zaczepić o tony hagiograficzne. Poza tym chciałem przedstawić go tak, żeby osoby uważające, iż dobrze znają twórczość reżysera, dowiedziały się o nim czegoś nowego. Już podczas pracy nad scenariuszem okazało się, że ja również tak naprawdę Andrzeja Wajdy nie znam. Jego dorobek związany nie

Wajda czuł się depozytariuszem generacji, z której pozostały tylko pojedyncze osoby. Dlatego miał poczucie, że musi pracować w kilku biografiach równolegle.
(Rafał Syska)

tylko z kinem i teatrem, ale także z różnymi aktywnościami społecznymi i politycznymi, jest tak ogromny, że trudno go ogarnąć. Dlatego tak istotne było znalezienie odpowiedniej formy dla tej wystawy, a także wydobycie z niej przesłania, które Andrzej Wajda dla nas zostawił, a które znakomicie określił krytyk filmowy Łukasz Maciejewski. Powiedział on, że ta wystawa łączy ludzi, a nie dzieli. Jeśli to się rzeczywiście udało, to jest największy sukces mój i całego mojego zespołu.

Każdy z państwa musiał przedrzeć się przez archiwa, zapiski, dokumenty, które zostawili bohaterowie waszych dzieł. Ale przecież biografie nie składają się tylko ze skatalogowanych, suchych faktów. Czasami trzeba wejść w głowę bohatera, poczuć targające nim emocje. A do tego potrzebna jest wyobraźnia. Czy często musieliście ją uruchamiać?

Monika Sznajderman: „Żeby wiedzieć, trzeba sobie wyobrazić". Tak powiedział jeden z moich ulubionych filozofów Georges Didi-Huberman. Jednak w wypadku *Pustego lasu* nie było to wnikanie w głowę postaci. Bardziej przyglądałam się sobie, pracy mojego umysłu i obserwowałam, w jaki sposób świat, w którym żyję, a który ma swoją historię, przefiltrowuje się przeze mnie. Ja sama jestem częścią tej historii, bohaterką biografii tego miejsca. Bo las, nawet gdy jest pusty, też się odnawia. W jego poszyciu bez przerwy coś się dzieje, coś butwieje i coś nowego się rodzi. Tak jest też z tym miejscem, o którym piszę. Moi bohaterowie tam żyli, ale wraz z ich odejściem ta historia się nie skończyła. Ona trwa nadal, a ja jestem jej kontynuatorką.

Ta biografia rodziła się w czasie spacerów po związanych z moimi byłymi sąsiadami miejscach. Chodziłam po nich i wyobrażałam sobie, jak oni mogli tu żyć. Ta część wyobrażeniowa jest niezwykle ważną częścią mojej książki, bo tak naprawdę nie miałam wiele więcej. Miałam imiona, nazwiska. Cała reszta to była praca wyobraźni.

Agnieszka Dauksza: Jaremianka nauczyła mnie, że najważniejsza jest wolność twórcza, wolność myślenia. Stosowałam się do tego, pisząc o niej książkę. Ale stosowałam się jeszcze do tego, co nazywam afektacją. Dlatego podeszłam do niej z czułością, empatią i otwartością. Nie mogłam inaczej, bo Maria starała się zawsze zobaczyć w każdym człowieku to, co najlepsze. A ilu jest dzisiaj takich ludzi?

Maciej Pieprzyca: Reżyser pracujący nad filmem fabularnym nie musi trzymać się sztywno faktów. Gdybym to robił, nie udałoby mi się opowiedzieć żadnej historii, bo film nie jest z gumy i musi trwać odpowiednią ilość czasu. Trzymałem się jednak zasady pozostania wiernym samej istocie historii. Ważne było dla mnie, żeby oddać to, co Mietek Kosz mówił o sobie, choć tak naprawdę bardzo niewiele po nim zostało – jedna płyta, jeden materiał filmowy i dwa wywiady radiowe. W jego biografii jest wiele białych plam, szczególnie z okresu krakowskiego. Nie wiadomo też tak naprawdę, z jakiego powodu stracił wzrok. Dlatego musiałem skupić się przede wszystkim na świecie jego wyobraźni, na świecie, w którym – jak sam opowiadał – grał na pianinie kolorami. Jego dźwięki miały zapamiętane z dzieciństwa barwy.

Rafał Syska: Ja niewiele musiałem sobie wyobrażać, bo miałem taki ogrom materiału, który Andrzej Wajda zbierał i archiwizował przez całe życie, że moim głównym problemem była jego selekcja. Przecież on przechowywał nawet bilety kolejowe z Warszawy do Krakowa. Zastanawiałem się, z czego to wynikało. Myślę, że miało to związek z tym, iż bardzo przeżył śmierć swoich bliskich, którzy zginęli podczas II wojny światowej albo zaraz po niej. Tak jak jego przyjaciel Andrzej Wróblewski, który nie wytrzymał napięcia, traum, jakie zostawiła w nim wojna. Wajda czuł się depozytariuszem generacji, z której

Nie ma co kryć, że pisanie biografii to nie jest wdzięczna praca. Tak naprawdę polega ona na grzebaniu się w śladach, które pozostały po nieżyjących często osobach.
(Agnieszka Dauksza)

pozostały tylko pojedyncze osoby. Dlatego miał poczucie, że musi pracować w kilku biografiach równolegle.

Po ukazaniu się przed paru laty książki o Ryszardzie Kapuścińskim rozgorzała dyskusja, jak daleko wolno posunąć się biografowi, w którym miejscu powinien się on zatrzymać, czego nie dopowiedzieć? Czy państwo też stawali przed takimi dylematami?

Monika Sznajderman: Nie miałam takich dylematów, bo to jest problem autorów zajmujących się biografiami konkretnych ludzi. A mój bohater jest bohaterem zbiorowym. Ja sama także jestem jedną z bohaterek tej opo-

wieści. Ale jako wydawczyni biografii mam pewne doświadczenie w tych sprawach. Mieliśmy kiedyś kłopot z sytuacją, która dotyczyła dokonania aborcji przez bohaterkę jednej z książek. Jej autorka, radykalna feministka, uważała, że absolutnie należy to powiedzieć, ponieważ nie po to kobiety walczą o swoją wolność, żeby teraz miały udawać, że takie rzeczy się nie zdarzają. Bliscy bohaterki biografii twierdzili z kolei, że nie zgodzą się na publikację, o ile autorka nie wycofa tego fragmentu. Była to bardzo trudna do rozwiązania sprawa, która znalazła się na ostrzu noża tak dalece, że zagrożone było wydanie tej książki.

Rafał Syska: Przygotowując wystawę, nie miałem takiego problemu, bo obok mnie była Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa. Jeśli zrobiłbym coś nie tak, to pani Krystyna mrugnęłaby lewym albo prawym okiem i wiedziałbym, gdzie popełniłem błąd. Ale tak naprawdę na palcach jednej ręki mogę wyliczyć momenty, kiedy to oko mrugało. Poza tym upierała się przy bardzo drobnych rzeczach, więc nie miałem poczucia zagrożenia, że wchodzę w jakąś przestrzeń, która mogłaby być ryzykowna. W formie anegdoty mogę dodać tylko, że na wystawie pojawiały się, poza panią Krystyną, także inne osoby, które uczestniczyły w życiu i twórczości Andrzeja Wajdy. Zdarzało im się sugerować, że jest ich na wystawie zbyt mało w stosunku do zasług, jakie mają. Jedna ze wspaniałych aktorek powiedziała: „No wszystko bardzo pięknie, ale na tej wystawie jest tylko kostium, w którym występowałam". Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy dyskretnie dodać jeszcze jeden fotos.

Miałam imiona, nazwiska. Cała reszta to była praca wyobraźni.
(Monika Sznajderman)

Agnieszka Dauksza: Nie ma co kryć, że pisanie biografii to nie jest wdzięczna praca. Tak naprawdę polega ona na grzebaniu się w śladach, które pozostały po nieżyjących często osobach. Dlatego pisząc biografię, trzeba odebrać lekcję dyplomacji, dialogowania pomiędzy rodziną czy właścicielami praw a własnymi intuicjami, chęcią pokazania bohatera z tej czy innej perspektywy. Gdy spędza się czas, pracując nad taką biografią, czytając korespondencję, notatki, można wytworzyć w sobie mocne przeświadczenie, czego życzyłby sobie człowiek, o którym piszemy, gdzie byłby ten moment, kiedy naruszamy jego prywatność. Oczywiście można też pójść na całość i kompletnie demistyfikować swojego bohatera. Tylko trzeba sobie postawić pytanie, jaki to przyniesie efekt. Jestem za tym, by uszanować wolę rodziny. Jestem przekonana, że istnieje coś takiego jak wspólnota odbiorców, która weryfikuje inne postępowanie.

Maciej Pieprzyca: Pani Agnieszka ma rację, opowiadanie o życiu kogoś, kogo już nie ma, to nie jest wdzięczna praca. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że o zmarłym nie powinno się mówić źle. Równocześnie problem polega na tym, że czasami trzeba dotknąć pewnych bolesnych spraw. Bez tego nie jest możliwe stworzenie biografii. Dla mnie osoba jest ciekawa wtedy, kiedy jest pęknięta. Nie potrafiłbym zrobić filmu o kimś, kto nie jest czarno-biały, ma tylko jeden kolor. Oczywiście trzeba mieć też świadomość, że są wśród nas ciągle jego bliscy, którym nie można sprawiać przykrości. Ale co zrobić w sytuacji, która mi sięHuz przydarzyła? Przygotowując scenariusz filmu, rozmawiałem z osobami, które Mietka Kosza znały. Troje z nich opowiedziało mi o jednym fakcie trzy różne historie. Dlatego uważam, że należy odnaleźć własny trop, który podpowiada intuicja. Jest potem taki trudny moment, kiedy na premierę przychodzą ludzie, którzy znali bohatera. Zawsze dziwnie się czuję po premierowym pokazie, zastanawiam się, co oni powiedzą. Na szczęście tu było wszystko w porządku. Ewa Łukasik, czyli narzeczona Mietka, z którą związane były dość drastyczne momenty z jego życia, powiedziała mi, że bardzo się bała, jak one zostaną pokazane. Ale po obejrzeniu filmu zgodziła się z moją wizją.

Agnieszka Dauksza: W naszej kulturze tkwi taki stereotyp, że biografia jest dziełem czystym, racjonalnym. A to przecież nieprawda. To zawsze będzie nasza interpretacja tych postaci. To zawsze będzie nasza własna opowieść, mimo że staramy się oddawać jak najczęściej głos bohaterom.

Dziękuję wszystkim za rozmowę.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

... DO MANGGHI

– czyli do Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, ul. Marii Konopnickiej 26

W ZWIĄZKU Z PANDEMIĄ KORONAWIRUSA – IMPREZA ZAWIESZONA

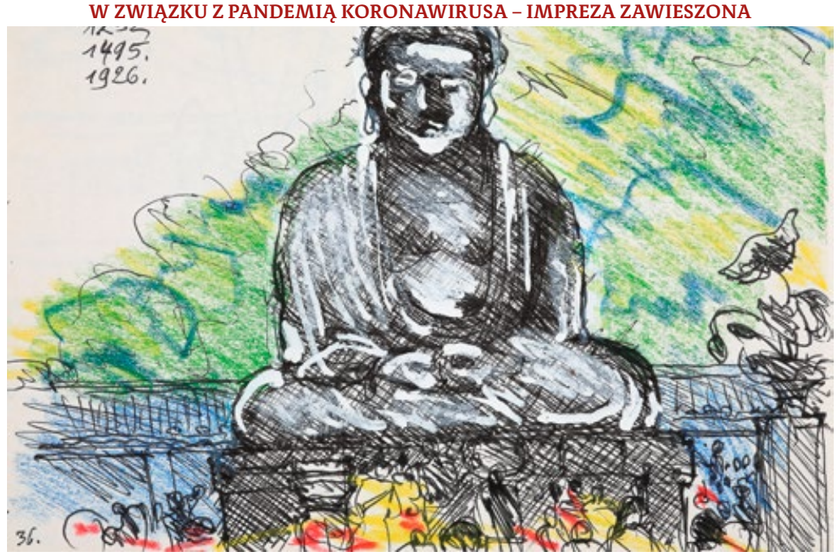

Andrzej Wajda, *Wielki Budda świątyni Kōtoku-in*, Kamakura, 1989

Andrzej Wajda, któremu (jak i jego żonie Krystynie Zachwatowicz-Wajdowa) Japonia była tak bliska, po jednej z licznych podróży do Nipponu powiedział o tym kraju: „Podróż do Japonii jest tylko zamienieniem miejsca. Nie odczuwa się ruchu w czasie. Wszystko, z małymi (i dlatego dla nas niedostrzegalnymi) różnicami jest podobne. Pałace, świątynie, domy... ogrody. (...) Nic nie trzeba ulepszać, zmieniać".

Manggha przedstawia jedną ze swoich najcenniejszych kolekcji: zbiór szkiców i rysunków Andrzeja Wajdy. Reżyser odwiedzał ten kraj (zwykle z żoną) siedem razy i podczas każdej podróży szkicował, zapamiętując najistotniejsze elementy innej, obcej kultury nieznanego kraju.

W czternastu notesach i szkicownikach odnajdziemy „obrazkową" opowieść nie tylko o Japonii, lecz także o malarzu-reżyserze, o jego preferencjach artystycznych, inspiracjach i odkryciach.

Tworząc w Japonii, zwłaszcza te szkice, które ukazują krajobrazy i sceny rodzajowe, artysta przyjmuje „japoński" punkt widzenia i komponuje je niczym drzeworyty ukiyo-e. Dlatego można spojrzeć na japońskie rysunki Wajdy jako interesujący przykład inspiracji japońskich, polskiego japonizmu. Szkice są przedstawione chronologicznie, zgodnie z rytmem odbytych przez reżysera podróży, co znakomicie ilustruje etapy poznania, zachwytu i refleksji nad inną kulturą i sztuką.

*

Manggha, muzeum założone w 1994 roku w Krakowie, narodowa instytucja kultury, powstała z inicjatywy małżeństwa Krystyny i Andrzeja Wajdów w celu przedstawienia kolekcji Feliksa Jasieńskiego „Mangghi". A sam Wajda przekazał na budowę całą, wysoką nagrodę miasta Kioto. Ten nowoczesny obiekt odwołujący się do dawnej sztuki japońskiej jest jednak nie tylko związany z ekspozycją japoników, lecz stał się także kultowym miejscem spotkań i działań artystycznych w Krakowie.

Wystawa *Andrzej Wajda. Japoński notes*
Aranżacja plastyczna: Anna Król
Scenariusz: Anna Król, Wioletta Laskowska-Smoczyńska
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Reprodukcja i tekst: dzięki uprzejmości Mangghi

manggha

Agnieszka Kosińska

Tekst: Jakub Wydrzyński **Zdjęcie:** Danuta Węgiel

Był rok 2010, Agnieszka Kosińska, w latach 1996–2004 osobista sekretarka Czesława Miłosza, została poproszona o przygotowanie książki poświęconej jej pracy z noblistą. Seria wywiadów *Rozmowy o Miłoszu* **ze zdjęciami Danuty Węgiel ukazującymi pisarza we wnętrzach krakowskiego mieszkania była prawie gotowa. Brakowało tylko portretu samej autorki tomu. Sprawa niby prosta, lecz nie w przypadku kogoś, kto delikatnie rzecz ujmując, nie przepada za pozowaniem. – Miałyśmy nie lada orzech do zgryzienia – wspomina fotografka. – Agnieszka nie znosi się mizdrzyć, ustawiać, sesję fotograficzną traktowała więc jak nieznośną konieczność. Może to nasza przyjacielska zażyłość, a może stwierdzenie, że kończymy sesję, zadziałało na moją modelkę tak, że popatrzyła na mnie radośnie i narodziła się fotografia** *Kosa glamour*, **choć obiekt surowo zakazał mi usuwania zmarszczek, piegów i innych defektów.**

W kraju, który wydał sześciu noblistów w dziedzinie literatury, mieszka też troje noblowskich sekretarzy. We Wrocławiu od zeszłego roku funkcję tę pełni Iryna Vikyrchak, asystentka Olgi Tokarczuk. W Krakowie, już jako „honorowi" sekretarze działają Michał Rusinek (dziś prezes Fundacji Wisławy Szymborskiej) oraz Agnieszka Kosińska, którą spotykam w Pawilonie Józefa Czapskiego przy Piłsudskiego 12.

Kiedy w roku 2011, Roku Miłosza, fetowano słynnego pisarza, w głowie Kosińskiej pojawiła się psotna myśl stworzenia pełnokrwistego portretu tego jednego z najbardziej nieuchwytnych i kontrowersyjnych polskich pisarzy. Tak powstała książka *Miłosz w Krakowie* (2015), która rzuciła nowe, niejako „garderobiane" światło na Miłosza, a zdawał się on już nieomal całkiem oczywisty i, jak powiedziałby Boy, nieco „ubrązowiony". Samą Kosińską *Miłosz w Krakowie* wysadził z siodła. Zamknęła drzwi mieszkania Miłosza na Bogusławskiego, którym opiekowała się od śmierci pisarza i... założyła stronę, na której popularyzuje wiedzę o Miłoszu. W centralnym punkcie strony patrzy na nas *Kosa glamour*. Kosa – tak nazywają ją przyjaciele.

„Najpierw zasadziłam krokusy i zioła. Wszystkie te pięknie brzmiące i pachnące" – mówi Agnieszka Kosińska, szefowa największego oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie – Muzeum im. Emeryka Hutten-Czapskiego.

W październiku 2017 wygrała konkurs na kierownika największego oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie – Muzeum im. Emeryka Hutten-Czapskiego, na które składa się między innymi Pawilon Józefa Czapskiego i Pałac Czapskich (mieszkali w nim dziadkowie Józefa, Emeryk z żoną Elżbietą, fundatorzy najcenniejszej kolekcji polskich monet, którą możemy w Pałacu oglądać). Pawilon, najnowocześniejszy budynek MNK, nawiązuje do modernizmu „*white cube*", z wnętrzem oddającym francuski szyk, paryską kawiarnią wychodzącą na ogród, który łączy się z dziewiętnastowiecznym okalającym Pałac ogrodem.

– Najpierw zasadziłam krokusy i zioła. Wszystkie te pięknie brzmiące i pachnące – mówi Kosińska. – Robię wystawy Czapskiego. Wymyśliłam cykl spotkań *Swoboda tajemna*, które prowadzę. Tytuł i motto wzięłam z książek Czapskiego. Motto przydałoby się tu przytoczyć, koresponduje z pytaniami, które sobie sama ciągle zadaję: „Człowiek żyje dzięki sekundom innego wymiaru. (...) Prostota sztuki. (...) Czym jest sztuka, po co jest sztuka? Świadomość życia, jakiego życia? Jaka świadomość?".

Na pytanie, jak podsumowałaby tę dekadę, odpowiada: – Po raz kolejny zmieniłam swoje życie. Ale w gruncie rzeczy robię to samo: patrzę na obraz. Jak młodzieniec z obrazu Czapskiego. Bardzo lubię to zdjęcie Danuty. Mówi o mnie coś autentycznego, a sekretnego.

Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.

Filharmonia Woźniakowskiej

Tekst: Janusz M. Paluch **Zdjęcie:** Krzysztof Lis

7 lutego odbył się koncert jubileuszu 75-lecia Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie. *IX symfonia d-moll* w wykonaniu krakowskich filharmoników pod dyrekcją Ola Rudera – szwedzkiego dyrygenta – zabrzmiała w gościnnej w sali Teatru im. Juliusza Słowackiego, bowiem gmach Filharmonii jest remontowany.

75 lat pracy artystycznej to tysiące koncertów, setki kompozytorów, dyrygentów, wirtuozów i muzyków z całego świata. Lata te zostały skrupulatnie opisane piórem *Maestry* muzycznego dziennikarstwa Anny Woźniakowskiej na 454 stronach książki *75 lat Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie. 1945–2020*.

Autorka od lat towarzyszy muzycznemu życiu Krakowa, najpierw jako radiowy krytyk muzyczny, później jako recenzent muzyczny w „Dzienniku Polskim”. Obecnie swe posłannictwo realizuje na łamach „Krakowa”. Z pasją dokumentuje dzieje Filharmonii Krakowskiej, instytucji kultury, której organizatorem jest województwo małopolskie. Inkrustruje swą opowieść wspomnieniami, przywołując wybitne postaci świata kultury. Dość wymienić Marka Stachowskiego, Adama Walacińskiego, Krystynę Moszumańską-Nazar, Stanisława Dziedzica, Jacka Berwaldta czy Kaję Danczowską. Opasły tom to nade wszystko dokumentacja sezonów artystycznych Filharmonii Krakowskiej na występach w Krakowie i gościnnie. Zawiera również, jakże cenne, zestawienia dyrygentów i muzyków występujących w Filharmonii w ciągu 75 lat czy listę prawykonań dzieł muzycznych. Autorka opisuje też pokrętności i kulisy konkursów na stanowisko dyrektora Filharmonii oraz ideę budowy nowej siedziby tej instytucji. A wszystko okraszone licznymi fotografiami ukazującymi afisze, programy, koncerty i muzyków.

Omawiana książka jest kontynuacją pracy Woźniakowskiej wydanej w 2015 roku na jubileusz 60-lecia Filharmonii Krakowskiej. Obie publikacje dowodzą, że Kraków zasługuje na nową Filharmonię.

Kultura muzyczna Krakowa drugiej połowy XX wieku i pierwszych dwóch dekad XXI wieku to też życie Anny Woźniakowskiej. Przed kilku laty została uhonorowana nagrodą Krakowska Książka Miesiąca za publikację, w której przekonywała, że „Kraków zasługuje na Operę!”. Kiedy tylko mogę, wsłuchuję się w słowa *Maestry* Woźniakowskiej opowiadającej o życiu muzycznego Krakowa, a nie umknie jej najdrobniejszy fałsz. I za to, polecając jej filharmoniczną opowieść nie tylko miłośnikom krakowskiej muzyki poważnej, dziękuję Pani Annie najczulej, jak potrafię.

Anna Woźniakowska, *75 lat Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie. 1945–2020*, Wydawnictwo Filharmonii Krakowskiej im. Karola Szymanowskiego w Krakowie, Kraków 2020.

Kwiecień 1920 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski Ilustracje: NAC oraz zbiory własne

2 kwietnia. Dzienniki donosiły o zablokowaniu przez górników z Brzeszcz wysłanych do Krakowa z rozdzielnika 25 wagonów węgla. Był to odwet za skonfiskowanie przez władze transportu słoniny dla górników.

3 kwietnia. Z kroniki „Czasu”: „Organa Policji Państwowej aresztowały 3 dziewczęta 16-letnie: Marię Sowa, Marię Nowak i Zofię Rydlowicz, które od dłuższego czasu okradały na wiadukcie przy ul. Warszawskiej wozy kolejowe idące do Królestwa”.
Jak widać, ciągle jeszcze pokutowało dawne nazewnictwo. Chodziło o dawny zabór rosyjski, czyli Królestwo Polskie zwane nieformalnie Kongresowym.

4 kwietnia. Krzepiąca notatka z „Czasu”: „Wincenty Tyszkiewicz, służący, złożył wczoraj na policji 650 dolarów, które znalazł o 5.30 rano w porzuconej na ul. Szlak walizce, skradzionej prawdopodobnie jakiemuś emigrantowi na dworcu”.

8 kwietnia. „Rękawka odbyła się wczoraj po południu tradycyjnym zwyczajem na Krzemionkach. Całe wzgórze pokryło się tysiącami ludności, wśród której było mnóstwo dzieci. Kramy odpustowe te same co na Emausie, zapełnione tymi samymi specjałami i hałaśliwymi zabawkami, były atrakcją dla wiernych tradycji tłumów. Dźwięki katarynek urozmaicały zabawę, mieszając się z rozgwarem tysięcy rozmów i żartów podczas obrzucania się różnokolorowymi confetti i zaczepiania się nowym Emausowym wynalazkiem, zmiotkami z czerwonej bibuły. Gwar, wrzawa, piszczałki, trąbki, katarynki – tyle pozostało dziś z Rękawki, która dawniej polegała na rzucaniu ze wzgórza ubogim i dzieciom bułek, jabłek i pomarańcz” – ubolewał reporter „Głosu Narodu”.

11 kwietnia. Jak donosiły dzienniki, w wieku 86 lat zmarł Józef Splichal, właściciel największego magazynu broni, mieszczącego się przy ul. Sławkowskiej 16, uczestnik powstania styczniowego.

14 kwietnia. Interesujące dane przytoczył „IKC”: „Zestawienie konsensów magistrackich na budowy od 1 sierpnia 1914 do końca 1919 roku dało następujący wynik. W tym czasie wykończono siedem 3-piętrowych domów w cegle, wykonanych przed wojną. Zbudowano domów 2-piętrowych (licząc fabryczne) 11. Domów 1-piętrowych 26, stajen, przyziemnych etc. 118. Następnie magistrat zatwierdził 19 nadbudów pięter, 136 przebudów (w tym budowy łazienek i klozetów), 97 drobnych budowli, 84 szopy, 39 ogrodów”.

14 kwietnia. Jak podał „Głos Narodu”: „Właściciel cukierni przy ul. Karmelickiej 13 Zygmunt Majewski skazany został za podbijanie cen ciastek na 14 dni aresztu obostrzonego twardym łożem i 14 dni aresztu zwykłego”.

16 kwietnia. „Przyjechała wczoraj do Krakowa angielska misja, która zajmuje się organizowaniem Policji Państwowej w Polsce. Misja, która przybyła z Warszawy, odbyła konferencję z dyrektorem policji” – odnotowała „Nowa Reforma”.

16 kwietnia. W tym samym numerze niepokojąca wieść: „Tyfus plamisty przybiera w Krakowie wprost zastraszające rozmiary. Obecnie codziennie zdarza się 27–30 przypadków zasłabnięć”.

W kwietniu 1920 roku prasa relacjonowała wymianę koron na marki polskie w relacji 70 mk za 100 kor. Przy tej okazji zawieszono transakcje w kantorach wymiany, zamknięto też granice państwa.

19 kwietnia. Z kroniki „Głosu Narodu”: „Obecna wystawa japońska w Pałacu Sztuki, pl. Szczepański 4, potrwa jeszcze do 26 bm., poczym nastąpi otwarcie wystawy obrazów i rzeźb Towarzystwa Artystów Polskich »Sztuka«”.

19 kwietnia. Z kroniki „IKC”: „Wczoraj rano usiłował odebrać sobie życie przez utopienie niejaki Paweł Vogler, ślusarz. Mianowicie chciał on skoczyć z bulwaru do Wisły, tymczasem upadł na kamienie i odniósł ciężkie rany na głowie oraz wstrząs mózgu. Zawezwane Pogotowie przewiozło go do Szpitala św. Łazarza”.

19–24 kwietnia. Prasa relacjonowała wymianę koron na marki polskie w relacji 70 mk za 100 kor. Przy tej okazji zawieszono transakcje w kantorach wymiany, zamknięto też granice państwa.

21 kwietnia. Dzienniki przytoczyły komunikat magistratu: „Publiczność spacerująca po Błoniach zbacza często na tor powyścigowy, spacerując po nim i rozkładając się na trawie. Ponieważ tor powyścigowy należy obecnie do miejskiego gospodarstwa rolnego i ogromnym kosztem został uprawiony dla produkcji tak kosztownej teraz paszy dla zaprzęgów miejskich, przeto magistrat zwraca uwagę, że przechodzenie przez tor, leżenie tam na tra-

Kramy i jatki postawione na ul. Słowiańskiej w 1925 roku przetrwały do ostatniej wojny, fot., 1926, NAC

Pałac Lasockich został sprzedany gminie z częścią Dębnik w 1910 roku. W latach 20. mieścił zakład wychowawczy dla chłopców, przy którym prowadzono uprawy sadownicze i warzywne, fot., 1928, NAC

wie itp. uszkodzenie plonów pastewnych jest wzbronione pod surowymi karami".
W 1922 roku we wschodniej części dawnego Toru Wyścigowego powstał stadion TS Wisła. W części zachodniej wzniesiono (1936–1937) osiedle Cichy Kącik.

21 kwietnia. „Naczelnik państwa zamianował dr. Adolfa Szyszko-Bohusza profesorem nadzwyczajnym konserwacji zabytków w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W ten sposób zyskuje ta instytucja znakomitego i wielce twórczego artystę-architekta, pod którego umiejętnym kierownictwem odbywa się bez przerwy restauracja zamku na Wawelu" – relacjonował „IKC".

21 kwietnia. Ten sam numer „IKC" odnotował niecodzienne zdarzenie: „Na pl. Słowiańskim na straganach ukazują się tylko pośledniejsze części bydlęce jak wątroba i płucka, a tłumy wytrwale otaczają rzeźników, by nieco owych specjałów zakupić. Onegdaj korzystając z natłoku jedna z bab ukradła ze straganu okazałe płuca cielęce i poczęła uciekać ze swą zdobyczą. Za złodziejką puściło się w pościg kilka osób, krzycząc przeraźliwie: »oddaj płucka!«. Pościg ul. Krowoderską nie przyniósł rezultatu, gdyż baba znikła z oczu, rzuciwszy jeszcze parę obraźliwych słów i nieprzystojną propozycję. Policjanta nie było, gdyż w naszym grodzie łatwiej o płucka niż o policjanta".
Na ul. Słowiańskiej – zwanej tradycyjnie i od zawsze placem – w miejscu dzisiejszego zieleńca stały stragany, zastąpione (1925) rzędem murowanych kramów i jatek.

23 kwietnia. Jak odnotował „Czas": „Ze względu na znaczne podwyższenie cen wody wodociągowej, węgla, amoniaku, robocizny itd., ceny lodu sztucznego obecnie wynoszą: a. *loco* rzeźnia 5 mk, z rozwozem do domów 8 mk, za jeden słup 25-kilogramowy".
W latach 20. lodówki elektryczne, używane już za oceanem, w Polsce nie były znane. Pojawiły się, w latach 30., ale ich cena była horrendalna, odstraszało też zużycie prądu. W tej sytuacji używano lodowni szafkowych, na lód sztuczny bądź naturalny, uzyskiwany wprost z zamarzniętej Wisły.

25 kwietnia. Komunikat z „Czasu": „Dowództwo Wojsk Samochodowych Okręgu generalnego Kraków przypomina o zakazie jeżdżenia samochodami i motocyklami po al. 3 Maja. Publiczność we własnym interesie powinna podawać numer samochodu przekraczającego ten przepis do wiadomości Dowództwa".

25 kwietnia. Jak zapowiadał „Głos Narodu": „Poświęcenia nowych dzwonów dokona Książę Biskup Sapieha w kościele księży misjonarzy na Nowej Wsi w niedzielę o godz. 9".

26 kwietnia. Anons z „Nowej Reformy": „Rozsady warzywne (kapusta, kalafiory, kalarepa, pomidory, cebula i sałata) sprzedaje się od dnia 26 kwietnia w ogrodzie miejskim (ul. Lubicz 23) i w szkółkach (Dębniki, pałac po Lasockich).

Reklama magazynu broni Józefa Splichala w „Kalendarzu Krakowskim" Józefa Czecha na 1910 rok, archiwum K. Jakubowskiego

28 kwietnia. „Kraków od 4 tygodni nie ma chleba kontyngentowego. Urzędnicy dostali wprawdzie deputaty w formie chleba, wystarczające na parę dni, a to kwestii nie rozwiązuje. Natomiast Warszawa zasypana jest wprost pieczywem" – alarmował „IKC".

28 kwietnia. Z kroniki „Nowej Reformy": „Krakowscy złodzieje wyspecjalizowani w okradaniu mieszkań nie zadowalają się już żywymi, lecz dobierają się także do umarłych w miejscach wiecznego spoczynku. Wczoraj stwierdzono na cmentarzu Rakowickim znieważenie grobu rodziny Pieniążków i okradzenie znajdującego się tam nieboszczyka. Z grobowca odwalono płyty kamienne i wyciągnięto trumnę, którą rozbito, a nieboszczyka odarto z szat i wyjęto mu złote zęby. Jako podejrzanego o tę profanację aresztowano 34-letniego Antoniego Nogę, na którego wskazywały poszlaki. Między innymi na czapce jego znaleziono ślady pajęczyny z grobowca, a całe jego ubranie przesiąknięte było trupim zapachem".

30 kwietnia. Anons z „IKC": „Uczciwego, inteligentnego człowieka do funkcji detektywistycznych poszukuje koncesjonowane biuro detektywistyczno-informacyjne, ul. Długa 16".

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

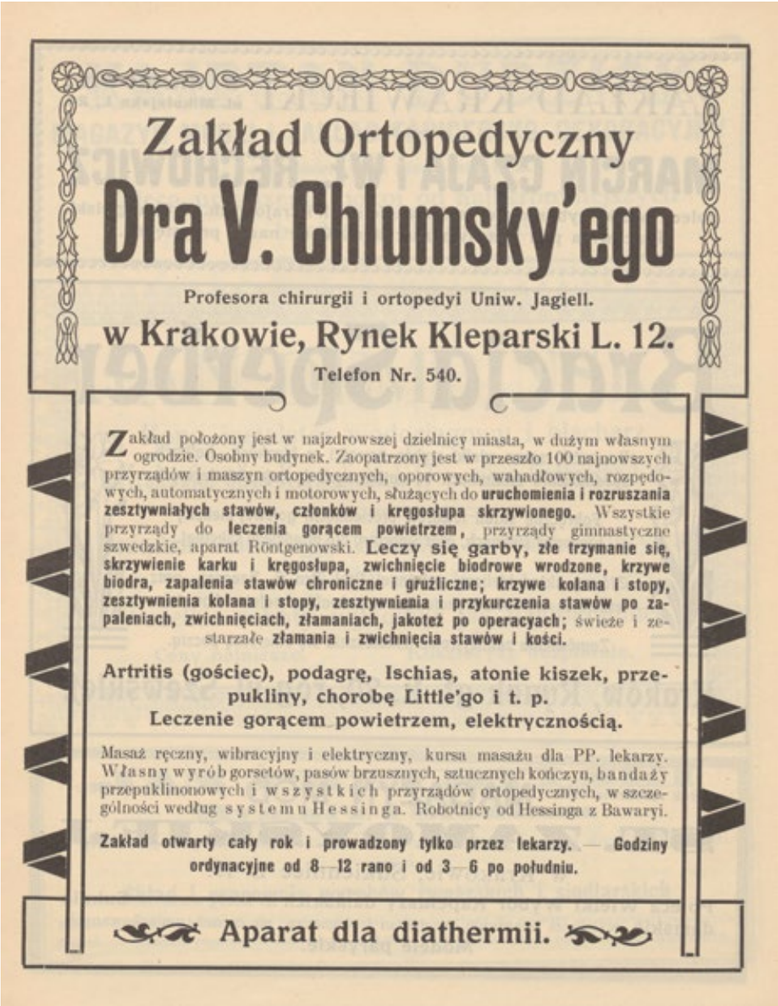
Zakład Ortopedyczny
Dra V. Chlumsky'ego
Profesora chirurgii i ortopedyi Uniw. Jagiell.
w Krakowie, Rynek Kleparski L. 12.
Telefon Nr. 540.

Zakład położony jest w najzdrowszej dzielnicy miasta, w dużym własnym ogrodzie. Osobny budynek. Zaopatrzony jest w przeszło 100 najnowszych przyrządów i maszyn ortopedycznych, oporowych, wahadłowych, rozpędowych, automatycznych i motorowych, służących do **uruchomienia i rozruszania zesztywniałych stawów, członków i kręgosłupa skrzywionego.** Wszystkie przyrządy do **leczenia gorącem powietrzem,** przyrządy gimnastyczne szwedzkie, aparat Röntgenowski. **Leczy się garby, złe trzymanie się, skrzywienie karku i kręgosłupa, zwichnięcie biodrowe wrodzone, krzywe biodra, zapalenia stawów chroniczne i gruźliczne; krzywe kolana i stopy, zesztywnienia kolana i stopy, zesztywnienia i przykurczenia stawów po zapaleniach, zwichnięciach, złamaniach, jakoteż po operacyach;** świeże i zestarzałe **złamania i zwichnięcia stawów i kości.**

Artritis (gościec), podagrę, Ischias, atonie kiszek, przepukliny, chorobę Little'go i t. p.
Leczenie gorącem powietrzem, elektrycznością.

Masaż ręczny, wibracyjny i elektryczny, kursa masażu dla PP. lekarzy. Własny wyrób gorsetów, pasów brzusznych, sztucznych kończyn, bandaży przepuklinonowych i wszystkich przyrządów ortopedycznych, w szczególności według systemu Hessinga. Robotnicy od Hessinga z Bawaryi.

Zakład otwarty cały rok i prowadzony tylko przez lekarzy. — Godziny ordynacyjne od 8—12 rano i od 3—6 po południu.

Aparat dla diathermii.

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY
Dra V. Chlumsky'ego
Docenta chirurgii i ortopedyi Uniwersytetu Jagiellońskiego
w Krakowie, ul. Mikołajska l. 28 I. p. Telefon Nr 540.

Leczenie skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawowych, gimnastyka lecznicza, masaż, aparaty Zanderowskie, leczenie gośćca i chorób stawów gorącem powietrzem. Aparaty Roentgenowskie. Kursa masażu dla lekarzy.

Własny wyrób ortopedycznych przyrządów w szczególności według systemu Hessinga, wyrób gorsetów, pasów brzusznych, bandaży przepuklinowych.
Zakład otwarty cały rok i prowadzony tylko przez lekarzy.

Doktor od masaży

Tekst: Ewa Danowska

Na początku XX wieku słynny był w Krakowie i okolicy zakład ortopedyczny doktora Chlumský'ego – jak głosiła reklama: „jedyny w Polsce i pierwszy w Krakowie". Doktor był prekursorem gimnastyki ortopedycznej, docenianym przez środowisko lekarskie i popularnym wśród pacjentów.

Vítězslav Chlumský, Czech z pochodzenia, urodził się w 1867 roku w Ksawerowie (Xaverovicach) nad rzeką Popelką. Gimnazjum ukończył w Jičínie, studiował na uniwersytecie we Wrocławiu i Pradze, gdzie w 1895 roku otrzymał dyplom wszechnauk lekarskich. Po odbyciu służby wojskowej pracował w Wiedniu, Brnie, Wrocławiu i Würzburgu, po czym przeniósł się do Krakowa, obejmując stanowisko asystenta w Klinice Chirurgicznej UJ.

Zdobył spore doświadczenie jako chirurg, a jego ulubioną dziedziną badań była gastrologia i ortopedia. Ogłaszał drukiem prace naukowe, a w 1901 roku ukazała się w Krakowie jego praca habilitacyjna *O guzikach jelitowych*.

Dorobek naukowy Chlumský'ego zjednał mu uznanie grona profesorskiego Wydziału Lekarskiego UJ. W semestrze letnim roku akademickiego 1901/1902 rozpoczął wykłady z chirurgii i ortopedii, a także praktyczny kurs mięsienia, jak wówczas nazywano masaż. Jak pisał w pracach *O zastosowaniu mięsienia w różnych chorobach* oraz *Mięsienie (masaż) i jego zastosowanie*, jest to leczniczy zabieg, który może być stosowany w różnych chorobach, ale choć stary, to niedoceniany. Warunkiem skuteczności jest, aby wykonywał go lekarz, gdyż podejmujące się tej metody osoby niedoświadczone mogą spowodować szkody.

W 1907 roku Vítězslav Chlumský został współwłaścicielem nowego zakładu leczniczego Powszechna Poliklinika Krakowska.

Światowy rozgłos przyniosło mu opracowanie składu płynu dezynfekcyjnego nazwanego płynem Chlumský'ego (roztwór alkoholowy kwasu karbolowego z kamforą), który był używany w chirurgii podczas I wojny światowej.

Po pewnym czasie doktor skoncentrował się na ortopedii, publikując prace między innymi o leczeniu zwichnięcia stawu biodrowego, zrostów stawu po zapaleniu, nowych próbach leczenia skrzywień kręgosłupa, a także operacji płaskich stóp i koślawych paluchów. Kontynuował badania i obserwacje nad bocznym skrzywieniem kręgosłupa. Najwięcej zainteresowania i wysiłku poświęcił właśnie temu zagadnieniu, przeprowadzając obserwację około 1500 przypadków tej deformacji. Uważał, że na skrzywienie kręgosłupa mają wpływ czynniki wrodzone, a nie, na przykład, siedzący tryb życia. Zalecał „rozumne" ćwiczenia fizyczne przy zastosowaniu różnorodnych przyrządów oraz masaże. W zesztywnieniach tkanki łącznej oraz mięśniowej wprowadził leczenie ciepłym powietrzem i mięsieniem. Promował stosowanie rozmaitej aparatury fizykoterapeutycznej. Zalecał też kąpiele.

Na początku XX wieku założył własny gabinet pod nazwą Zakład Ortopedyczny Dra V. Chlumsky'ego. Początkowo mieścił się on przy ul. Mikołajskiej 28 na pierwszym piętrze. Pojawiające się w prasie reklamy informowały, że leczy się tam skrzywienia kręgosłupa i kończyn oraz ponadto choroby stawów – przy zastosowaniu gorącego powietrza. Gabinet wyposażony był w aparat rentgenowski, prowadzono gimnastykę leczniczą, a dla lekarzy oferował kursy masażu. Można było nabyć wyrabiane na miejscu ortopedyczne gorsety, pasy brzuszne i bandaże przepuklinowe.

Przedsięwzięcie zapewne okazało się opłacalne, gdyż Zakład Ortopedyczny Dra V. Chlumský'ego znalazł rychło większą siedzibę przy Rynku Kleparskim 12. Właściciel zachwalał, że zakład położony jest w najzdrowszej dzielnicy miasta, w dużym własnym ogrodzie. Początkowo dysponował pięćdziesięcioma „najnowszymi przyrządami i maszynami ortopedycznymi", a liczba tych urządzeń w ciągu kilku lat wzrosła do ponad stu. Owe przyrządy i maszyny – „oporowe, wahadłowe, rozpędowe, automatyczne i motorowe" – służyć miały do rozruszania zesztywniałych stawów i skrzywionego kręgosłupa. Po pewnym czasie dr Chlumský wzbogacił swój zakład o szwedzkie przyrządy gimnastyczne. Według reklam zamieszczanych konsekwentnie między innymi w „Kalendarzu Józefa Czecha", leczono tam garby, „złe trzymanie się", zwichnięcia biodrowe wrodzone, krzywe biodra, zapalenia stawów chroniczne i gruźlicze, krzywe kolana i stopy, zesztywnienia i przykurcze stawów po zapaleniach, zwichnięciach, złamaniach, operacjach, a także świeże i zestarzałe złamania i zwichnięcia stawów

Światowy rozgłos dr. Chlumský'emu przyniosło opracowanie składu płynu dezynfekcyjnego (roztwór alkoholowy kwasu karbolowego z kamforą), który był używany w chirurgii podczas I wojny światowej.

i kości. Przy wykorzystaniu najnowocześniejszych metod i aparatury, u doktora Chlumský'ego można było się pozbyć gośćca, podagry, ischiasu, atonii kiszek, przepukliny czy choroby Little'go, czyli mózgowego porażenia dziecięcego. Skorzystać można było z masażu ręcznego, wibracyjnego i elektrycznego, a także nabyć gorsety, pasy i bandaże przepuklinowe – wyrabiane na miejscu przez fachowców z firmy Hessinga z Bawarii. W 1911 roku pojawiła

W Zakładzie dr. Chlumský'go ćwiczyli głównie synowie i córki krakowskich profesorów, arystokracji i okolicznego ziemiaństwa. Ćwiczenia były koedukacyjne. Znana satyryczka Magdalena Samozwaniec przybytek doktora Chlumský'ego określiła jako dziwną salę tortur, gdzie huczały przerażające żelazne aparaty, które bądź to zginały przemocą delikwentów do podłogi, bądź wyciągały im ramiona.

się w ofercie możliwość skorzystania z aparatu „dla diathermii", czyli fizjoterapeutycznego zabiegu przy wykorzystaniu silnego pola magnetycznego lub elektrycznego. Zakład był czynny od 8.00 do 13.00 i od 15 do 18.00, a chorzy mogli się zatrzymać w istniejących przy zakładzie pokojach.

Zakład Chlumský'go cieszył się dużą popularnością. Ćwiczyli tam głównie synowie i córki krakowskich profesorów, arystokracji i okolicznego ziemiaństwa. Ćwiczenia były koedukacyjne – spotkać można było Julkę, córkę Jacka Malczewskiego obok pulchnego Jasia Starzewskiego, późniejszego dyplomaty. Znana satyryczka Magdalena Samozwaniec przybytek doktora Chlumský'ego określiła jako dziwną salę tortur, gdzie huczały przerażające żelazne aparaty, które bądź to zginały przemocą delikwentów do podłogi, bądź wyciągały im ramiona. Inna metoda polegała na powieszeniu pacjenta za głowę zabezpieczoną w skórzaną maskę, aby wyprostować kręgosłup. Dla „lżejszych przestępców" przewidziano mechanicznego konia podrzucającego pacjenta do góry czy stacjonarne rowery.

Kilkunastoletnim siostrom Kossakównym – Magdalenie i Lilce, późniejszej Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, domowy lekarz zalecił gimnastykę ortopedyczną, zatem obie trafiły do doktora Chlumský'ego. Madzia we wspomnieniowej książce *Maria i Magdalena* opisywała udręki ciała, jakimi ją tam poddawano w celu poprawy kondycji. Lilce z kolei dr Chlumský zaordynował wiszenie w skórzanej masce w celu wyprostowania kręgosłupa. Żelazna obręcz od maski wrzynała jej się w podbródek, co pozostawiało czerwoną pręgę. Pani Maria Kossakowa została nadto zobligowania do zainstalowania podobnego urządzenia w domu. Doktor zastosował też inną metodę – przylepiał Lilce „jakieś plastry dziurkowane" czy kazał wsadzić ją na 10 dni do gipsu w celu prostowania kręgosłupa, co dla pacjentki było pamiętnym, niemiłym przeżyciem. Niestety, spodziewanego efektu nie było, a poetka do końca życia miała znacznie wystającą łopatkę, co umiejętnie maskowała powłóczystymi szalami.

Kuracja Kossakówien u doktora Chlumský'ego została przerwana, ponieważ ich ojciec powróciwszy do Krakowa po dłuższym pobycie w Anglii określił doktora jako bałwana i osła i zadecydował o zaprzestaniu leczenia. Zamówił u jubilera dla córek po pierścionku z wygrawerowanym napisem „Prosto", by pamiętały o niegarbieniu się, oraz zarządził lekcje gry w tenisa i jazdy konnej.

Wszechstronna i rozległa działalność Chlumský'ego zjednywała mu jednak duże uznanie w środowisku lekarskim. Prof. Bronisław Kader na posiedzeniu rady Wydziału Lekarskiego UJ w 1909 roku wystąpił o nadanie mu tytułu profesora nadzwyczajnego, który to wniosek przyjęto jednomyślnie. Chlumský objął wtedy stanowisko operatora honorowego w Szpitalu św. Ludwika. O jego bezinteresowności świadczy duża liczba przeprowadzonych bezpłatnie zabiegów operacyjnych.

Równocześnie jednak rozległa praktyka lekarska przynosiła Chlumský'emu znaczne dochody, skoro zdołał nabyć dużą posiadłość ziemską w Tošonovicach, w powiecie cieszyńskim.

Po wybuchu I wojny światowej Chlumský został powołany do wojska. Pełnił obowiązki szefa Oddziału Chirurgicznego Szpitala Wojskowego w Cieszynie. Zlikwidował wtedy krakowskie mieszkanie i zamieszkał w Tošonovicach. Władze uczelni domagały się jego powrotu, a Chlumský nadsyłał konieczne zaświadczenia, w tym zwolnienia lekarskie, jako że sam złamał wtedy nogę i nabawił się ciężkiej infekcji po operacji. W 1917 roku Rada Wydziału Lekarskiego UJ przychyliła się do jego prośby o zwolnienie z prowadzenia zajęć dydaktycznych.

Po wojnie do Krakowa już nie powrócił. Objął katedrę chirurgii na uniwersytecie w Bratysławie (prowadził ją do 1932 roku), a w 1919 roku utworzył tam klinikę ortopedyczną. W 1922 roku ukazał się drukiem jego podręcznik ortopedii, w którym zgromadził swe wieloletnie doświadczenia. Zmarł 1 listopada 1943 roku w Tošonovicach, w wieku 76 lat.

Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

W sieci kultury

Przegląd: Piotr Rachwaniec

Wirusy i trucizna nie zawsze są niebezpieczne, lecz bywają inspirujące – szczególnie w wydaniu artystycznym.

dwutygodnik.com
w artykule *Wirus tańca* donosi o spektaklu muzycznym *Trucizna* Marty Ziółek:

„*Trucizna* zabiera nas w ekspresywną podróż po pozornie odległych technikach tańca: od barokowych form salonowych przez balet klasyczny po postmodernistyczną kulturę klubową.

(...) barokowe i współczesne estetyki spotykają się po pierwsze na poziomie dźwięku: w swoich hipnotyzujących kompozycjach Lubomir Grzelak połączył oryginalne partytury pawany i menueta z różnej maści house'em, elektroniką, disco i popem (...) ".

Dokument zwykle pozostaje w cieniu fabuły, choć potrafi budzić o wiele większe emocje. Portal
kulturaliberalna.pl
przedstawia pięć filmów dokumentalnych nominowanych w tym roku do Oscara. Zachęcamy do przeczytania streszczeń i obejrzenia zwiastunów:

„Upadek demokracji, kryzys ekologiczny, wojna w Syrii, spięcia międzykulturowe towarzyszące rosnącej potędze Chin – to tematy dokumentów, które konkurowały w tym roku o Oscara. (...)

Trudno posądzić tegoroczny zestaw nominowanych o zamkniętą, amerykocentryczną perspektywę. Nawet w intymnych opowieściach można było odkryć odwołania do zjawisk globalnych – zagrożenia demokracji, kryzysu ekologicznego, rosnącego ekonomicznego znaczenia Chin oraz tragedii humanitarnej związanej z wojną w Syrii".

Horror w wydaniu amerykańskim, japońskim czy hiszpańskim nie wymaga rekomendacji. Czas na Polaków! Serwis
wtonacjikultury.pl
prezentuje zapowiedź pierwszego polskiego slashera *W lesie dziś nie zaśnie nikt* garściami czerpiącego z klasyki gatunku:

„Wiecie, ile osób znika rocznie w polskich lasach? Tej wiosny poznacie krwawe oblicze statystyk... (...)

Domek w środku lasu, monstrum, polujące na grupę odciętych od świata nastolatków – *W lesie dziś nie zaśnie nikt*, nowy film Bartosza M. Kowalskiego, twórcy kontrowersyjnego *Placu zabaw*, to slasher zanurzony w estetyce amerykańskiego horroru lat 80. Makabra, groteska, seks, a w tle społeczny komentarz. Takiej zabawy gatunkiem w Polsce jeszcze nie było".

DOSTAWKA

Wizyta czarnej sopranistki

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcia:** Bartek Barczyk/Teatr im. Juliusza Słowackiego

Czwartek
Wedle Grabca Goplana to zjawa lekko przemykająca między ludzkimi palcami. „Co za dziwne stworzenie z mgły i galarety!" – pieje ten chłopek-roztropek na widok leśnej królowej nieuchwytności. „Są ludzie – ciągnie myśl Grabiec – co smak czują do takiej kobiety. Ja widzę coś rybiego w tej dziwnej osobie".

U Pawła Świątka, który *Balladynę* Juliusza Słowackiego w Teatrze Słowackiego, na scenie Małopolskiego Ogrodu Sztuki wyreżyserował, sprawy z królową nieuchwytności w sumie podobnie się mają. Podobnie, ale też inaczej, gdyż rewolucyjnie, odkrywczo, nowatorsko. Goplana Świątka jest oto starą Murzynką. Jest rozebraną do rosołu, a dokładnie do węgielnego rosołu, emerytowaną sopranistką chóru Gospel znad Missisipi, sennie człapiącą w butach na wysokim obcasie. Odrobinę posiwiała, bidulka, na łonie, lecz za to brak choćby jednego białego włosa w jej monstrualnej, majestatycznie falującej koafiurze afro, która pozwala myśleć o natapirowanej dyni w ciemnościach.

Mgła i galareta zwyczajnie sczerniały, a także uległy petryfikacji. Spokojnie, to jest całkowicie naturalne. Czas zrobił swoje. Przecież Słowacki stworzył *Balladynę* w roku 1834, mamy już 2020, a któż jest w stanie utrzymać kolor, zwłaszcza zaś lekkość, przez lat aż 186?! Ryba nieuchronnie pokryła się więc nocą, ale też nie dziwota, że czernie te i ta ociężałość w ogóle nie zdumiewają Grabca. Skoro ten chłopek-roztropek jest u Świątka kobietą, nie chłopkiem-roztropkiem, a chłopką-roztropką, czyli Grabką po prostu, to jak ma nie przyjąć za całkowicie normalny widok starej Murzynki, w czółnach na wysokim obcasie łażącej po w lesie nad Gopłem i wyznającej miłość Grabce, co po tym samym lesie łazi w obuwiu nie do pary – w plastikowym laczku plażowym na jednej i ciemnym gumowcu za kostkę na drugiej stopie?

Sobota
Generalnie należy brać przykład z Grabki. A znaczy to, że na *Balladynie* Świątka nie należy dziwić się niczemu. Więcej wyznam, na bok odstawiając Grabkę. Nie należy poprzestawać na pasywnym przyjmowaniu widoków scenicznych, nie wolno ich zostawiać na scenie bez wsparcia, trzeba je koniecznie rozwijać twórczo. W rozebranej do węgielnego rosołu emerytowanej sopranistce chóru Gospel z okolic Nowego Orleanu nie wolno widzieć samej tylko rozebranej do węgielnego rosołu emerytowanej sopranistki chóru Gospel z okolic Nowego Orleanu. Taka pasywność zubaża wizję Świątka. Należy więc, w wyobraźni snując opowieść, poszukać sensu, dalekosiężnego sensu czarnej sopranistki, albowiem kiedy coś zjawia się na scenie – przecież nie zjawia się bez sensu. Czyż nie? Musi coś znaczyć. Przecież reżyserzy kończą studia reżyserskie nie po to, by później bredzić w teatrach. Czyż nie? Co zatem ściśle uczynić należy?

Niedziela
Należy, jak ja na premierze *Balladyny* Świątka, w wyobraźni swej zdjąć czółna na wysokim obcasie ze stóp smolistej Goplany, a także przeróżne ozdoby, co nimi udekorowane są u Świątka jej nadgarstki oraz szyja. Niechaj, bidula moja, bosa będzie i biedna. Następnie trzeba ją w wyobraźni zwielokrotnić, co drugi raz płeć zmieniając, po czym trzeba całą tak powstałą grupę bosych i biednych przenieść w wyobraźni znad Gopła czasów baśniowych – wprost na równiny południowej części USA w dobie niewolnictwa. A na końcu należy w wyobraźni zasadzić wokół bosej i biednej grupy – krzewy bawełniane bądź las cukrowej trzciny, a najlepiej to i to. I wtedy zobaczyć trzeba wyraźnie, zobaczyć i usłyszeć w wyobraźni, jak bosi i biedni, skuci rdzewiejącymi łańcuchami, resztkami sił wycinający cukrową trzcinę bądź zrywający z krzewów bawełnianych białe nieważkie motki – mruczą cicho song gospel, song o przyszłej wolności w imię Boga... Amen...

Wtorek
Jak teraz widzę, przegrzebując pamięć, jednak nie byłem zbyt odkrywczy w niedzielę. Byłem trochę wtórny. Otóż kilka lat temu, w któ-

Swoją nowoorleańską interpretacją Goplany w *Balladynie* Słowackiego Paweł Świątek dotknął szalenie aktualnego problemu polskiego – palącego problemu upadku poetyczności i magii nad Wisłą!!!

DOSTAWKA

rymś teatrze na Podkarpaciu inny z licznego grona awangardowych reżyserów teatralnych najmłodszego pokolenia wystawił *Dziady*. Można to było obejrzeć też w telewizji. Gdy wybrzmiewały słowa Mickiewicza o kibitkach uwożących dzielnych Polaków-bohaterów na Wschód, by tam słuch o nich wszelki zaginął, na scenie zjawiała się, jako ilustracja, a także pogłębienie słów wieszcza, grupa bosych i biednych Murzynów oraz Murzynek... Nie inaczej – grupa bosych i biednych Murzynów i Murzynek resztkami sił wlokących się ku polom bawełnianym, ku morderczym lasom cukrowej trzciny... Amen...

Tak właśnie było. Tak w teatrze na Podkarpaciu polski reżyser awangardowy przerzucał nad Atlantykiem kładkę pomiędzy epokami i kontynentami. Tak dzielnie i wzruszająco zlepiał bolesny los miłośników gospel z bolesnym losem miłośników *Bogurodzicy*. Owszem więc, kilka lat temu było na Podkarpaciu podobnie jak dziś u Świątka, tylko że Świątek jest jednak subtelniejszy. U Świątka nie ma na scenie grupowego cierpienia bosych i biednych Murzynów i Murzynek w dobie niewolnictwa. U Świątka trzeba to sobie dopowiedzieć – więc dopowiedziałem to sobie.

Środa

Zainspirowany widokiem czarnej emerytowanej sopranistki chóru gospel na spacerze w lasach nad Gopłem słowo po słowie wymalowałem w mózgu wstrząsający obraz cierpienia na polu bawełnianym bądź trzcinowym nad Missisipi, tuż za obrazem zaś objawił się głęboki sens sprowadzenia przez Świątka nad Gopło czarnej emerytowanej sopranistki. Otóż chodzi o to, że w dzisiejszych naszych czasach tabletowo-komórkowo-internetowo-ipodowych cudowna polska magia cierpi tak potwornie, jak potwornie cierpieli Murzyni w Ameryce epoki niewolnictwa!!! Technokratyczny, płaski cynizm, a nawet cwaniactwo, zwłaszcza w najmłodszym pokoleniu się szerzące, dokumentnie dławi, tłamsi, w niebyt wciska stare polskie uwielbienie romantycznego czarodziejstwa!!! Odwieczny gen nadwiślańskiej bajkowości – bezpowrotnie marnieje!!! Goplana, kiedyś – o, ironio Słowackiego! – lekka niczym biały puch na krzakach bawełnianych, dziś nie ma w sercu nadziei żadnej, jak nie mieli jej pradziadowie czarnej sopranistki, u Świątka tak bardzo umordowanej przyciąganiem ziemskim i nago człapiącej polskimi leśnymi ścieżynami...!!! Oto swoją nowoorleańską interpretacją Goplany w *Balladynie* Słowackiego Świątek dotknął szalenie aktualnego problemu polskiego – palącego problemu upadku poetyczności i magii nad Wisłą!!!

Piątek

I tak można w *Balladynie* Świątka uporać się z każdym widokiem, a dzieło to składa się właściwie wyłącznie z widoków, które koniecznie trzeba w wyobraźni rozwinąć. Pustelnik ogląda oto w kinie pod gołym niebem legendarny, kultowy amerykański film *Casablanca*, chrupiąc popkorn z monstrualnego tekturowego kubła. Kostryn śpiewa sobie jeden z przebojów Stinga, nawet ładnie. Wdowa niewątpliwie jest wieloletnią szefową meliny, za Gierka pokątnie handlującą gorzałką pochodzącą ze źródła zawsze niewiadomego. Skierka i Chochlik zaś śmiało mogliby wprost ze sceny w Małopolskim Ogrodzie Sztuki wejść na scenę jednego z tych uroczo pieprznych lokali, do których czarna emerytowana sopranistka i Grabka w obuwiu nie do pary wchodziłyby bez biletów wstępu, trzymając się czule za ręce. Oczywiście, jeśli Grabka pozytywnie odpowiedziałaby na sceniczne wyznanie miłosne czarnej emerytowanej sopranistki.

Na *Balladynie* Świątka wystarczy po prostu zgłupieć, o co łatwo, i raźno bredzić pod nosem, o co jeszcze łatwiej – a bez problemu dochodzi się do wszystkiego. Absolutnie do każdej refleksji w absolutnie dowolnej sprawie świata tego. Tak pojemne jest to nieporozumienie.

Sobota

Słowem, do jakichże cudowności, do jakich głębi, do jak przepastnych sensów można dojść, wychodząc z opowieścią od każdego z wymienionych widoków?! A podobnych jest u Świątka jeszcze ze czterdzieści...! Strach liczyć. Na *Balladynie* Świątka wystarczy po prostu zgłupieć, o co łatwo, i raźno bredzić pod nosem, o co jeszcze łatwiej – a bez problemu dochodzi się do wszystkiego. Absolutnie do każdej refleksji w absolutnie dowolnej sprawie świata tego. Tak pojemne jest to nieporozumienie.

Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Pokazywać język za plecami

Rozmawiał Janusz M. Paluch **Zdjęcie:** Krzysztof Lis

Krzysztof A. Zajas: Od czasu, kiedy sam zmagam się materią powieści, inaczej czytam literaturę, mam inny stosunek do interpretacji, do teorii literackiej.

Kim jest profesor Krzysztof Zajas?
Pracownikiem naukowym Katedry Kultury Literackiej Pogranicza na Wydziale Polonistyki UJ. Większość mojego dorobku naukowego związana jest z kulturą pogranicza rozumianego bardzo szeroko – jako opowieść o pewnych zjawiskach geograficznych, ale przede wszystkim etnicznych i mentalnościowych życia na pograniczu. Dotyczy to głównie dawnych wschodnich terenów Rzeczypospolitej – kresów, gdzie mamy do czynienia z polskością definiowaną według modeli katolicko-narodowych, a z drugiej strony z polskością, która wciąż spotyka się z innością rozumianą w bliski, bezpośredni, namacalny sposób. I w tym sensie badania pograniczne są bardzo intrygujące, bo tam wciąż istnieją zjawiska związane z naszą kulturą, tradycją, tożsamością wspólnotową, które inaczej definiują polskość. Tam stwierdzenie: „Jestem Polakiem" od razu wiąże się z wyzwaniami historycznymi, kulturowymi, a także wyznaniowymi... Jestem też autorem popularnych książek – kryminałów czy horrorów o wątku sensacyjnym.

Przez kilkadziesiąt lat myślałem, że wiem o literaturze prawie wszystko, bo czytałem dużo tekstów literackich i rozpraw naukowych na temat literatury. Kiedy zacząłem pisać, musiałem wiele swych naukowych przekonań zweryfikować.

Praca naukowa już nie satysfakcjonuje Pana Profesora?
Satysfakcja kojarzy mi się zawsze z zakończeniem, domknięciem pracy czy działalności. Jak ktoś jest usatysfakcjonowany, to osiągnął sukces. Co wtedy miałbym dalej robić? Ani na niwie nauki, ani w swej działalności literackiej końca nie dostrzegam. Wręcz przeciwnie, wciąż mam plany na przyszłość! Zresztą, jak mógłbym mówić o pełnej satysfakcji, gdy wykreowałem paralelny, alternatywny świat literatury dla czytelników, ale i dla samego siebie, który wciąż pozostaje nieopowiedziany? W mojej pracy jest pewna dwoistość. Profesor kusi, żeby go tak po gombrowiczowsku nakłuć, pokazać mu drugą stronę świata, skonfrontować go z kimś innym w sobie. Z jednej strony patos nauki, a z drugiej banalna historyjka, która przecież nie wiadomo w jakim stopniu jest prawdziwa, a w jakim jest moim wymysłem...

Doktor Jekyl i mister Hyde... Pan Profesor i pan Pisarz...?
Jeden drugiemu robi fintę albo pokazuje język za plecami... [śmiech]. Własne doświadczenie wprowadza w działalność naukową i dydaktyczną inny czynnik opisowy. Z teoretyzowaniem na temat literatury też jest już inaczej. Z jednej strony jestem ostrożniejszy, z drugiej – lepiej rozumiem pewne konstrukcje teoretyczne związane z tekstem literackim. Przez kilkadziesiąt lat myślałem, że wiem o literaturze prawie wszystko, bo czytałem dużo tekstów literackich i rozpraw naukowych na temat literatury. Kiedy zacząłem pisać, musiałem wiele swych naukowych przekonań zweryfikować. Jako pisarz zdobyłem bowiem jeszcze inną wiedzę na temat literatury. Wiedzę, która być może jest najważniejsza. Dowiedziałem się, z czym zmaga się autor wykreowanego przez siebie świata, dobrze skonstruowanego wersu, dobrze napisanej sceny, dobrze zarysowanej postaci, charakteru psychologicznego. To jest wiedza bardzo pouczająca dla profesora, który na chwilę sam staje się pisarzem. Warto w tym miejscu wskazać też inne ciekawe, zupełnie nowe doświadczenie – zetknięcie z czytelnikami. Wymyślam postać, daję jej imię po to, żeby opowiadana historia toczyła się dalej, zbytnio się do niej nie przywiązując. Potem okazuje się, że czytelnicy traktują ją o wiele poważniej niż ja. Wręcz realistycznie! Przejmują się losem Lucka Bałysia. Chciałem go zabić w drugim tomie *Trylogii pomorskiej* zatytułowanym *Skowyt nocy*, ale pewna miła, acz energiczna pani profesor powiedziała, żebym nawet o tym nie myślał. Zagroziła wręcz, że jeśli zrobię krzywdę Luckowi, nie będzie mi to darowane i ona zbierze cały komput dam, które uwielbiają Lucka, i ruszą na mnie z manifestacją... [śmiech]. Czytelniczki nie lubią Andrzeja Krzyckiego, bo skrzywdził swą kobietę, litują się nad różnymi bohaterami książek... To znaczy, że ten świat i postaci nabierają życia i samodzielności, a to przecież jest wyłącznie wymysł mojej fantazji! Literatura nie jest zabawą, jest czymś poważnym, nawet w swoich najbardziej niepoważnych przejawach.

Porusza pan w swoich książkach – *Trylogia grobiańska* (*Ludzie w nienawiści*, *Mroczny krąg*, *Z otchłani*), *Oszpicyn* czy teraz w *Trylogii pomorskiej* (*Wiatraki*, *Skowyt nocy*) – tematy bardzo ważne. Chowa je pan jednak za parawanem wątku kryminalnego. Czy nie lepiej byłoby pisać o Oświęcimiu bez tego parawanu horroru? *Trylogia pomorska* dotyka z kolei bolesnych i dramatycznych wydarzeń powojennych między autochtonami a osadnikami na Pomorzu Środkowym...
Ten parawan jest dla mnie wyzwaniem. Historie ważne, wśród których przecież żyjemy, dominujące w literaturze faktograficznej, zakorzenione w wiedzy historycznej, w archiwach – są innego typu literaturą niż powieść popularna. Ta wykorzystuje elementy rzeczywistości do opowiedzenia historii konwencjonalnej w sposób dosyć dowolny. Kryminał jest dla mnie najciekawszy tam, gdzie opowiada coś więcej niż tylko historię sensacyjną. Gdzie za pomocą metafory dotyka nas wszystkich. Innym elementem tego wyzwania jest próba zajęcia uwagi tak zwanego odbiorcy masowego czymś trochę poważniejszym niż bierna konsumpcja kryminału czy horroru. Przecież odbiorca jest zróżnicowany. Jednym potrzebny jest popcorn literacki, by się czymś zapychać i zapełniać wolny czas, inni wymagają jednak pewnych intelektualnych wartości przy lekturze. I tym próbuję za pomocą popularnej konwencji opowiedzieć coś poważnego, prawdziwego, co będzie zachęcało do myślenia o własnej historii, własnej tożsamości.

Pan się nie boi swoich bohaterów?
Trochę się boję... Niektórych na pewno! W kryminale czy horrorze, jeśli ma przemawiać do czytelnika, musi się pojawiać autentyczne zło będące motorem działania postaci. Żeby było autentyczne, musisz poszukać go w sobie. Wejść w tę postać. Moja żona, pierwsza czytelniczka napisanych przeze mnie kryminałów, nie ukrywała zdumienia, że ja, spokojny, ustabilizowany zawodowo i stateczny pod względem wieku profesor UJ, stworzyłem kryminał pełen zbrodni i brutalności, a nawet wulgarności! – Wiesz, nie wiedziałam, że w tobie coś takiego siedzi! – powiedziała. Ale ja też tego nie wiedziałem... Kiedy piszę książkę, zawsze coś zmienia się w mojej relacji ze światem, trudno określić, na lepsze czy na gorsze. Staję się wtedy bezwzględniejszy, bardziej okrutny wobec innych i siebie. Ale przecież tak powinno być! Okrucieństwo jest ważnym składnikiem współczesnego kryminału! I nie chodzi tylko o epatowanie czytelnika krwią i znęcaniem się nad ludzkim ciałem, a o okrucieństwo jako intencję, która tkwi w człowieku. Pisanie powieści kryminalnych otwarło mi nowe drzwi do zrozumienia siebie, spojrzenia na siebie jako na *principium individuationis*, które powinno być mną, a jest jednak, jak się okazało, jeszcze kimś innym. Ciekawe doświadczenie, którego nie umiem do końca opisać...

Zło w pana książkach jest zaskakujące, tam przecież nie ma dobrych ludzi! Nawet bohaterowie pozytywni są uwikłani w zło, którego źródło – mimo upływu czasu – jest wciąż aktywne...
Jest jeszcze gorzej! Pojawiające się w powieści postaci pozytywne, ciepłe i sympatyczne niemal natychmiast zabijam... Może się to wydawać dziwne, jednak jakoś dla mnie jako autora nieuchronne. Konieczne. Jest to część mojego zamysłu. Na przykład sympatyczny, młody policjant Paweł Palka gubi czujność policyjną i zostaje brutalnie zamordowany w połowie pierwszej części *Trylogii pomorskiej*. Albo biedny, upośledzony Maciuś Ploh, który jest przecież zupełnie niewinny, choć wplątany w opisywaną historię, też ginie w sposób głupi i absurdalny. Pokręcone te moje intencje...

To jest okrucieństwo!
To jest okrucieństwo... Być może zemsta poetyckiej i sentymentalnej duszy na świecie, który jest dla niej zbyt okrutny? Który nie jest taki, jaki miał być? Nie tego spodziewał się ten zawsze wzruszony, rozpoetyzowany licealista, jakim kiedyś byłem. Henning Mankell, autor bardzo cenionych kryminałów, powiedział kiedyś: „Piszę, kiedy mnie coś wkurza". Zrozumiałem, że to jest właściwa ścieżka do tworzenia kryminałów. Mnie wciąż coś wkurza! Wystarczy, że wsiądę do samochodu i wracam zakopianką do domu. Ten jedzie za szybko, tamten zajeżdża drogę, tu ktoś na mnie trąbi... I od razu przychodzi niechęć, a zaraz za nią agresja i inne brzydkie odruchy... Literatura posiada taką funkcję, która kanalizuje nasze negatywne emocje. Przy pisaniu mogę się zemścić na tych, którzy mnie wkurzają. Zresztą kilka razy to zrobiłem! [śmiech]

Chce Pan powiedzieć, że jedni w takich przypadkach zatrzymują samochód i sprawiają łomot, a inni piszą kryminały...?
Jeśli już mordować, to chyba lepiej w książce niż w rzeczywistości?

Janusz M. Paluch – jest krytykiem i animatorem kultury (m.in. współinicjatorem Nagrody Krakowska Książka Miesiąca oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia Leopolis").

Asmodeusz

Tekst: Krzysztof A. Zajas

Spod zaciśniętych powiek wypełzały maleńkie przeźroczyste robaczki i rozłaziły się po ławce. Spychała je mokrą dłonią na ziemię, żeby zrobić miejsce dla następnych. Wyłaziły i wyłaziły, nie chciały przestać. To było nawet przyjemne, kiedy tak łaskotały jej oczy i policzki. Gdyby nie one, nie wytrzymałaby ciśnienia rozpaczy i bezsilności, które rozsadzało ją od środka jak para kocioł. Wszystko skończone. Przepadło. Nie miało sensu, ale i tak przepadło. Chciała umrzeć. Skinieniem mokrej dłoni przywołać wyniosłą staruchę z kosą i powiedzieć jej: „Zabierz mnie stąd". Włożyła dłonie między uda, gdzie pulsował ból po chamskim uścisku Kamila, i skuliła się. Twarda deska osiedlowej ławki ugniatała jej skroń, ale to też było przyjemne. Niech boli. Niech wszystko boli, cierpi, aż się rozpadnie. *I'm going under, I'm dying again*, zagrał jej w uszach płaczliwy krzyk Amy Lee.

Gorszy od rozpaczy i bezsilności był wstyd. Dała się ponieść wściekłości, i po co? Żeby przeżyć kompromitację, ledwie uniknąć gwałtu i przy tym wszystkim się zdemaskować? A co, jeśli morderca jej ojca wróci i zechce dokończyć robotę? A potem nawet jej nie zabije, tylko porzuci w krzakach jak podartą kołdrę po menelu z noclegowni? Jeśli można było sobie wyobrazić bardziej gówniane położenie, to jej wyobraźnia nie sięgała takich wyżyn. Jaki piękny *collapse*, niech to szlag. *I'm going under*.

Tak, było jej wstyd przed tatą. Nie żył, jego zmielone przez miętowego debila ciało od miesiąca gniło pod ziemią, ale jego uśmiech jaśniał jej przed oczyma jak, jak... jak święty obrazek. „Nic nie przedsiębrać, Boginko". Miałeś rację, papciu. Wybacz.

(...)

Mokre, przeźroczyste robaczki wyłaziły coraz rzadziej. Ogarniała ją błoga senność. Powinna wstać, inaczej zaraz zwiną ją jakieś bagiety albo, co gorsza, wróci tamten debil i dokończy robotę. Koniec. Pieprzony wymarzony koniec. Gdzie jesteś wyniosła damo, gdzie twoja zacna kosa?

Z najwyższym trudem uniosła głowę i otwarła oczy. Przed nią stał siwowłosy staruch i krytycznie mierzył ją spojrzeniem spod oka. Drugie oko zakrywała błoniasta powieka, jak u ropuchy.

– Nie potrzebujesz pomocy, dziecko?

Głos również brzmiał jak skrzek ropuchy. Właściwie cały wyglądał jak ropucha, w burozielonym ubraniu, jakby przed chwilą wylazł ze stawu.

– Nie.

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę.

– Coś mi się wydaje, że tak.

Przetarła dłońmi twarz. Dobrze, że dziadek nie był lustrem. Zobaczyłaby w nim swój tusz do rzęs rozmazany po policzkach jak bojowy kamuflaż bezlitosnych zabójczyń ze sprzysiężenia Głupich Siusiek, do którego właśnie wstąpiła. Boszsz, jaka z niej idiotka.

– Spierdalaj, dziadziu, nie mam drobnych.

– Masz za to co innego – odpowiedział z chytrym uśmiechem.

Przyjrzała mu się uważniej. Długie siwe włosy otaczały gładko ogoloną twarz, nasmarowaną jakimś odżywczym kremem. Szarozielone ubranie składało się z dobrze skrojonej marynarki o głębokich kieszeniach, kamizelki z łańcuszkiem przy maleńkiej kieszonce oraz obcisłych spodni. Gdyby na głowie miał cylinder, pomyślała nagle, wyglądałby jak złowrogi dżentelmen z angielskiej powieści. Już nie był dziadem.

– Szukasz łatwej dupy, to idź gdzie indziej.

– Łatwe dupy są dla prostaków. Mnie interesują trudniejsze zadania.

– Niech zgadnę: porywasz dziewice, wykrawasz im serca i pieczesz na ogniu w głębi lasu. Zapewniają ci nieśmiertelność, bo wyglądasz świetnie, najwyżej na dwieście lat.

– Nie wnikam w twoje doświadczenia seksualne, natomiast reszta z grubsza się zgadza. Poza wiekiem. Ten możesz spokojnie pomnożyć przez dziesięć.

(...) Nagle poczuła całą beznadziejną absurdalność swojego położenia. Siedziała w Nowej Hucie na ławce przed galerią handlową, pobita i upokorzona, a obleśny staruch w ubraniu z Dickensa zaczepiał ją jak uliczną dziwkę. A dokoła huk wojskowych pojazdów. Co za gówno. Co za wielkie, pieprzone, zdradliwe gówno! Przeźroczyste robaczki znowu podpełzły pod powieki.

– Chciałabyś mu skopać tyłek, co? – spytał mężczyzna w zielonym garniturze, gdy kolumna wojskowa przejechała i zrobiło się znowu cicho. Podniosła na niego zdziwione oczy. Znowu ktoś wie coś, czego nie powinien wiedzieć. Dzień zwycięzców teleturnieju. Temat przewodni: życie i dzieło zabójczyni ze sprzysiężenia Głupich Siusiek.

– Tak.

– Ale nie wiesz, jak to zrobić, bo jesteś słabą, opuszczoną dziewczyną, której nikt nie chce pomóc, prawda?

W tym momencie zaćwierkała jej komórka. Jula.

– Słuchaj, gadałam właśnie z Mateuszem. Wiesz, co powiedział? Zgadniiij!

Miała ochotę walnąć komórką w chodnik, ale przed nią stał zielony staruch.

– Sorry, jestem... trochę zajęta.

– Powiedział – piszczała niezrażona Jula – że mnie zaprasza na studniówkę! Łapiesz, Bodzia? Na studniówkę! Z nim! Łał!

Bez słowa rozłączyła się i otarła twarz w rękaw kurtki.

– Jestem głupią smarkulą, która lubi samotność. Niech pan już idzie.

Przyglądał się jej spod długich i wywiniętych jak markizy w paryskiej kawiarni rzęs. Kolejny konkurs: ukradkowe ocieranie łez. Przewodniczący jury nazywa się Ebenezer Scrooge. Prychnęła i malowniczo pociągnęła nosem, manifestując swoją smarkatość. Niech mają. Pięć punktów za bezceremonialność.

– Nikt ci nie pomoże – powiedział. Jego głos przestał skrzeczeć i stał się przyjemnie głęboki. Nie wyglądał już na starucha, był po prostu wysokim i chudym facetem z siwymi włosami. – Ciebie dla nich już nie ma.

– Chyba odwrotnie. Chciałeś powiedzieć: ich już nie ma dla mnie. A tak w ogóle, to nie twój biznes, dziadziu. Bądź łaskaw i wyparuj, okej?

Nie tylko nie wyparował, ale najbezczelniej w świecie przysiadł na ławce i z niewzruszonym uśmiechem wpatrywał się w zapłakaną twarz Bogny.

– Samotni ludzie, którzy myślą o śmierci – odparł miękko – to dokładnie mój biznes. A zrozpaczone i wściekłe dziewczyny w szczególności.

– O co biega, białowłosy? Jesteś emerytowanym gwałcicielem? Bezzębnym wampirem? Seryjnym mordercą po czterdziestu latach odsiadki?

– Gorzej. Jestem diabłem.

– Taa. A ja Maryją Dziewicą. Wal się, zboku.

Podniósł się z ławki i z nieodmiennie łagodnym uśmiechem powiedział:

– Chodź, pokażę ci coś.

Ruszył w kierunku supermarketu nie oglądając się na nią, jakby był pewien, że pójdzie za nim. Nie miała zamiaru. Chciała stąd jak najszybciej odejść, wynieść się do domu albo gdzieś dalej, może nawet do Krynicy, do doktora Szubera, który obiecał jej pokój w sanatorium, kiedy tylko sobie zażyczy. Albo do stadniny pod Siewierz. Zamknie się z końmi w stajni i niech cały świat się idzie pieprzyć. Albo wyjedzie do...

– Chodźże wreszcie.

Zrezygnowana wstała z ławki i zmuszając się do zginania odrętwiałych nóg, ruszyła za nim. Sporo wysiłku kosztowało ją utrzymanie równowagi. W oczach nowohuckich emerytów z pewnością wyglądała jak zaćpana siksa z patolskiej rodziny. „Gdzie są służby porządkowe! Dlaczego nikt ich nie wychowuje? Gdzie są rodzice?" – krzyczeli w jej głowie i nagle zaczęła się głośno śmiać. Nie ma rodziców! Nie ma służb porządkowych! Cały świat poszedł się pieprzyć w krzakach pod płotem. Został wam tylko staruch w szarozielonym surducie, więc podążajcie za nim aż do czeluści piekielnych, bo jak sam powiedział, jest diabłem. Diabeł na Czyżynach! Kroczcie śmiało w szklane, automatyczne wrota piekieł, gdzie czekają szybkie i tanie iluzje ziemskich rozkoszy na promocji, po trzy w cenie dwóch. A jak wam mało, w sklepie zoologicznym Yokama można dokupić węże, plus węże jaja gratis. Kładziesz jajo do dziecięcego łóżeczka, nakrywasz poduszką i ogrzewasz tyłkiem, aż wykluje się maleńki wężyk, wężyczek tyciuteńki, który zwinnie wśliźnie się w rozgrzaną dupkę. A kiedy dorośniesz, wyjdzie ci przez te słodkie, roześmiane, miętowe usteczka, którymi całujesz mamusię i tatusia na dobranoc i w które potem wpychasz ociekające majonezem hamburgery. Aż ci się z nosa zrobi ryjek!

Zatoczyła się ze śmiechu, ale jej przewodnik nie reagował. Kroczył przed siebie, pewny jej obecności za plecami, opiętymi zielonym surdutem...

Fragment powieści o dziwnym krakowskim diable, który pomaga zagubionej dziewczynie w pozbieraniu się po śmierci ojca. Mieszanina kryminału, horroru i powieści fantasy, z polską historią w tle. Czyli to, co Zajas lubi najbardziej. Planowany druk w 2021 roku.

Krzysztof A. Zajas (rocznik 1962) – literaturoznawca, kulturoznawca, tłumacz, profesor polonistyki na UJ, autor kilku powieści kryminalnych: *Trylogii grobiańskiej* (*Ludzie w nienawiści*, 2014; *Mroczny krąg*, 2015; *Z otchłani*, 2016), oraz dwóch tomów *Trylogii pomorskiej*: *Wiatraki* (2018, nagroda Krakowskiej Książki Miesiąca – maj 2019) i *Skowyt nocy* (2020) oraz thrillera *Oszpicyn* (2017), który znalazł się w finale Nagrody Wielkiego Kalibru w 2018 roku.

Na portalu smakksiazki.pl publikuje powieść w odcinkach zatytułowaną *Audiobook*.

KAMERA NA KRAKÓW

Bajka o skarbie w Krakowie

Tekst: Maria Malatyńska **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Kraków szczycił się Hasem. Uważał go za swój skarb filmowy, za dowód na to, że może być miastem filmowym.

Dawno, dawno temu... – tak zaczynają się wszystkie bajki i tak musi się zacząć ta opowieść. Bo właśnie minęło równo 100 lat od pojawienia się, kto wie, czy nie najważniejszego filmu w historii światowej kinematografii?

Ten film to *Gabinet doktora Caligari* Roberta Wiene. Do dziś ma on swoją piękną historię i jeszcze większą legendę. Historia jest pełna zasług, głównie artystycznych. Był pierwszym obrazem, od którego rozpoczął się niemiecki ekspresjonizm. Arcydzielny kierunek, czerpiący ze wszystkich sztuk naraz: z malarstwa i grafiki przede wszystkim, ale także z poezji, z ówczesnych nauk psychologicznych i filozoficznych, ze świadomie pomyślanej sztuki aktorskiej, który stworzył na ekranie świat ludzkiego strachu, zagrożenia, niepewności każdego kroku i niewiadomego Losu. Właśnie ten strach stał się największym nośnikiem legendy, gdyż trochę baśniowa moc całej opowieści sprawdzała się w każdym czasie i w każdym rodzaju ludzkiego strachu: metafizycznym, mentalnym, społecznym, a nawet politycznym.

O tym autorze najbardziej dekoracyjnych i poetyckich dzieł ekranowych, na czele z filmowym *Rękopisem znalezionym w Saragossie* i z magicznym *Sanatorium pod Klepsydrą*, z *Pętlą* i *Lalką*, warto pamiętać niezależnie od rocznic. Bo zawsze był oryginalny, bo pozostał niepowtarzalny, bo niezmiennie był niezależny od polskich mód, od polskich kompleksów, a także, w dużej mierze, od polityki i historii.

W swojej wyrazistej formie plastycznej *Gabinet doktora Caligari* był pierwszy i niepowtarzalny. Mocno podporządkowany ówczesnym osiągnięciom malarskim, czerpiący w obrazie filmowym z bardzo indywidualnego spojrzenia ówczesnych europejskich awangardystów plastyki, rewolucyjny w łamaniu zasad perspektywy obrazu graficznego, w usztucznieniu każdego ujęcia, w wizji świata w krzywym zwierciadle, stworzył idealny symbol nieprzerwanych zagrożeń. Ale równocześnie plastyczna sztuczność ujęć tworzyła dystans w stosunku do bezpośredniej treści obrazu, dając mu szanse funkcjonowania jako symbol konfliktu jednostka–świat. Późniejsze tytuły, choć też ekspresjonistyczne, realizowane przez innych niemieckich twórców, które interpretację i klimat zagrożenia miały podobne, w obrazie filmowym korzystały już z dokumentalnego kształtu otoczenia, który tak był dobierany, że też był zwielokrotnieniem form potęgujących uczucie niepewności, ale już podstawę miał realną. Schody, ciemne korytarze, tajemnicze cienie snujące się nie wiadomo skąd, akcja – najczęściej dziejąca się w nocy, zagrożenie w każdym zaułku, ciemne, wąskie ulice z nachylonymi budynkami, jakby żyjącymi własnym życiem, zawsze przeciw jednostce – to wszystko stworzyło wielki kierunek filmowy, który stał się niewyczerpaną skarbnicą emocji pasujących do różnych czasów niepokoju. Wtedy interpretowany był także politycznie. Pisano o zagubieniu i niepewności niemieckiego społeczeństwa po pierwszej wojnie światowej, gdy upadły wszelkie autorytety, panował kryzys gospodarczy, bezrobocie, brakowało perspektyw i zaczął się strach przed władzą, która ma zapędy autorytarne. To złowrogi doktor Caligari, zlecający wszelkie zbrodnie bezwolnemu, śpiącemu somnambulikowi, stał się symbolem władzy, która pozostaje bezkarna. Później, gdy nadchodziły inne epoki i inne zagrożenia, ekspresjonizm nadal trwał jako symbol protestu wobec złej rzeczywistości. Ten kierunek filmowy był tak bogaty w formie, że, jak pokazała późniejsza historia kina, powstały z niego różne inne kierunki, także te popularne: amerykańskie filmy grozy, wszelkie horrory, nawet japońskie, filmy sensacyjne czy brytyjskie opowieści gotyckie.

Dlaczego jednak wspominam tu, w „Krakowie", o czymś tak odległym w czasie? Przecież nie tylko dlatego, że jubileusz tego filmu jest imponujący. Nawet nie tylko dlatego, że *Gabinet doktora Caligari* jest dziełem prawdziwie genialnym, i że wielbię jego plastyczną oryginalność oraz ładunek niewyczerpanych emocji. Ale także dlatego, że właśnie tu, w naszym mieście był i działał wielki twórca filmowy, który z filozofii ekspresjonizmu, z jego stylistyki, z jego obrazu uczynił swój bilet wstępu do zawodu reżyserskiego i punkt artystycznego odniesienia. Wziął go sobie jak swój znak, wpisał w niego swoją wrażliwość i swoją poetykę. Co bardziej zaskakujące, również swoją tematykę. Taka niespodziewana wspólnota „dziedziczenia" wydarzyła się chyba pierwszy i ostatni raz. Można więc przypuszczać, że i *genius loci* miał tu jakiś wpływ na tę sprawę?

To reżyser Wojciech Jerzy Has. Przez wiele lat nasz jedyny człowiek w kinematografii – bo krakowianin mieszkający tu przez lata, powracający często, już jako profesor, a potem długoletni rektor łódzkiej Filmówki, jakby chcąc za każdym razem, właśnie w Krakowie i z Krakowa zaczerpnąć nowych sił. Urodził się w kwietniu 1925 roku, niemal równocześnie z ekspresjonizmem, zmarł w roku 2000 w Łodzi, w czasie pełnienia rektorskiej funkcji w Filmówce.

Czy ktoś jeszcze pamięta, jak Kraków szczycił się Hasem? Jak uważał go za swój skarb filmowy, za rzeczywisty dowód na to, że nasze miasto może być miastem filmowym? Właśnie dlatego, że ma Hasa!

O tym autorze najbardziej dekoracyjnych i poetyckich dzieł ekranowych, na czele z *Rękopisem znalezionym w Saragossie* (z bajeczną Hiszpanią sfilmowaną w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej) i z magicznym *Sanatorium pod Klepsydrą* warto mówić i pisać niezależnie od rocznic. Bo zawsze był oryginalny, bo pozostał niepowtarzalny, bo niezmiennie był niezależny od polskich mód, od polskich kompleksów, a także, w dużej mierze, od polityki i historii, od romantyzmu i patriotyzmu. Tę niezależność widać w różnych filmach, które po sobie pozostawił. A jest autorem mnóstwa dzieł – od Pętli przez *Wspólny pokój* i *Pożegnania*, przez *Lalkę* do *Jak być kochaną* i *Szyfrów*. Specjalnie na końcu wymieniam te dwa najbardziej chyba krakowskie obrazy. Bo Wojciech Has, choć żył i tworzył w trzech miastach (także we Wrocławiu i w Łodzi), to najbardziej należał do Krakowa. Tu się

Kino Wojciecha Hasa zmieniało się razem z nim. Ale zawsze pozostawało kinem wielkiej plastyki.

nie tylko urodził, w dobrej, mieszczańskiej rodzinie, tu skończył studia na Akademii Sztuk Pięknych (wtedy, w czasie wojny nazywała się Kunstgewerbeschule), tu ukończył „prafilmówkę", czyli Filmowy Warsztat Młodych otwarty w 1945 roku przy ul. Józefitów 16 jako pierwsza w Polsce szkoła filmowa. Choć pierwsze jego miejsca pracy to warszawska wytwórnia filmów dokumentalnych i łódzka Oświatówka, to czasy wczesnych filmów fabularnych, lata największych osiągnięć i rozkwitu niepowtarzalnego stylu przypadały na okres krakowski.

Myślę o magicznym połączeniu wczesnego Hasa z ekspresjonizmem, gdy codziennie przechodzę obok dekoracyjnej tablicy z brązu: „W tym domu mieszkał...". Chodzi o krakowski blok przy ulicy Królewskiej. Dwie przecznice bliżej centrum, przy ulicy Józefitów, nieco mniejsza tablica informuje o obecności tam w 1945 roku mnóstwa późniejszych filmowców, także Hasa, w charakterze słuchaczy „prafilmówki" właśnie. I jeszcze jedna, Hasowska tablica jest pod samym Wawelem. Bo tam też mieszkał...

*

Ekspresjonizm jako bilet wstępu do twórczości filmowej? 30 lat później? Niemal bez uprzedzenia odbiorcy? Tak było. Do dziś można tego dowodzić, analizując pierwszy pełnometrażowy film Hasa. Jego rzeczywisty debiut, tę bardzo współczesną (1957 rok), właściwie obyczajową adaptację opowiadania z tomu *Pierwszy krok w chmurach* Marka Hłaski, czyli *Pętlę*. Ten obraz do dziś jest doskonałym studium jednego dnia z życia alkoholika, który nie potrafi wydobyć się z nałogu. Czarno-biały, stylistyką zdjęć i oświetleniem kadru (Mieczysław Jahoda) oddaje całą stronę emocjonalną dramatu. A jeśli doda się do tego scenografię, zagęszczającą obraz (Roman Wołyniec) i aktora (w niemal debiutanckiej roli na ekranie Gustaw Holoubek), to rzetelna podstawa dla ekspresjonistycznego kadru jest gotowa. Film ma wszystko to, co opowieść w stylistyce ekspresjonistycznej powinna mieć. Rzecz dzieje się nocą lub prawie nocą. Nawet szarzejące kadry uliczne nie mają światła. Nocny jest też krajobraz pokoju mieszkalnego, w którym bohater czeka, szczelnie otulony szarym płaszczem. Minimalna liczba sprzętów, kraty w oknach, krata wypełniająca drzwi wejściowe. Nawet wyjrzenie przez okno nie przynosi odprężenia, bo na wąskiej, wybrukowanej ulicy, otoczonej szarymi, trochę już sypiącymi się domami, z dumnie wypuszczonym z muru ulicznym zegarem, jest pusto. A w ciemności pokoju tylko od czasu do czasu uporczywie dzwoni telefon. To przed tym natrętnym dzwonkiem bohater ucieknie. Ale ulica też nie jest przyjazna. Znowu „ekspresjonistyczna": ciemne zaułki, dawni koledzy wyłaniający się z ciemności, ponura knajpa, bez jednego oświetlenia... Cała stylistyka *Pętli* jest, podobnie jak w ekspresjonistycznych filmach, obrazem wnętrza bohatera. Bo to już jest ten etap zmagania się z własnymi niepokojami, gdy trzeba stwierdzić za innym artystą ekspresjonizmu, że „demony czają się we wnętrzu człowieka". A przed tym nie można uciec, więc bohater musi przegrać.

*

Kino Wojciecha Hasa zmieniało się razem z nim. Ale zawsze pozostawało kinem wielkiej plastyki. Ekspresjonizmem będzie się posługiwał chyba zawsze. Nie będzie to poddanie się stylowi całkowicie jak w debiutanckim filmie. Ale elementy stylu, oświetlenie kadru, ciasnota korytarza czy wnętrza, które osacza bohatera, zagrają u niego jeszcze niejeden raz. Nie tylko w *Pożegnaniach* czy we *Wspólnym pokoju*, ale i w *Jak być kochaną*, a nawet w adaptacji czegoś tak bardzo klasycznego jak *Lalka*.

Uwrażliwienie na plastyczną awangardę będzie w sztuce Hasa bardzo widoczne. Także wtedy, gdy zacznie pracować z genialnym scenografem, też krakowianinem, Jerzym Skarżyńskim. Czyli niemal u początków, od *Wspólnego pokoju*. Wspaniały artysta, człowiek teatru, najbardziej frapujący „surrealista", autor przepysznych dekoracji i wielkiego malarstwa... zszedł do kina i zachwycił się nim całkowicie. Powiedział mi przed laty w wywiadzie, że „Has miał ten rodzaj wyobraźni, zresztą przecież sam był malarzem, że pisząc scenariusz, czy może raczej tworząc już scenopis, bardzo blisko chciał mieć przy sobie scenografa. Bardzo drobiazgowo wszystko opracowywał: rodzaj obiektywu, kąt obiektywu, ruch postaci, ruch przedmiotu, wszystko to, co potem miało się stać na wieki zapisane na taśmie". Ale w tym właśnie czasie, w sztuce Hasa stało się coś fascynującego: ekspresjonizm, wzmocniony surrealizmem, eksplodował takim bogactwem plastycznym, jakie dziś jest nie do osiągnięcia. Najlepszym tego przykładem są dwa arcydzieła zrealizowane przez Hasa i Skarżyńskiego: *Rękopis znaleziony w Saragossie* i *Sanatorium pod Klepsydrą*.

Dlaczego jednak do dziś jestem pewna, że te wielkie bogactwa plastyczne najlepiej wychodzą w Krakowie? Może to ówczesny klimat miasta skłaniał do szaleństw wyobraźni? Teraz coś tak olbrzymiego już by chyba nie mogło powstać. Nawet w Krakowie.

Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Dolina Bogów, reż. Lech Majewski

Tekst: Łukasz Maciejewski

Agnieszka Osiecka napisała kiedyś: „Szczęście to radość powtarzania (...) człowiek, który chodzi na brzeg codziennie i za każdym razem jest olśniony, to jest człowiek szczęśliwy”.

Myślę, że z kinem Lecha Majewskiego, również z jego najnowszym filmem *Doliną Bogów* jest właśnie tak jak z codziennym wychodzeniem na brzeg. Ktoś będzie olśniony, ktoś znudzony.

Pisanie, że kino Majewskiego nie jest dla wszystkich, to truizm. Co więcej, Lech Majewski tak wysoko stawia poprzeczkę odbiorczą, że niejeden widz po prostu nie będzie w stanie przyswoić tego wyzwania. I może właśnie w tym kryje się pierwsze zwycięstwo reżysera – w czasie kiedy wszyscy raczej obniżają poziom, starają się za wszelką cenę przypodobać, kokietują publiczność, Majewski podąża zupełnie inną drogą. Jego kolejne filmy, instalacje, filmowe eseje i wizualne rebusy są coraz bardziej introwertyczne, zamknięte na linearną, oczywistą interpretację. Majewski szuka widza olśnionego widokiem morza. Bo w tym widoku jest głębia, której nie da się wyjaśnić. Trzeba to poczuć.

Kiedy wszyscy raczej obniżają poziom, starają się za wszelką cenę przypodobać, kokietują publiczność, Majewski podąża inną drogą. Jego kolejne filmy są coraz bardziej introwertyczne, zamknięte na oczywistą interpretację. Majewski szuka widza olśnionego widokiem morza.

I o czucie przede wszystkim chodzi w *Dolinie Bogów*. O współodczuwanie. Od biedy można ten film opisać, streścić – że składa się z trzech równoległych wątków: pierwszy dotyczy plemiona Indian Navajo, drugi opowiada o najbogatszym człowieku na ziemi świeżo po rodzinnej tragedii, trzeci zaś to historia narratora tej historii Johna Ecasa (Josh Hartnett) – można to wszystko streszczać, ale właściwie po co? Znajoma opowiadała mi, że w trakcie oglądania filmu na festiwalu w Gdyni po pierwszych minutach zupełnej konfuzji przestała wymagać od siebie skupienia, nadążania za filozoficznym imperatywem, erudycją reżysera, natomiast dała się porwać obrazom, nie szukała właściwych znaczeń, pozwoliła wybrzmieć emocjom utajonym, prywatnym. Na koniec się rozpłakała. *Dolina Bogów* sprowokowała ją do łez. Dla kina Majewskiego to odbiór najpiękniejszy z możliwych: szansa na prawdziwe spotkanie bez cyrografu oczekiwań, że powinniśmy czemuś sprostać, nadążyć, zrozumieć.

Krytyk was usprawiedliwia, felietonista „Krakowa” również: niczego nie trzeba rozumieć, na pewno nie za wszelką cenę. Warto za to pozwolić ponieść się dźwiękom, obrazom, gmatwaninie myśli.

Punktem wyjścia tego zadziwiającego dzieła, dla którego określenie „film” wydaje się na swój sposób zubażające, jest mit hetycki o Ullikummi, rosnącej skale o ludzkich kształtach – Majewski wytropił ślady tego mitu również u Indian Navajo, a szukając głębiej, odnalazł je również we współczesności. Mitologia Indian u Majewskiego równoważy się z mitem bogactwa: grany przez Johna Malkovicha miliarder Wes Tauros odtwarza w swojej posiadłości renesansową Europę. Majewski we wspomnianym wątku odwołuje się oczywiście do *Obywatela Kane'a*, ale i w pozostałych odsłonach filmu daje się poznać jako w większym stopniu antropolog kultury, wizjoner niż sprawny inscenizator.

Scenariusz i reżyseria: Lech Majewski
Zdjęcia: Lech Majewski, Paweł Tybora
Scenografia: Christoper R. Demuri, Lech Majewski
Dekoracja wnętrz: Agata Adamus
Kostiumy: Ewa Kochańska, Ewa Minge, Carolyn Leone
Muzyka: Jan A. P. Kaczmarek
Dźwięk: Zbigniew Malecki, Lech Majewski
Montaż: Eliot Ems, Norbert Rudzik
Producent: Lech Majewski, Filip Rymsza
Dystrybucja: Galapagos Films

Obsada aktorska:
Josh Hartnett (John Ecas)
John Malkovich (Wes Tauros)
Bérénice Marlohe (Karen Kitson)
Keir Dullea (Ulim)
John Rhys-Davies (dr Hermann)

Keir Dullea, John Malkovich – ujęcie za wiedzą i zgodą dystrybutora w Polsce, Galapagos Films

Dolina Bogów pomimo międzynarodowych gwiazd w obsadzie nie jest bowiem filmem, który dawałby szanse aktorom na zbudowanie postaci, to raczej wizualny strumień świadomości artysty, dla którego metafora sama w sobie jest symbolem, zwłaszcza jeżeli uzyskuje dlań mocny filmowy ekwiwalent. A Majewski, od zawsze wyczulony na wizualną stronę swoich przedsięwzięć (jego renesansowa twórczość od początku układa się na granicy sztuk plastycznych, kina i literatury), nie szuka w kinie subtelności. W *Dolinie Bogów* porusza tematy oczywiste: czym jest tradycja wobec wieczności, fortuna wobec nieszczęścia, samotność wobec talentu.

„Sky is the limit” – tych słów użył Lech Majewski w związku z *Doliną Bogów*, kiedy w jednym z wywiadów mówił, że jego film stanowi traktat między dwoma mitologiami. Mitologia Indian, mitologia bogactwa, archetypy. Tylko niebo jest granicą.

Albo zachwyt brzegiem morza. Brzegiem Lecha Majewskiego.

Łukasz Maciejewski – wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii film, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

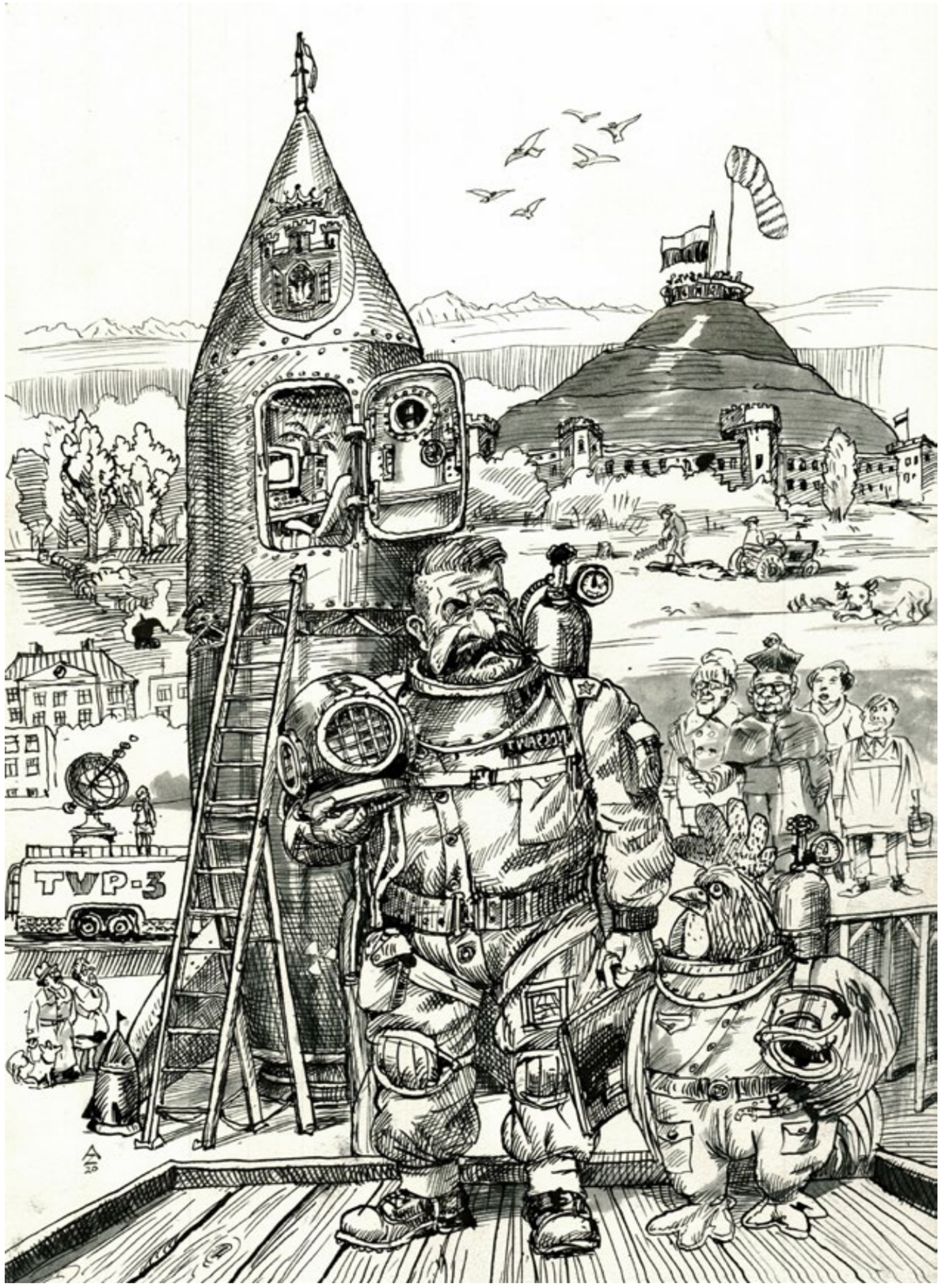

1 Kwietnia, czyli Twardowski, Polska w kosmosie, rys. Andrzej Zaręba

Biblijni bracia

Tekst: Mieczysław Czuma

Moja metryka jasno dowodzi, że nie dane mi było na własne oczy oglądać bajecznie kolorowego świata naszych starszych braci w wierze. Dziś fascynuje mnie za to wzajemne przenikanie się naszych światów, tak dalekich, a tak bliskich.

W dwudziestoleciu międzywojennym to oni królowali na szczytach polskiej literatury. Szczególnie w poezji. To wśród nich byli muzycy czy malarze odnotowywani w światowej ekstraklasie sztuki. I jeszcze całe zastępy wybitnych architektów, prawników, lekarzy. Wszyscy oni stanowili część naszej wspólnoty, choć z przekonaniem obstawali przy tradycjach swoich przodków.

Ale teraz pragnę wywołać z pamięci postacie szczególne. Tych, których życiowe wybory i postanowienia uznać można za niemal heroiczne. To ci, którzy szukając miejsca po naszej stronie, zdecydowali – nie bez dezaprobaty pobratymców – porzucić swoją biblijną tożsamość i przystać do katolików.

Rozpocznę od upamiętnionej przez Stanisława Wyspiańskiego w *Weselu* Racheli, córki bronowickiego karczmarza. Perel (Perła) Singer, nazywana po prostu Pepką, wychowywała się razem z dziećmi chłopskimi. Stąd jej przyjaźń z córkami Mikołajczyków (Anną, Marią i Jadwigą) i uczestnictwo w zabawie weselnej po ślubie Jadwigi z Lucjanem Rydlem. Przesiąknięta patriotycznymi wzlotami młodopolskich Bronowic przyrzekła Lucjanowi Rydlowi przed jego śmiercią, że zmieni wyznanie, gdy tylko Polska odzyska niepodległość. Weselny Pan Młody nie doczekał ani spełnienia ślubowania, ani wolnej od zaborców ojczyzny, zmarł w kwietniu 1918 roku. Rachela dotrzymała słowa i w październiku 1919 została ochrzczona w kościele Mariackim przez księdza Franciszka Burdę. Przyjmie imię Józefa, jakby z pogranicza dwu religii. W czasie okupacji nigdy nie założy opaski z gwiazdą Dawida. Zdzisław Mrożewski, urzędnik magistracki, przyszły wspaniały aktor, wyrobi jej kenkartę, za sprawą której Józefa Singer stanie się Eleonorą Jadwigą Gawlik.

Kolejną postacią mojego prywatnego wyliczania będzie Julian Aleksandrowicz. Filozof medycyny, lekarz, humanista, apostoł przesłania, że nie ma nieuleczalnie chorych. Zapamiętałem go jako niestrudzonego popularyzatora śladowych pierwiastków zdrowia i życia, to jest cynku i magnezu. Dawał temu wyraz na naszych łamach w czasach mojego bytowania w „Przekroju". Z okupacyjnego getta udało mu się zbiec kanałami wraz z żoną i sześcioletnim synkiem. Zasilił oddziały Armii Krajowej na terenie kielecko- radomskim, trafił do słynnego korpusu „Jodła". Organizował służbę sanitarną, brał udział w operacjach bojowych. Przed którąś z partyzanckich bitew przyrzekł swemu kapelanowi leśnemu, księdzu Stanisławowi Sikorskiemu, że się ochrzci. W niedzielne popołudnie 26 grudnia 1981 roku siedemdziesięciotrzyletni profesor przyjmuje chrzest w kościele św. Anny w Krakowie. Udziela mu go ksiądz Jan Baran, a chrzestnym jest major Jerzy Niemcewicz-Warecki „Kłos", dowódca oddziału AK z czasów bojów partyzanckich. Nabożeństwo odprawia ksiądz profesor Józef Tischner.

I jeszcze Pola Nirensztajn, a potem Pola Nireńska. Autorka nowatorskich projektów choreograficznych, jedna z najjaśniejszych gwiazd nowoczesnego tańca. Zrobiła to dla męża, Jana Karskiego. Wszyscy jej najbliżsi zginęli w Holokauście, a on był bohaterem czasów Zagłady. Parokrotnie przedostawał się do warszawskiego getta, w przebraniu ukraińskiego strażnika bywał na terenie obozów koncentracyjnych. Przedzierał się potem do Stanów Zjednoczonych i przedstawiał swój raport politykom (dotarł nawet do prezydenta Franklina Roosevelta), pisarzom, dziennikarzom, biskupom. Nie wierzono w jego relacje, skala opisywanego okrucieństwa była dla ludzi za oceanem nie do przyjęcia. Polę zobaczył na występie w waszyngtońskiej synagodze, od pierwszych chwil zakochał się do szaleństwa. Po kilkuletniej znajomości zdecydowali się (rok 1965) na małżeństwo. Ona wcześniej przyjęła chrzest. Potem lubiła powtarzać, że w katolicyzmie podoba jej się to, że Bóg wybrał Żydówkę na matkę swojego Syna.

Papież Jan Paweł II powiedział (rok 1986) w rzymskiej synagodze: „Jesteście naszymi starszymi braćmi. My wszyscy jesteśmy dziećmi Abrahama".

Perel Singer, prof. Julian Aleksandrowicz, Pola Nirensztajn – to postacie, których życiowe postanowienia uznać można za niemal heroiczne. To ci, którzy szukając miejsca po naszej stronie, zdecydowali – nie bez dezaprobaty pobratymców – porzucić swoją biblijną tożsamość i przystać do katolików.

Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Felieton z Drogi Mlecznej

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Skoro te felietony będą się teraz nazywać „Poza Krakowem", to zacznę od pewnej hiszpańskiej wyspy. Potem przejdę na Śląsk, zahaczę o Kraków i skończymy w Warszawie. Jak zawsze.

Kiedy w Polsce jeszcze pączkowała wiosna (i wirusy), pojechałam szukać lata do Hiszpanii. Ale nie Hiszpanii kontynentalnej, a na Teneryfę, magiczną wyspę, o której mówi się, że jest częścią zaginionej Atlantydy. Miałam szczęście, bo mogłam unikać turystów jak ognia (bo wirusy) i dotrzeć do miejsc, o których nie miałam pojęcia, że istnieją. I tak w towarzystwie hiszpańskich przyjaciół wspięłam się na wzgórza, aby zobaczyć niedostępne dla zwiedzających na co dzień największe obserwatorium słoneczne na świecie na Teide. Oczywiste w takich miejscach są pytania, czy jesteśmy we wszechświecie sami i mimo lekkiego wstydu musiałam je zadać. Zapewniono mnie, że na razie tak (ale wiadomo, wirusy). Obserwatorium rządzi Instytut Astrofizyki Wysp Kanaryjskich położony przy ulicy o wdzięcznej nazwie Droga Mleczna i bezcenny dla świata nauki. Odkryto tam, że Słońce bije, jak serce, co pięć minut!

Majewski robi filmy zupełnie nieoczywiste i wbrew logicznym przekazom, których domaga się komercyjne kino. Bo przecież sami nie jesteśmy logiczni.

Od razu pomyślałam o Lechu Majewskim. To było kilka lat temu, siedzieliśmy wtedy u niego w katowickim domu i rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób Śląsk przyciąga tylu znakomitych twórców sztuki, że mogą obok siebie mieszkać Kilar, Górecki, Majewski i inni? Pan Lech opowiadał mi wtedy długo o energii słonecznej, od której jesteśmy zależni niemal w 100 procentach. W Katowicach siedzimy nawet na gigantycznych jej pokładach, bo pod ziemią są zwęglone lasy. W tym można upatrywać jakiegoś niesamowitego oddziaływania na artystów, szczególnie muzyków. Czy gdyby dobrze poszukać w najlepszych orkiestrach na świecie, nie znaleźlibyśmy w każdej przynajmniej jednego absolwenta katowickiej uczelni?

Bardzo mi się ta teoria spodobała i została ze mną do tej pory, często też do niej wracam i rozmyślam, nie tylko pod kątem Śląska, ale i innych miejsc, w których jestem, żyję, pracuję. I próbuję coś kreować. Na Teide powiedzieli mi, że Słońce jest teraz bardzo ciche, żeby nie powiedzieć leniwe. Nie ma tam wielkich ruchów. Ale mogę przyjechać za pięć lat, pewnie będzie się coś działo. Oni są tam w stanie zobaczyć to na teleskopach, które przypominają z zewnątrz wielkie, białe bańki na mleko. Jaki wpływ ma na nas leniwe Słońce? Nie mogę przestać o tym myśleć!

W ostatnich dniach marca do kin wszedł nowy film Lecha Majewskiego. Grają John Malkovich, Josh Hartnett i dziewczyna Bonda – Bérénice Marlohe! Proszę nie przegapić *Doliny Bogów* nie tylko dlatego, że Lech Majewski jest chyba jedynym polskim reżyserem, który może zaprosić do współpracy taką obsadę i oni będą przeszczęśliwi, że mogą u niego zagrać.

Dolina Bogów jest zmysłowym wyścigiem natury i cywilizacji, nad którymi świeci leniwe dziś Słońce. Majewski robi filmy zupełnie nieoczywiste i wbrew logicznym przekazom, których domaga się komercyjne kino. Bo przecież sami nie jesteśmy logiczni. Dlatego chcemy te filmy przeżywać i dlatego zagraniczne gwiazdy tak chętnie biorą udział w tych produkcjach, choć, jak mówi sam Lech Majewski, stawki, które mogą za to dostać, są raczej jałmużną w porównaniu z ich standardowym wynagrodzeniem.

Majewskiego najwięksi aktorzy świata podziwiają jako reżysera, ale też malarza, twórcę sztuk wizualnych i poetę, którego droga inspiracji szła od katowickiego wydziału Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i łódzkiej Szkoły Filmowej po najlepsze galerie w wielu krajach globu. Muzeum Narodowe w Krakowie pokazywało jego prace na retrospektywnej wystawie w 2011 roku.

Stara się robić rzeczy, w które wierzy i które wynikają z jego niebanalnej osobowości. W tym szaleństwie jest metoda, bo świat zna Majewskiego chyba lepiej niż my. Ale zawsze można zacząć, na przykład, od jego najnowszej „baśni dla dorosłych" czyli *Doliny Bogów*. Polecam nie tylko seans. Warszawa, poza uroczystą premierą z udziałem gwiazd, będzie proponować też spotkania z reżyserem. Jeśli ktoś się zastanawia, czy warto i jak wypadnie się na takim spotkaniu w konfrontacji z umysłem, który tworzy tak wielowarstwowe, pełne metafor filmy, już odpowiadam. Lech Majewski mówi o swojej sztuce po ludzku. I wspaniale ją wyjaśnia, sypiąc anegdotami. Aż chce się pytać! Ja zapytam o leniwe Słońce, jak tylko będę mieć taką możliwość.

Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Keep smiling!

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Skoro koronawirus ma skończyć historię tego narodu, to trzeba wycisnąć z tych – być może ostatnich – tygodni znośnego życia jak najwięcej.

Nina siedziała w pracy i bezmyślnie przesuwała kliknięciem myszy kolejne strony z nieprzeczytanymi mailami. Było ich chyba z siedem tysięcy, większość z portali, w których pracodawcy szukają do swoich firm krzaków taniej siły roboczej na umowę śmieciową („Na takie powinien być osobny kubeł do segregacji odpadów" – myślała z przekąsem). W gazetach pisali, żeby często myć ręce, bo świat stał właśnie u progu zagłady, duszony i połykany przez pandemię koronawirusa. Nina, z natury hipochondryczka, codziennie mierzyła sobie temperaturę i uważnie wsłuchiwała się w sygnały, które płynęły z jej ciała. Poza chęcią na słodycze i seks nie działo się nic niepokojącego. Otworzyła mail, który zaadresowała do niej Akcja Demokracja. Wirtualni aktywiści dopominali się podpisania petycji w sprawie bojkotu Siemensa, który podobno wsparł budowę kopalni w Australii. W aktualnościach Weronika Paszewska informowała, że rezygnuje z funkcji dyrektorki tej szczytnej inicjatywy i przekazuje stery w nowe ręce. Nic dziwnego, że dała sobie spokój. Tylko idioci wierzą jeszcze w tym kraju w demokrację. Nina podpisała wszystkie możliwe petycje i gorliwe apele o dołączenie do walki z kryzysem klimatycznym. Teraz mogła wypić kawę z uczuciem błogiego spokoju, od scrollowania wystarczająco już bolały ją palce. Wyłączyła stronę dumna ze swojego brutalnego aktywizmu.

Nagle wszystkie polskie portale zaczęły się świecić na czerwono – Zielona Góra odnotowała właśnie pacjenta zero z koronawirusem, który pochodził z podkrośnieńskiej Cybinki i był z żoną w separacji, o czym z komediowym zacięciem mówiła dyrektorka sanepidu w Słubicach. Występ pani Jadwigi na konferencji poświęconej bezpieczeństwu obywateli podzielił Polaków. Pięć minut po swoim monologu, lepszym niż najlepsze amerykańskie stand-upy, straciła stanowisko. W tym samym czasie stała się hitem internetu i jej dobrego imienia zaczęli bronić wyznawcy Korwina, Żydzi i radykalne feministki. Pani Jadzia, zupełnie nie po chrześcijańsku, przypomniała Polakom, że warto żyć. A Słubice, do tej pory znane jedynie z występowania przy drogach tak zwanych czortów leśnych czy też tirówek, stały się symbolem nowego odrodzenia, wiary w witalność i to, że życie ziemskie to same rozkosze, a o śmierci nawet nie ma co wspominać. Nina wzięła sobie jej słowa do serca.

Skoro koronawirus ma skończyć historię tego narodu, którego Nina nieraz wstydziła się tak mocno, jakby ktoś wsadzał jej rozżarzonego gwoździa do ucha czy cewki moczowej, to trzeba wycisnąć z tych – być może ostatnich tygodni – znośnego życia jak najwięcej. Akurat w Forum Przestrzenie zaczęła się impreza firmy Adidas. Z głośników słychać było ostre rapsy o śmierci kapitalizmu, depresji i szukaniu swojego miejsca na blokowisku. Nina zamówiła drinka o nazwie Palm Beach i ruszyła w stronę bramek.

– Dobrze się bawisz? – usłyszała głos chłopaka, który wpatrywał się w nią spojrzeniem z lat 90. pomieszanym z działaniem kokainy. Nina poczuła, że właśnie trafia jej się okazja na wprowadzenie porad pani Jadzi ze Słubic w czyn – *keep smiling!* i uśmiechnęła się tak, jakby koronawirus zabił już dawno wszystkich, a na świecie została tylko ona i jej rozmówca.

– Masz jakiś śnieg? – zapytała.

– Mam! – odpowiedział chłopak i pociągnął ją w stronę korytarza, gdzie na samym końcu świeciły się odrapane, czerwone drzwi do nieczynnej szatni. Wyjął z kieszeni ajfona, posypał dwie kreski i wyciągnął złotą, metalową rurkę. Widać było, że to wytrawny kokainista i plastikowym słomkom albo zwijaniu banknotu o nominale 10 zł mówi stanowczo nie. Raz-dwa i Nina zapomniała o pandemii.

– Ile masz lat? – zapytała.

– A ty? – odpowiedział nowy znajomy. Nina zauważyła, że ma jedno oko niebieskie, a drugie brązowe.

– Słuchaj, Ziggy Stardust, ty mi powiedz, a wtedy ja powiem ci, czy mój pomysł, by razem pojechać do mnie, nie jest pedofilią.

– Ziggy co? – zapytał, a Nina wiedziała już, że granica może być cienka. – Mam 24 lata.

Szybka matematyka w głowie Niny dała wynik.

– Dobra, jedziemy do mnie. I wyobrażamy sobie, że to nasza ostatnia noc w życiu. Tylko pamiętaj, u mnie za dwie godziny zaczyna się w chacie kwarantanna – powiedziała Nina i zamówiła Ubera.

Słubice to jednak przeklęte miasto – pomyślała, gdy Stardust wieszał swoją zimową kurtkę na oparciu krzesła w sypialni.

Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie", „Tygodniku Powszechnym", portalu Onet.pl. i „Codzienniku Feministycznym". Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

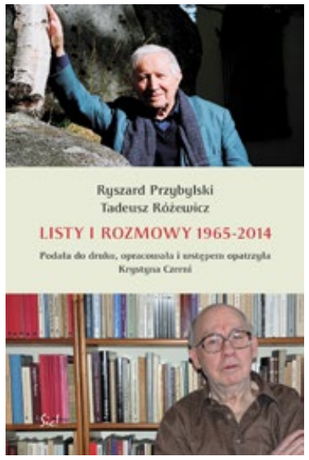

Mało kto wie, że Tadeusz Różewicz był nie tylko wybitnym poetą, prozaikiem i dramaturgiem, ale także spełniał się, i może najbardziej odkrywał, epistolograficznie. Korespondował głównie z przyjaciółmi z czasów młodości: Jerzym Nowosielskim, Mieczysławem Porębskim oraz Ryszardem Przybylskim. Jak zauważa Krystyna Czerni – krakowska krytyk sztuki, a w tym przypadku redaktorka wyboru korespondencji poety z Ryszardem Przybylskim – „pisanie listów staje się dla Różewicza rodzajem przymusu, nałogu". Rytuałem niezbędnym do życia. Komentuje w nich wiele spraw, nie tylko będących świadectwem czasu, ale i zwyczajnych, codziennych problemów, nie uciekając od kwestii kulinarnych czy zdrowotnych. Przybylski, krytyk, eseista, erudyta, był dla Różewicza równorzędnym, choć różnym od niego partnerem w wymianie myśli. Różewicz stał się jednym z najważniejszych bohaterów jego eseistyki, a nieskrywaną admiracją wzbudził zaufanie poety. Różewicz potrafił polemizować z nim na każdy temat – nie mieli tabu. Poruszające są fragmenty, w których mówią o sprawach mistycznych i metafizycznych, Przybylski bowiem do końca usiłował „nawrócić" Różewicza, z żadnym zresztą skutkiem. Książka to przejmujące świadectwo trwającej aż do śmierci przyjaźni. Uzupełnieniem listów są rozmowy spisane ze ścieżek dźwiękowych filmów dokumentalnych z udziałem bohaterów.

Elżbieta Wojnarowska

Krystyna Czerni, *Ryszard Przybylski, Tadeusz Różewicz. Listy i rozmowy 1965–2014*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2019.

Pojawiają się w tej korespondencji wzmianki (i poważnej, i plotkarskiej natury) o największych postaciach polskiej kultury XX wieku: Miłoszu, Gombrowiczu, Stempowskim, Iwaszkiewiczu, Czapskim i innych. Zresztą sami autorzy listów zaliczają się do tego grona – chodzi wszak o Sławomira Mrożka i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Jest też o realiach PRL-u: cenzurze, polityce wydawniczej, zmaganiach o paszport i możliwość wyjazdu za granicę. Jest o mało znanych, a ważnych w powojennych dziejach Europy inicjatywach (między innymi o spotkaniach intelektualistów z zachodniej i wschodniej części kontynentu w tyrolskim Alpbach, podczas których swobodnie dyskutowano o przyszłości świata). Jest o roli pisarza – choćby o tym, czy może on funkcjonować w oderwaniu od swojego kraju (Herling uznaje uwagi Mrożka za „arcydziełko" godne „przechowania na użytek przyszłych pokoleń (jeżeli takowe będą miały ochotę zajmować się podobnymi sprawami)". Osobną wartość ma możliwość śledzenia dylematów Mrożka związanych z decyzją pozostania na Zachodzie, a potem z powrotem do kraju (i Krakowa) po 1989 roku.

Formuła prywatnych listów zaprzyjaźnionych pisarzy gwarantuje daleko posuniętą szczerość wyrażanych opinii – w tym tyczących własnej twórczości. A że zarówno Mrożek, jak Herling słynęli z introwertyczności, więc korespondencja ta jest też ważnym źródłem do odtworzenia sobie ich portretów.

(kb)

Sławomir Mrożek, Gustaw Herling-Grudziński. Listy 1959–1998, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

Uderza okładka. Twarz człowieka bez twarzy – przysłania ją łopata. To portret robotnika autorstwa Jerzego Lewczyńskiego, jednego z prekursorów nurtu awangardowego w powojennej fotografii. Zdjęcie okładkowe *Nieznany* zapowiada, co będzie w środku tej zgrabnej, poręcznej książki do oglądania i do czytania. Dominują fotografie, które galopem przelatują przez karty historii fotografii od początku XIX wieku do dzisiaj.

Oglądanie zaczyna się przewrotnie od współczesności, choć oczywiście sięgać będziemy do przeszłości. Kolekcja fikcyjnych portretów tego samego mężczyzny, pozujący w zastygłym geście piesek, wykolejony pociąg wyprowadzony w otwarte morze... Surrealistyczna wizja Fortunaty Obrąpalskiej *Przekleństwo*, niesamowita kompozycja Zbigniewa Dłubaka *Nocami straszy męka głodu*.

Zawarte w albumie 44 zdjęcia wybrał – spośród 70 tysięcy (!) zgromadzonych w krakowskim Muzeum Fotografii – jego dyrektor Marek Świca wraz ze współpracownikami. Obrazy uzmysławiają, że fotografia jest samodzielnym dziełem sztuki.

Marek Świca, *Muzeum Fotografii w Krakowie. Director's Choice*, Scala Arts & Heritage Publishers/Muzeum Fotografii w Krakowie, edycja polska i angielska, Londyn 2019.

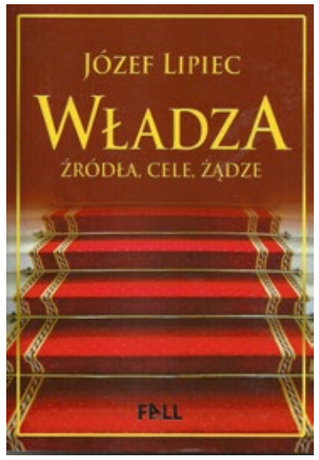

„Gorzki smak władzy objawia się zazwyczaj w przyjęciu przez człowieka ciężaru jej odpowiedzialności, bywa że ponad siły i wytrzymałość danego człowieka. (...) Charakterystyczny, niemal szekspirowski, depresyjny strach przed bezsensem królowania przemieszany bywa z chroniczną obawą przed niepewną przyszłością, tak w nieokreślonym sensie ogólnym, jak i w detalicznej gotowością do ucieczki przed nadmiarem intryg i dworskich manewrów, nie wspominając nawet o zagrożeniach zamachem, bratobójstwem i rewoltą".

Ten cytat dziś, wiosną AD 2020 w Polsce brzmi wieloznacznie. Jego autorem jest Józef Lipiec – postać renesansowa. Profesor filozofii, wykładowca ontologii i filozofii społecznej. Był rektorem, redaktorem naczelnym, reżyserem, prezesem, harcmistrzem i komendantem. Organizował wielkie kongresy i małe konferencje, publikował setki artykułów naukowych i publicystycznych, felietonów. Napisał ponad 20 książek, między innymi *Filozofia i polityka*, *Czas przesilenia*, *Świat wartości*, *Filozofia miłości*, ale chyba najbardziej znaną pozostaje *Kalokagatia: szkice z filozofii sportu*.
Ta najnowsza mogłaby nosić tytułu *Traktat o władzy*, ale nie jest to studium politologiczne. To ważny tekst, w którym stawia tezę, że jeżeli rzeczywistość społeczna wymaga ofiar, to najwyższy czas, aby poszukać innych rozwiązań – bez nieznośnego zniewolenia jednych, ale też i bez niedoli władzy. (wb)

Józef Lipiec, *Władza. Źródła, cele, żądze*, Fall, Kraków 2019.

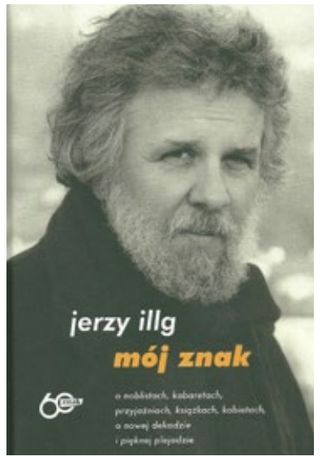

„ (...) Bronek ujął poetkę pod ramię i wysyczał jej do ucha: »Julio, pod żadnym pozorem nie oglądaj się teraz. Zbliża się do nas znany krakowski wariat w białym pudermantlu. On czasami staje się agresywny. Najlepiej nie zwracać na niego uwagi«. Biedna Julia dostrzegłszy kątem oka masywną sylwetkę w białym płaszczu, zesztywniała i kurczowo wczepiła się w rękaw Bronka. Po chwili zza naszych pleców wynurzył się Marian pragnący przywitać się z poetką". To taka miniaturka krakowskich przygód z Julią Hartwig, Bronisławem Majem i Marianem Stalą w tle, a pióra Jerzego Illga, wieloletniego redaktora „Znaku". Jest też o tym, jak Miłosz zakrztusił się skrętem, Szymborska mieszała wódkę ze spirytusem, a ks. Tischner opowiadał pikantne góralskie kawały.

To wersja poszerzona tytułu wydanego dziesięć lat temu i już wtedy cieszącego się powodzeniem. Zręczne wspomnienie wielkich bohaterów kultury najwyższej, których Illg miał szczęście poznać. Autorytetów, których braknie, a których mało kto przypomina. Nic dziwnego, że autor w jednym z wywiadów słusznie zauważy: „Niewiele już pozostało nam autorytetów prawdziwych. Mamy wciąż świetnych poetów (...) ale nie wiem, czy mogą oni być przewodnikami dla młodszych pokoleń, mistrzami w tym tradycyjnym sensie".

Beczka śmiechu, paczka znanych i znanych mniej opowieści plus kilka łez wywołanych obrazem tych, których już nie ma. (wb)

Jerzy Illg, *Mój Znak. O noblistach, kabaretach, przyjaźniach, książkach, kobietach, o nowej dekadzie i pięknej plejadzie*, Znak 2019.

Kaznodziejski talent Józefa Tischnera był powszechnie znany. Na msze księdza profesora odprawiane czy to w krakowskiej kolegiacie św. Anny, czy na Turbaczu czy gdziekolwiek w Polsce waliły tłumy. Powodem była właśnie klasa głoszonych homilii. W treści łączyły teologię, filozofię i życiową mądrość. Zawsze głęboka myśl przekazywana była na dodatek w jasnej i zrozumiałej formie, piękną polszczyzną, czasem z wykorzystaniem humoru. A brało się to z szacunku do słuchacza.

Co znamienne, to samo można powiedzieć o mszach dla... przedszkolaków odprawianych w latach 70. ubiegłego wieku w (również krakowskim) kościele św. Marka. Zamiast głosić klasyczne kazanie, Tischner wdawał się z dziećmi w rozmowę – odpowiadał na ich pytania i sam pytał. Wtedy już to, że ksiądz odchodzi od ołtarza i oddaje głos wiernym, dzieciom na dodatek, było dla wielu dziwaczne, a może i oburzające.

Spisany z kaset magnetofonowych zapis pięciu takich mszy-spotkań (by nawiązać do filozoficznej idei Tischnera) pokazuje, jak można z dziećmi rozmawiać o najtrudniejszych przecież sprawach: przebaczeniu, zazdrości, przyjaźni, dobru i złu, Bogu.

Przednim uzupełnieniem jest też sześć opowiadań dla dzieci napisanych przez Tischnera w 1975 roku w ramach cyklu *Wakacyjne odkrycia* (trzy ogłaszane są po raz pierwszy). (kb)

Ks. Józef Tischner, *Rozmowy z dziećmi. Kazania niecodzienne*, Znak 2020.

W ZWIĄZKU Z PANDEMIĄ KORONAWIRUSA – IMPREZA ZAWIESZONA

Chór Pygmalion/ Fot. Diego Salamanca/Krakowskie Biuro Festiwalowe

Misteria Paschalia pod znakiem Bacha

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Tegorocznym Misteriom Paschaliom będzie patronował Jan Sebastian Bach. Hasło festiwalu brzmi: *Himmelsfreude!, czyli Bach i ojcowie muzyki niemieckiej od Praetoriusa do Mendelssohna*.

Bez tego festiwalu miłośnicy muzyki klasycznej nie wyobrażają sobie Wielkiej Nocy. Może dlatego, że Misteria Paschalia pozwalają przygotować się duchowo do świąt. W tym roku pomóc nam w tym mają dzieła z kręgu muzyki niemieckiej, które zaproponował francuski dyrygent Raphaël Pichon, znany z ukazywania związków Bacha z Mendelssohnem, Schütza z Brahmsem, Rameau i Glucka z Berliozem.

– Myśląc o programie Festiwalu Misteria Paschalia 2020, natychmiast wyobraziłem sobie skondensowaną do wymiaru ośmiu kolejnych dni, chronologiczną opowieść o znaczeniu religii protestanckiej dla rozwoju muzyki niemieckiej. Chciałbym ukazać różnorodność, wielkość i żarliwość tej muzyki, śledząc największych kompozytorów germańskiej szkoły. Program festiwalu prezentuje się jako rozległy fresk, którego początkiem oraz punktem końcowym jest Bach i który w dziesięciu koncertach opowiada historię Marcina Lutra. Ona właśnie niczym rzeka zasila niemiecką muzykę, począwszy od pierwszych kompozycji Praetoriusów aż do symfonii *Lobgesang* Mendelssohna – zapewnia Raphaël Pichon.

Ciekawie zapowiada się choćby planowany na rozpoczęcie festiwalu w Centrum Kongresowym ICE koncert *Michael Praetorius – wyobrażone nieszpory*, podczas którego Raphaël Pichon poprowadzi swój grający na instrumentach dawnych zespół Pygmalion i towarzyszący mu chór. Warto wybrać się też na mające odbywać się w tym samym miejscu *Motety*. Będzie można wówczas posłuchać utworów Bacha w wykonaniu Capelli Cracoviensis, którą dyrygować będzie Jan Tomasz Adamus. Wielkopiątkowy (koncert w Centrum Kongresowym ICE ma szansę być jednym z najważniejszych punktów imprezy. Tego wieczoru z *Pasją według św. Jana* Bacha zmierzy się orkiestra i chór Pygmalion pod batutą Raphaëla Pichona. W Wielką Sobotę będzie można wybrać się do kopalni soli w Wieliczce i posłuchać *Stabat Mater* tego samego kompozytora. Natomiast w Wielką Niedzielę warto odwiedzić Bazylikę Najświętszego Serca Pana Jezusa, gdzie odbędą się *Nieszpory wielkanocne* w wykonaniu zespołu Jerycho. Festiwal zakończy w ostatni dzień świąt w ICE koncert zatytułowany *Hymny chwały*, na który złożą się utwory Jana Sebastiana Bacha, Carla Philipa Emmanuela Bacha oraz Felixa Mendelssohna. Oczywiście o ile pandemia koronawirusa ustąpi.

Aktualne informacje o Misteria Paschalia na stronie misteriapaschalia.com

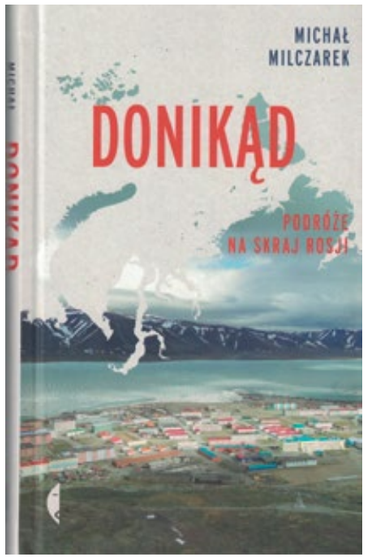

Krakowska Książka Miesiąca

zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK

O trwaniu w nicości...

Tekst: Janusz M. Paluch

Gdybym Michałowi Milczarkowi zadał pytanie, dlaczego napisał książkę o swej podróży donikąd, do krainy nicości, odpowiedziałby: „Bo mnie się to wszystko podobało, wprawiało mnie w euforię. Ta powszechna rozjebka, podgniłe drewno, brak nawierzchni, szary tynk i rdza. I przestrzeń. Było w tym piękno, dobro i prawda". I dodałby, że w takich miejscach absolut musiał być blisko.

Opis jego podróży inspirowanych przekraczaniem południków czy równoleżników, szczególnie tych skrajnych, gdzie kończy lub zaczyna się czas, jest interesujący, choć depresyjny. Na kartach swej książki *Donikąd. Podróże na skraj Rosji* wiedzie nas na Kamczatkę, Kołymę, także do Oktabriaskiego, Workuty, Ewenkii czy Norylska. Nie spotkamy na trasie wędrówek atrakcji turystycznych, wiekopomnych zabytków, świątyń. Ludzie są przypadkowi, nieoczekujący od życia więcej, niż posiadają. Alkohol jest codziennością. W jednej z podróży na kolejny skraj Rosji, gdzie nie docierały żadne środki lokomocji, zabrał autora jadący na pobliski wiejski cmentarz kierowca, który zaczął myśleć o życiu wiecznym, wieszcząc, że: „Koniec jest bliski. Ukraina wywołała wojnę, Ameryka nią steruje, w Europie upadek i geje, a na Syberii nie ma zimy"... Autor dociera też do Pyzdr w wielkopolskim, gdzie do 1914 roku był zachodni skraj Rosji...

Opowieść Michała Milczarka jest bardzo osobista. Celem jego podróży są miejsca, do których nie ma po co docierać. Panuje tam nuda, rozpościerają się góry w kolorze moro. Wrażliwy czytelnik powinien w zasięgu mieć jakieś antydepresanty.

Michał Milczarek, *Donikąd. Podróże na skraj Rosji*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019.

Janusz M. Paluch – jest krytykiem i animatorem kultury (m.in. współinicjatorem Nagrody Krakowska Książka Miesiąca oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia Leopolis").

Niedostępne cuda malowane światłem

Budowniczowie średniowiecznych katedr na ich szczytach stawiali rzeźby, które mógł oglądać jedynie Bóg. Nie wiem, czy twórcy witraży myśleli podobnie, gdy cierpliwie tworzyli swoje szklane dzieła. Może tak, bo zwykły człowiek do dzisiaj nie ma szansy przyjrzeć się im dokładnie choćby z powodu wysokości, na jakiej się znajdują. A jest co podziwiać, o czym możemy się przekonać, oglądając w Gmachu Głównym Muzeum Narodowego wystawę *Cud światła*.

Tytuł jest tu jak najbardziej adekwatny, ponieważ tak naprawdę witraże żyją dzięki światłu. Ani w nocy, ani wcześnie rano zupełnie nie są widoczne. Kiedy jednak przenikną je pierwsze promienie słońca, uruchamia się magiczna gra świateł, wydobywająca z nich wszelkie subtelności o jakich pomyślał artysta. Na wystawie możemy to zaobserwować dzięki punktowemu oświetleniu owych dzieł sztuki, co chwilę rozświetlanych i wygaszanych.

A jest tu co oświetlać. Ekspozycja prezentuje przepiękne przeszklenia kościołów krakowskich: Mariackiego, Bożego Ciała oraz kościoła i klasztoru Dominikanów. Rarytasem są XIV-wieczne kwatery z okien kościoła Mariackiego, na co dzień raczej niemożliwe do zobaczenia, bo umieszczone wysoko za ołtarzem Wita Stwosza. Dzięki trwającej właśnie jego konserwacji mogły zostać na chwilę wyjęte i pokazane publiczności. Wystawa potrwa do 26 lipca.

O!Lśnienia w czasach zarazy

Jan Komasa i Bartosz Bielenia, Barbara Sadurska, Alicja Knast i Szymon Kobylarz, Dawid Podsiadło i Taco Hemingway, Leszek Możdżer, Leszek Lichota i Aleksandra Popławska oraz Maja Kleczewska – to twórcy nagrodzeni w plebiscycie O!Lśnienia. Podczas rozdania nagród tegorocznym Ambasadorem Kultury został ogłoszony Mariusz Treliński – dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej.

To miała być wyjątkowo uroczysta gala w Centrum Kongresowym ICE, podczas której twórcy mieli odebrać O!Lśnienia – nagrody kulturalne Onetu i Miasta Krakowa. Z powodu rozprzestrzeniającego się koronawirusa gala została odwołana. Jednak niektórzy laureaci, wybrani przez internautów w drodze głosowania, zdecydowali się pojawić w programie *Rezerwacja* w Onet.pl, prowadzonym przez Katarzynę Janowską, szefową działu „Kultura" portalu, i odebrać prestiżowe statuetki.

Jednym z nich był Leszek Możdżer, laureat nagrody w kategorii „Muzyka klasyczna". Znakomity jazzman otrzymał ją za ścieżkę dźwiękową do filmu *Ikar* opowiadającego o życiu i twórczości niewidomego pianisty Mieczysława Kosza, który miesięcznik „Kraków" również nagrodził w konkursie „Portrety". – Postać Kosza jest dziś dla nas ważna i symboliczna. On, straciwszy wzrok, musiał spojrzeć do środka siebie. Tam odnalazł zakopane przedmioty, które każdy z nas także ma w sobie. Dlatego każdy dzisiaj powinien popatrzeć w głąb siebie, bo to, co się dzieje, reset systemu, który nastąpił, powinien nas zainspirować do zadania sobie najważniejszych pytań: co chcę w życiu robić i po co rano wstaję – mówił Możdżer.

W obawie o swoje zdrowie na rozdanie O!Lśnień nie przybyli Jan Komasa i Bartosz Bielenia, którzy zdobyli nagrodę główną w wysokości 50 tys. zł za współpracę przy filmie *Boże ciało*. Nie było też Mai Kleczewskiej – laureatki O!Lśnień w kategorii „Teatr" za spektakl *Hamlet* w Teatrze Polskim w Poznaniu, oraz Dawida Podsiadło i Taco Hemingwaya, których doceniono w kategorii „Muzyka popularna" za wspólny koncert na Stadionie Narodowym, będący spektaklem muzycznym i zarazem manifestacją odpowiedzialności za nasze dziś i jutro.

Capella Cracoviensis znalazła dom

Grali w barze mlecznym, Lasku Wolskim, przed kościelnymi ołtarzami i w szacownych salach koncertowych. Capella Cracoviensis nie posiada swojej siedziby, dlatego zdaje się być zaprawiona w lokalowych bojach i żadne warunki nie są jej straszne. Teraz możemy jednak docenić kunszt zespołu wykonującego muzykę dawną na historycznych instrumentach, w prawdziwie salonowym *entourage*'u.

Jest to możliwe dzięki temu, że Teatr im. Juliusza Słowackiego zaprosił bezdomnych muzyków do siebie. Dyrektor sceny Krzysztof Głuchowski dostrzegł w tym same korzyści i to dla obu stron. – My mamy piękny teatr, który nie ma orkiestry, a ta wspaniała orkiestra nie ma sali koncertowej. To będzie dobra transakcja wiązana, którą powinni docenić odbiorcy – powiedział. Podobnie zapalony do pomysłu jest Jan Tomasz Adamus, dyrektor Capelli Cracoviensis, który od razu przeszedł do konkretów. – Zaczynamy od niedzielnych popołudniowych koncertów. Będą się one odbywały raz w miesiącu. Dodatkowo uruchamiamy serię koncertów dla dzieci w sobotnie przedpołudnia – zapewnił jeszcze przed pierwszym spotkaniem z publicznością, podczas którego na teatralnej scenie zabrzmiały symfonie Josepha Haydna.

Nie tylko dla krakowskich centusiów

Rzadko zdarza się, żeby coś taniało. Nie możemy więc nie donieść, że niektórzy będą mogli wydać mniej na zwiedzanie Wawelu. Otóż Andrzej Betlej, nowy dyrektor Zamku, postanowił zacząć rządy na wzgórzu od decyzji o rozszerzeniu ulg na bilety. Od 12 kwietnia zniżki będą mieli posiadacze Karty Krakowskiej oraz Krakowskiej Karty Rodzina 3+. Ponadto Zamek będzie honorował Ogólnopolską Kartę Dużej Rodziny. Poza tym darmowe wejścia przysługiwać będą osobom niepełnosprawnym oraz ich opiekunom (Kraków dla Rodziny „N"), a także członkom Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa.

Dobre wiadomości mamy nie tylko dla centusiów. Otóż przed zwiedzającymi niebawem zostaną otwarte drzwi do niedostępnych do tej pory gabinetów. Na pierwszym piętrze zamku będziemy mogli obejrzeć tak zwany Gabinet Włoski z kolekcją renesansowych obrazów podarowanych przez Karolinę Lanckorońską, w Reprezentacyjnych Komnatach Królewskich pokazany zostanie Gabinet Holenderski i Gabinet Kolekcjonera. W tym pierwszym zobaczymy kolekcję obrazów flamandzkich i holenderskich z XVII i XVIII wieku. Drugie pomieszczenie zaaranżowane zostało na wzór gabinetów sztuki i osobliwości z początków XVII wieku. A od 15 maja będzie można zwiedzać jedno z najpiękniejszych miejsc Wzgórza Wawelskiego, czyli dziedzińczyk Batorego oraz rezerwat archeologiczno-architektoniczny.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Piszcie, recenzujcie, inspirujcie

Miesięcznik „Kraków” poszukuje w Krakowie tego, co najciekawsze, czytamy, sprawdzamy, pytamy, słuchamy miasta. W ramach tej podróży do istoty krakowskiej duszy cały czas staramy się rozwijać, poszerzać horyzonty, a kluczowi są tutaj nasi czytelnicy! W ostatnim czasie zapytaliśmy krakowian i krakowianki, co chcieliby znaleźć w miesięczniku? Może większy wybór tekstów literackich? Może chcielibyście poczytać o dyskusjach aktywistów miejskich? A może warto, żebyśmy poszerzyli nasze pole zainteresowań o świat nauki i uniwersytetów? Z odpowiedzi wiemy, że czekacie na więcej przedruków dzieł prozatorskich i że warto, żeby w kolejnych numerach znalazło się kilka wierszy. Ale to nie wszystko, pojawiły się też głosy, że na uwagę zasługuje dotąd rzadko w „Krakowie” opisywana dziedzina gier i branży nowych technologii, która rozwija się w naszym mieście – bo też jest przecież ważnym elementem współczesnej kultury.

Popracujemy nad tym. Na podstawie sugestii naszych odbiorców postaramy się także napisać o socjologicznych badaniach nad miastem.

Ciekawi jesteśmy waszych głosów, piszcie więc do nas, recenzujcie i inspirujcie dalej! (ng)

Listy do redakcji

W czasie, gdy mój wzrok pogarsza się z dnia na dzień i jestem na krótko przed operacją, czytanie sprawia mi sporo trudności. A książek i pism dostaję coraz więcej, za co dziękuję – ufam, że wkrótce będę mógł przeczytać wszystkie.

Dziś podarki od mojego ulubionego publicysty Witolda Beresia: dwie książki i egzemplarz miesięcznika „Kraków” (któremu szefuje i gdzie pisuje krakowska śmietana z Pilchem na czele), wszystko w świetnym stylu, a jedna książka wręcz do napisania samemu :).

Stary dobry Kraków, gdzie chciałem kiedyś zamieszkać, gniazdo Szymborskiej, Miłosza, „Przekroju”, x. Bonieckiego i „TP”, Mleczki, Piwnicy, Grechuty, Maanamu i boskiej kapeli Zdrój Jana – poniuchajcie w księgarniach.

Zbigniew Hołdys na Facebooku

Rys. Piotr Błachut

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński
Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski
Strona internetowa: Piotr Rachwaniec
Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl
Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.
Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!
(11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH**, **KOLPORTER**, **GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

Śmierć Dziekana [1950–2020]

Tekst: Katarzyna Lisowska **Zdjęcie:** Krzysztof Lis

Byłam studentką Profesora Marka Karwali, odszedł od nas 13 lutego. Pełnił do końca funkcję prodziekana Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

Ustaliłam, że będę pisała pod jego kierunkiem pracę na temat twórczości Józefa Barana. Poeta opowiadał mi o Profesorze, zanim go poznałam w uczelni. Ustaliliśmy się, że będziemy współpracować i spotykać się (z poetą), gdy będę już pisać. Tymczasem Profesor zdążył doprowadzić do wydania książki o twórczości Józefa Barana, zorganizował też w Instytucie

Filologii Polskiej UP konferencję jubileuszową z okazji 70. urodzin poety. Był znakomitym mówcą, posiadał wyjątkowy talent dydaktyczny, podparty niezaprzeczalną erudycją, co nie jest normą w świecie naukowym. I był prawdziwym badaczem, potrafiącym znaleźć inspiracje pochodzące od tego, co najbliżej. Szczególnie lubił opowiadać o poetach, doszukując się anegdot z ich życia. Byłam świadkiem, jak rozwijała się jego przyjaźń z Józefem Baranem. Chciał poświęcić jego twórczości seminarium magisterskie, ale nie wyszło. Moja edukacja też potoczyła się inaczej i przeszłam na inną specjalność studiów, zmieniając równocześnie seminarium.

Profesor Karwala wielokrotnie mówił, że czegoś nie udało się zrealizować. Tak to żył w biegu i tak odszedł. Pozostawił w nas swój żywy wizerunek człowieka serdecznego, często uśmiechającego się, który potrafi zachować znajomości mimo intensywnego życia. To życie nad wyraz było intensywne, wykorzystane, przede wszystkim głęboko i refleksyjnie przeżyte. Zostawiło swoje owoce w postaci licznych publikacji. W nas zostaną jego wykłady. I pamięć o tym, jak podczas zajęć odnosił się do nas. Bo widział nas na sali wykładowej jako pojedyncze jednostki. Nie przechodził obojętnie na korytarzu. Nie zostawił pytania bez odpowiedzi.

Traktował życie głębiej, tym, co robił, jakby był wpatrzony w wymiar czasu, w którym nie umiera ten, kto tworzy. Wierzył w twórczość studentów, interesowały go nasze wiersze, dawał nam możliwość ich prezentacji obok najwybitniejszych poetów. Prowadził warsztaty poetyckie, wykrywał talenty i dobrze czuł poezję, mówił na zajęciach o niej właściwym jej językiem, językiem poezji i metafor. I nagle go zabrakło, dziekana w uczelni. Jakby wyszedł z naszego rozgardiaszu i skierował cały swój byt, to wszystko, kim się stał, co osiągnął w życiu, jak się rozwinął – w stronę nam nieznaną. Skulił się jak porażony płomieniem umierania w jednej chwili, jakby zajęty ogniem, jak sosnowa gałązka, odszedł na naszych oczach w pełni intelektualnych sił, chęci życia. Zrobił to z impetem, spektakularnie. W uczelni nie ma dziekana. Gdy to piszę, jest dopiero dzień po. Obudzić się pierwszy dzień w świecie bez Marka Karwali, to odczuć dotkliwą stratę ludzką i najbardziej dotkliwe jest to, że ten tekst nie ma nic w sobie naciągniętego, nic z nieprawdy, nic z koloryzowania. On po prostu taki był...

Do zobaczenia, Panie Profesorze, po drugiej stronie czasu.

W następnym numerze:

Z kulturą na zarazę

Morowe powietrze w Krakowie

Groteska: 75 lat ludzi i lalek

Zaczytaj się!

We współpracy z Agencją Reklamy Wenecja akcja „Zaczytaj się w Krakowie” i informacja o Nagrodzie „Portrety” wyszła nie tylko na ulice miasta, ale także szeroko zagościła w internecie.

Od dziś będziemy się starali aktywnie promować kolejne odcinki nominacji do „Portretów” – tym razem 2020 – a wszystkich prosimy o sugestie i wsparcie! (jankra)

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A–B?
Boy

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Budki lęgowe dla zakochanych

Spotkaliśmy na A–B w Walentynki panią Stasię, niegdyś przedszkolankę, a teraz szczęśliwą emerytkę. Naszą uwagę przykuł przedmiot, który taszczyła pod pachą. Po bliższym przyjrzeniu się ów przedmiot okazał się drewnianą budką lęgową dla ptaków. Jakież było nasze zdumienie, gdy po chwili dostrzegliśmy innych przechodniów z podobną zdobyczą. No i wyjaśniło się. Właśnie w dzień św. Walentego przed krakowskim magistratem przedstawiciele MPO i Asocjacji Promotorów Radosnego Ptaka (co za piękna nazwa!) rozdawali zakochanym owe budki oraz karmniki dla skrzydlatych stworzeń. Co ciekawe, wszystkie one wykonane były z materiałów z odzysku, głównie ze starych, wydawać by się mogło bezużytecznych mebli. Pomysłodawcy akcji rozdali tysiąc takich przedmiotów, które staną i zawisną w różnych częściach naszego miasta. Pani Stasia wyznała nam, że swoją zdobycz zawiesi na działce i – uprzedzając nasze mało dyskretne pytanie – dodała, że ta akcja jest także dla niej, gdyż jest od zawsze zakochana w... przyrodzie. Dzięki tej inicjatywie sikorki, jerzyki i wróble będą mogły bezpiecznie zadbać o swoje potomstwo. Cieszymy się, bo czyż nie jest piękny śpiew i widok radosnego ptaka?

Rys. Piotr Błachut

Włoski pasikonik ratuje krakowskie kasztany

Podobno lubi podróżować. Potrafi przyczepić się do karoserii samochodu lub przycupnąć gdzieś na pociągu i tak przejechać nawet kilkadziesiąt kilometrów. Gdyby umiał mówić, z pewnością opowiedziałby nam o tym, co go skłoniło, by w latach 50. opuścić słoneczne i ciepłe południe Europy i udać się na północ. W Polsce szczególnie upodobał sobie nasze miasto. Po raz pierwszy zaobserwowano go pod Wawelem w 2013 roku i od tamtej pory zadomowił się u nas na dobre. Nazywa się nadrzewnik południowy (*Meconema meridionale*) i jest pasikonikiem, który przybył do Krakowa z ziemi włoskiej. Jest zielony, skoczny i mierzy zaledwie 2 centymetry. Lecz co najważniejsze – w jego diecie jest szrotówek kasztanowcowiaczek, mały szkodnik, który wcina nasze kasztany. Aby więc szrotówek nie wcinał krakowskich kasztanów, nadrzewnik wcina jego. I za to należą mu się gorące podziękowania. Jesienią nadrzewniki giną, ale zostawiają jaja, z których na wiosnę wyklują się młode pasikoniki. Gdy go kiedyś spotkacie podczas spaceru, przywitajcie go włoskim *buongiorno*. I życzcie mu wilczego apetytu.

Niezły spadek nam się trafił

Czy jest wśród nas ktoś, kto choć raz nie marzył o odziedziczeniu potężnego spadku po jakimś dalekim krewnym, najlepiej zza Oceanu? Marzyć sobie możemy, choć w rzeczywistości takie cuda raczej się nie zdarzają. Chociaż... Takie niezwykłe losu zrządzenie przytrafiło się niedawno naszemu miastu. Otóż po zmarłej w 2011 roku samotnej mieszkance Krakowa odziedziczyło ono 50-metrowe mieszkanie wraz z zawartością. A ta była rzeczywiście imponująca. Ponad 100 obrazów, w tym między innymi Jacka Malczewskiego, Jerzego i Wojciecha Kossaków, Wlastimila Hofmana czy Jerzego Wróblewskiego, może zapierać dech w piersiach. Jeśli potwierdzi się autentyczność tych dzieł, kolekcja będzie warta setki tysięcy. Dla nas, marzących jedynie o takich schedach, najcenniejsza będzie możliwość podziwiania tych obrazów w którymś z muzeów. Oglądając je, pewnie będziemy zadawać sobie nieraz pytanie, jakie jeszcze skarby skrywają stare mieszkania krakowskich mieszczan?

Palma na placu Jana Nowaka-Jeziorańskiego

Pewien redaktor „Krakowa" (mniejsza o nazwisko) przyszedł do redakcji w pewien poniedziałkowy poranek wyraźnie nieswój. Owszem, weekend miał trudny, gdyż z innym redaktorem „Krakowa" (mniejsza o nazwisko) prowadzili długie nocne dysputy przy, jak to oni, herbacie z sokiem malinowym. Ale wygląd redaktora wskazywał na to, że istnieje jeszcze inny powód jego dziwnego zachowania. I rzeczywiście.

– Czy widzicie to, co ja? – zagadnął niepewnie.

– Ale co? – zapytaliśmy.

– No to!

I niemal siłą wyciągnął nas przed redakcję, by pokazać wielką, sztuczną palmę. Jakaż była radość naszego redaktora, gdy zapewniliśmy go, że my też tę palmę widzimy. Uspokoił się więc, jednocześnie przyrzekając sobie, że w przyszły weekend będzie ostrożniejszy z ilością wypitej herbaty z sokiem malinowym. Tymczasem wysoka palma okazała się jedynie chwytem reklamowym i na placu Jana Nowaka-Jeziorańskiego pojawiła się tylko na chwilę. Jeśli komuś widok ów się spodobał, zapraszamy do naszego Ogrodu Botanicznego. Tam mamy palmy, ale piękniejsze i... prawdziwsze.

Jacuzzi z AGH dla Orkiestry

Rozkosznie ciepła woda, bąbelki delikatnie masujące ciało, a w dłoni lampka szampana lub w najgorszym razie puszka piwa. Do tego pewnie sącząca się łagodnie muzyka i, być może, nastrojowe światło. Nie, nie jesteście w ekskluzywnym spa. Wpadliście z wizytą do jednego z pokojów akademika AGH. Bo to właśnie tu stanęło, zajmując niemal całą powierzchnię, najsłynniejsze jacuzzi w Polsce. Wstawili je do akademikowej klitki studenci, którzy w ten sposób chcieli sobie umilić trudny czas zakuwania wzorów i definicji. I pewnie gdyby nie pokusa pochwalenia się owym przedmiotem na jednym z portali, do dziś niejeden przyszły inżynier moczyłby w akademikowym jacuzzi swoje członki. Ale sprawa się wydała i dmuchana wanna z przyczyn bezpieczeństwa musiała z pokoiku zniknąć. Cóż było robić, ponad tysiąc litrów wody spuszczono, a z gniazdka wyciągnięto wtyczkę. Lecz w tym momencie rozpoczęło się drugie życie jacuzzi. Pomysłowi studenci postanowili przekazać basenik z masażem na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jacuzzi zostało zlicytowane za prawie 4,5 tysiąca złotych.

Na narty do... Płaszowa!

Każdy widział, że zimy w mieście w tym roku nie było. Klimat się ocieplił, mróz już w uszy nie szczypie, o niegdysiejszych śniegach możemy sobie tylko pomarzyć, a narciarze wrócić jedynie wspomnieniami do wyciągu „wyrwirączka" na Wesołej Polanie na Woli Justowskiej? No, Kasprowy to to może i nie był, ale jakaś namiastka narciarstwa zjazdowego i owszem. Warunkiem, rzecz jasna, była dostateczna ilość śniegu na rzeczonej polance. Być może bywalców tego „wesoła ski resort" ucieszy wiadomość, że oto w Krakowie, a konkretnie w rejonie pętli tramwajowej Mały Płaszów, powstaje, uwaga, całoroczne Centrum Sportów Zimowych. Znajdzie się tu niewielki, igielitowy stok dla narciarzy oraz dwa sztuczne lodowiska, trasa biegowa, a na deser basen. Nie mamy jeszcze informacji, czy w ośrodku staną także sztuczne bałwany, ale sam pomysł nam się podoba. Da się przechytrzyć pory roku? Być może.

Agata Kus, *First Cold*, olej na płótnie, 160 x 180 cm, 2018

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Marek Borkowski, Kraków
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
Jacek Purchla, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja
Lidia Hanusiak, Kraków
Andrzej Gaworski, Warszawa
Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosiorkiewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zając, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Waldemar Smolski, Kraków
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Haters gonna hate

Tekst: Jerzy Pilch

Moja żona i ja zaczęliśmy tęsknić za Warszawą za szybko i za gwałtownie – a też w jakiejś mierze: niestosownie, bo symbolem, metaforą czy czym tam jeszcze naszej tęsknoty jest dalej niezburzony Pałac Kultury.

Zawsze twierdziłem, że symbolizm powinien być prosty. W mojej duszy poza tą kontrowersyjną budowlą mało co się mieści, ale moja żona?! Dajcie pokój! Widzę, że jej oczy tęsknią za księgarnią w kamienicy braci Jabłkowskich, że jej stopy tęsknią za sklepem obuwniczym na Mysiej, że jej usta drżą, albowiem nie pojawią się jeszcze przez długi czas w ulubionej kawiarni, że jej szyja tęskni za perfumerią na Mokotowskiej, jej kubki smakowe złaknione są porannego tiramisu z Galerii Wypieków, jej włosy tęsknią za zakładem fryzjerskim, do którego dostęp otoczony jest nieprzebytą dyskrecją.

Widzę to wyraźniej po obejrzeniu najnowszego filmu Jana Komasy *Sala samobójców. Hejter*, którego akcja rozgrywa się w Warszawie, często w Śródmieściu. Idąc do kina, nie spodziewałem się niczego znaczącego. Mogę teraz z całą szczerością wyznać – *Boże ciało* mnie nie porwało. Postacie były, moim subiektywnym zdaniem, niefortunnie przerysowane. Rola parafialnej gospodyni, która straciła syna, była na tyle niewiarygodna, że miałem poczucie, ba, nawet pewność – ta kobieta w życiu nie była na wsi. Ksiądz nie jest żadnym księdzem, ale jest aktorem w sutannie. Ktoś może powiedzieć – i co z tego? A ja mówię – stałe kryterium realizmu nadal jest ważne. Sztuka, w tym film, jest obszarem fikcji i iluzji, nie jest obszarem przebierańców. Końcówka filmu poraża lekkością – metafora jak walec drogowy powabna – wyjście z kościoła głównego bohatera niczym samospalenie w *Klerze* sugestywne. Mamy tu najwyraźniej do czynienia z przerastającą mnie sztuką niedopowiedzenia. Wczoraj w kinie natomiast zostałem zaskoczony – co już nie zdarza się często. *Hejter* bije *Boże Ciało* – można by rzec – na głowę. Historia opowiedziana jest zręcznie i dojrzale. Oto wyrazisty Maciej Musiałowski wciela się w rolę dobrodusznego i aspirującego do wyższych celów chłopca z prowincji, który z czasem, pod wpływem niepowodzeń spowodowanych brakiem empatii innych, staje się makiawelicznym potworem. Przepoczwarza się – zmienia się jego mimika twarzy, jego gesty, jego chód, jego garderoba. *Hejter* to niemal powieściowe studium zła. Co przewrotne – zło nie jest tu potępione. Ukryte przed światem otrzymuje upragnioną nagrodę – osiąga wysoką pozycję społeczną. Wplecione w obraz sceny z gier komputerowych czy screeny stron internetowych nadają *Hejterowi* swoistą dynamikę, tempo jest szybkie, jak szybki jest współcześnie przekaz informacji. Film żyje do ostatniej minuty.

Hejter to niemal powieściowe studium zła. Co przewrotne – zło nie jest tu potępione. Ukryte przed światem otrzymuje upragnioną nagrodę – osiąga wysoką pozycję społeczną.

Czy nasza tęsknota trwa tyle samo? Czy miałbym ochotę przejść się po Warszawie sfotografowanej w *Hejterze*? Wątpię, ale odnotowuję. Odnotowuję również fakt, że problem tęsknoty za Warszawą rozwiązaliśmy prowizorycznie, a jak wiadomo rozwiązania prowizoryczne trwają wieki – otóż kupiliśmy mapę miasta w dębowej oprawie.

Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

Kraków

KONKURS
CZYTELNIK ROKU 2020

Zacznij już dziś – zgłoś udział i odbierz „Paszport Czytelnika"!
Czytaj i wypożyczaj w Bibliotece Kraków! Zdobądź tytuł Czytelnika Roku!

Do wygrania m.in. czytniki e-booków, książki i gry planszowe, zaproszenia na wydarzenia kulturalne.

Więcej informacji na www.biblioteka.krakow.pl

BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

PARTNERZY KONKURSU:

PATRONAT MEDIALNY:

Agata Kus, Turbosłowianie, olej na płótnie, 178 x 248 cm, 2018, Kolekcja Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK